

Zagadki z przeszłości i rodzinne tajemnice osnute wokół domu pod lasem sprawiają, że nie sposób oderwać się od czytania. Ciekawość rośnie z rozdziału na rozdział, aż do zaskakującego finału. Gorąco polecam.

Wioletta Sawicka, autorka serii „Wiek miłości, wiek nienawiści”



DOM
NA
SKRAJU
LASU

Natalia
Bieniek

Prószyński i S-ka

Natalia Bieniek

DOM
NA
SKRAJU
LASU

Prószyński i S-ka

Copyright © Natalia Bieniek, 2022

Projekt okładki

Mariusz Banachowicz

Zdjęcie na okładce

© Leonardo Baldini | [Arcangel](#)

Redaktor prowadzący

Anna Derengowska

Redakcja

Joanna Serocka

Korekta

Marta Stochmiałek

Bożena Hulewicz

Wszelkie podobieństwo do osób i zdarzeń jest przypadkowe.

ISBN 978-83-8295-693-1

Warszawa 2022

Wydawca

Prószyński Media Sp. z o.o.

02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28

www.proszynski.pl

Moim kochanym Babciom – Jasi i Marysi

ROZDZIAŁ 1

2013

LANGER

Pierwszy raz od dwudziestu lat stąpał po polskiej ziemi, na dodatek w mieście, które opuścił na stałe jeszcze w stanie wojennym. Wyglądało obco, kompletnie inaczej, niż je zapamiętał jako młody chłopak. Było jednocześnie ładne i brzydkie, to akurat się zgadzało z jego wspomnieniami – tylko Łódź potrafiła taka być. Obskurna i zachwycająca zarazem. Ale też w centrum wyrosły szklane wieżowce, których sobie w tym miejscu nie wyobrażał. Góry szkła i stali pięły się wzdłuż ulicy Mickiewicza, kiedy jechał taksówką z lotniska Lublinek do centrum. Cieszył go rozwój miasta, które zapamiętał jako szare i wiecznie pochmurne. Z nostalgią zauważył, że niektóre miejsca się nie zmieniły, a zdał sobie z tego sprawę, kiedy przejeżdżali obok Centralu. Ten niegdyś reprezentacyjny dom handlowy, gdzie w latach młodości Langer znajdowały się jedne z lepszych delikatesów w mieście oraz jedne z pierwszych ruchomych schodów, wyglądał niemal identycznie jak za komuny. Taki sam szary modernistyczny klocek, z niemodną marmurkową elewacją i z małymi podłużnymi okienkami. Zdaniem niektórych specieł skrzyżowanie Piotrkowskiej i Mickiewicza, chociaż jednocześnie wzbudzał całą masę cieplejszych uczuć. Na swój sposób rozczulał, kojarzył się z młodością, z dzieciństwem, z tym, co zakazane. Kiedy w 1972 roku budowano Central, Langer miał dziesięć lat, pamiętał ekscytację związaną ze wskakiwaniem na ruchome schody, metalowe drobne paseczki przesuwałcej się pod stopami taśmy, chowające się schodki i nagle wyrastające z ziemi stopnie.

Taksówkarz zrobił nawrotkę ze względu na przebudowę torowiska. Mickiewicza na dalszym odcinku była zamknięta. Krążyli długo po wąskich jednokierunkowych uliczkach przecinających Piotrkowską na północy. Wszystko było tak, jak zapamiętał. Tyle że zrobiło się bardziej kolorowo, nawet bardziej niż w innych europejskich miastach. Łódź przypomina teraz trochę Berlin, trochę Manchester, pomyślał, wspominając także Bazyleę i Wiedeń, w których na przemian mieszkał od ponad trzydziestu lat. Specjalnie poprosił taksówkarza, by ten

pojechał do hotelu dłuższą drogą. Chciał pooglądać miasto, chciał mu się przyjrzeć zza bezpiecznych szyb samochodu, zanim postawi stopy na tym, jak sądził, nieprzyjaznym bruku. Nigdy Łodzi nie lubił, zawsze chciał się stąd wyrwać, co mu się zresztą udało.

Ale teraz musiał tu przyjechać. Dla Christine. Duchy przeszłości rujnowały życie im obojgu. Musiał je poznać i oswoić. Dlatego wrócił w miejsce, z którym jego żonę łączyły szczególne więzi.

Minęli plac Wolności. Pomnik Kościuszki stał dumnie jak zawsze, tramwaje krążyły z tym charakterystycznym chrzęstem kół trących o wygięte w kształt okręgu szyny. Ten dźwięk był dogłębnie łódzki, aż drażył mózg. W żadnym innym miejscu na świecie, a Langer był przecież w wielu miastach, w których jeździły tramwaje, w Berlinie czy w San Francisco, nie słyszał, by tramwaje wydawały taki dźwięk jak te łódzkie podczas okrążania placu Wolności.

Historia jego miłości do Christine była długa, pełna wzlotów i upadków. Od kilku lat jego żona, utalentowana malarka i właścicielka galerii obrazów, pogrążała się w głębokiej melancholii. Langer bezradnie patrzył, jak Christine zatapia się w mroku, tracąc całą swoją spontaniczną, świeżą radość. W jej życiu wydarzyło się coś, o czym nie potrafiła i nie chciała mówić. I to było związane z Łodzią, z pewnym domem na przedmieściach, z pewną kobietą, która dawno temu tam mieszkała, i z wydarzeniami sprzed lat. Langer czuł podskórną nadzieję, że tylko gdy pozna prawdę, będzie mógł pomóc ukochanej wyjść z depresji, która rujnowała jej życie.

Wreszcie dojechali do hotelu. Wybrał Grand na rogu Piotrkowskiej i Traugutta, w samym sercu miasta. Mógł sobie na to pozwolić, a poza tym miał stąd blisko do urzędów i archiwów, które zamierzał odwiedzić. Nie przyjechał tu zwiedzać. Od dłuższego czasu prowadził prywatne dochodzenie, które ku jego zaskoczeniu doprowadziło go właśnie do Łodzi. To tutaj jego żona Christine podróżowała ostatnimi laty i próbowała swoje wyprawy przed nim ukryć.

Wnętrze hotelu przywitało go przepychem i tradycyjnym stylem, w którym tak dobrze się czuł w Niemczech, Szwajcarii i we Francji. Wybrał pokój z widokiem na Piotrkowską. Chciał oddychać atmosferą tego miasta, chciał mieć je przed oczami. Miał nadzieję, że to pomoże mu rozwikłać tajemnicę żony.

Rzucił walizkę na łóżko. Jego apartament był olbrzymi, zdobny w sztukaterie i pełen dopracowanych detali architektonicznych. Mógł wziąć apartament samego Artura Rubinsteina, ale podziękował za tę możliwość. Nie potrzebował w pokoju fortepianu słynnego pianisty, by poczuć się w Łodzi jak w domu. Z walizki wyjął podstawowe rzeczy, a wśród nich kopertę ze zdjęciami. Prywatny detektyw, którego wynajął, świetnie się spisał. Langer dzięki temu wiedział, od czego zacząć śledztwo i na czym się skupić.

Następnego dnia miał spotkanie na uniwersytecie. Postanowił podjąć współpracę z wydziałem historii jako sponsor badań naukowych. Może ta dziewczyna, Dorota Wiśniewska, będzie w stanie mu pomóc. Christine ostatnio czytała powieść Doroty. Mówiła, że ćwiczy polski, przez piętnaście lat małżeństwa z Langerem sporo się nauczyła. Ponoć ta powieść wzbudziła w niej emocje. Chciała poznać jej autorkę, która ma właściwe podejście. Wie, co robi, i wie, dlaczego – mówiła Christine, zanim przestała w ogóle z kimkolwiek rozmawiać i pogrzażyła się w melancholii.

Langer prześledził internetowe informacje na temat Wiśniewskiej. Dowiedział się, że pracuje na uniwersytecie, gdzie prowadzi badania dotyczące historii Łodzi. W jego umyśle zrodził się pomysł nawiązania współpracy, a że dysponował pokaźnym majątkiem, mógł dyktować warunki i zlecić jej coś w rodzaju małego dochodzenia pod pozorem napisania pracy naukowej. Miał nadzieję uzupełnić luki, które dostrzegał w powoli tworzącej się opowieści dotyczącej jego żony. Pragnął poznać szerszy kontekst wydarzeń, które miały z nią związek, bo wierzył, że dzięki temu zrozumie, co przytrafiło się Christine. Jako człowiek sukcesu ufał, że i tym razem jego działania przyniosą pożądany skutek. Nie mogło być przecież inaczej.

DOROTA

Szła mokrym od deszczu chodnikiem, mijając stare kamienice przy Pomorskiej. Jej celem był budynek wydziału historii Uniwersytetu Łódzkiego. Ulicą sunęły tramwaje, hałasując niemiłosiernie, a przejeżdżające po wąskich jezdniach samochody chlapały na przechodniów błotnistą wodą z kałuż. Tegoroczna wiosna nie udała się matce naturze. Było mokro, zimno i wietrznie.

Dorocie w butach chlupotała woda, a spodnie miała umazane błotem, nic jednak nie zdołałoby popsuć jej humoru. Najważniejsza jest bowiem radość w sercu, wolna dusza i głowa pełna pomysłów. A na tym obecnie jej nie zbywało.

Po trwającej ponad ćwierć wieku bierności, inaczej zwanej lenistwem bądź też ciepłutkim rodzinnym chowem we względnym dostatku, Dorota podjęła pierwszą próbę samodzielnego życia. Wyprowadziła się od rodziców, z ich pięknego wygodnego domu pod miastem. Zaczęła sama płacić rachunki, dbała o swoją płynność finansową i przestała stołować się u matki. Czuła się samowystarczalna i w pełni odpowiedzialna za swój los. Na swoim bywało trudno, czasem śmiesznie, czasem strasznie, ale ogólny rozrachunek był na plus.

A teraz dostała upragnioną, choć na razie dość tajemniczą pracę, zgodną z jej marzeniami i doświadczeniem. Rzecz wyglądała nie tylko intrygująco, ale też (uwaga!) legalnie i intratnie. Należy zaznaczyć, że nie był to dotychczas standard przeróżnych pogmatwanych historii, w które się wplątywała. Szczególnie kiedy w grę wchodziły jej ukochane detektywistyczne zabawy z dawnymi zagadkami miasta Łodzi.

Marzyła o napisaniu książki. Chciała tworzyć wciągające niebanalne historie, wzbudzające zachwyty czytelników. I chociaż ostatnie lata, podczas których miała okazję wydorosnąć, otrzeźwiły jej nadzieje i urealniły marzenia, to jednak o nich nie zapomniała. Wkrótce będzie miała okazję je spełnić.

Trudno było uwierzyć, że to właśnie ją wybrano na autorkę publikacji o starych willach na północnych krańcach Łodzi. Na wydziale historii pracowało bowiem co najmniej dwudziestu bardziej utytułowanych naukowców ze znacznie większym doświadczeniem niż panna Dorota Wiśniewska, świeżo po obronie pracy doktorskiej. Jednak profesor Langer z Bazylei się uparł. Podobno chodziło o powieść, którą niedawno opublikowała, a którą on się zachwycił.

Na spotkanie dotarła spóźniona, czym zwróciła uwagę zebranych. Włosy miała przemoczone, a makijaż rozmazany przez ulewę. Kołnierzyk białej koszuli również ucierpiał w deszczu i oklapł smętnie, jakby ktoś go wyciągnął psu z gardła. Promotor Doroty spojrzął na podopieczną z naganą.

Dorota była bodaj najbardziej krnąbrną i nieprzewidywalną doktorantką na wydziale. Córka profesora filozofii, Radomira Wiśniewskiego, dobrze znanego wielu tu zebranych, rokowała nie najgorzej jako pracownica naukowa, a ojciec wcale nie pomógł w karierze. Jakkolwiek miała też swoje słabsze strony: jej zapał bowiem bywał zmienny. Albo pisała dużo, szybko i sprawnie, a do tego odkrywczco; albo dla odmiany nie pisała nic lub oddawała gniot bez ładu i składu. Trzeba było mieć do Dorotki dużo cierpliwości. Prowadziła jakieś tajne badania, dochodzenia na własną rękę... Na przykład niedawno wynajęła mieszkanie, w którym od razu ściągnęła sobie na głowę katastrofę budowlaną i trafiła na pierwsze strony gazet...

Wyglądała przy tym na chodzącą naiwność i grzeczną pensjonarkę o nienaganych manierach. Ciepły domowy chów maminy. Beneficjentka transformacji, pokolenie dzieci wolnych, wychuchanych, a przez to nieco nieogarniętych. Takie sprawiała wrażenie. Było ono jednak mylne. Kiedy zaszła potrzeba, Dorota umiała bezkompromisowo zadbać o swoje interesy i do upadłego walczyć o ukończenie projektu.

Usiadła na wyznaczonym dla siebie miejscu naprzeciwko Langer, wyprostowała plecy i poprawiła koszulę. Prezentowała się już prawie korzystnie.

W przeciwieństwie do niej Langer był niezwykle starannie i elegancko ubrany. Nienaganna marynarka w sportowym stylu, świeżo wykrochmalona koszula, modna fryzura, włosy przyprószone siwizną... Wszystko to zrobiło na Dorocie oraz pozostałych doskonale wrażenie.

Na początku wypowiadali się przedstawiciele uniwersytetu, dokonano też oficjalnej prezentacji zgromadzonych. Kiedy formalnościom stało się zadość, uwaga obecnych zwróciła się ku Dorocie.

– Przemyślała pani moją propozycję? – zapytał Langer.

– Czuję się zaszczyconą, mogąc uczestniczyć w tym projekcie – zapewniła drżącym głosem.

Nie tyle było to wzruszenie, ile raczej uczucie dotkliwego zimna. Na uniwerku oszczędzano bowiem na ogrzewaniu i kaloryfery pozostały wyłączone pomimo wszechobecnego chłodu.

– Podsumujmy dotychczasowe ustalenia – kontynuował. – Fundacja reprezentowana przeze mnie, we współpracy z Instytutem Historii

Najnowszej w Bazylei, ufunduje stypendium naukowe na napisanie monografii o pofabrykanckich willach na północnych krańcach Łodzi. Pracownikiem naukowym wyznaczonym do tego zadania jest pani doktor Dorota Wiśniewska, która ma współpracować bezpośrednio ze mną. Fundacja przeze mnie reprezentowana pokrywa koszty wydania monografii w wersji naukowej, a także może pomóc sfinansować publikację książki beletrystycznej. Wydanie monografii jest uzależnione od akceptacji pracy przez komisję, na której czele stoję ja. Mam również prawo do systematycznego kontrolowania przebiegu prac...

Po sali rozszedł się pomruk akceptacji i podziwu. Wszyscy byli zachwyceni. Ten projekt stanowił spełnienie ich marzeń. I nadal nikt nie mógł zrozumieć, dlaczego zlecenie dostała właśnie Dorota.

O tym mogła porozmawiać z Langerem dopiero po zakończeniu oficjalnej części spotkania, kiedy zostali w sali sami, by omówić szczegóły.

– Moja żona przeczytała pani poprzednie prace – odezwał się Langer, gdy ostatni pracownik uniwersytetu opuścił salę.

Dorotę zdziwiło to, że zleceniodawca mówi tak dobrze po polsku. Najwyraźniej ma polską rodzinę, może nawet jest w połowie Polakiem albo część życia spędził w Polsce, zanim został szwajcarskim profesorem w Bazylei, zastanawiała się, mnożąc hipotezy. W jego słowach dawał się wprawdzie słyszeć twardy akcent, jakim zazwyczaj posługiwali się Niemcy mówiący po polsku, ale jego wypowiedzi były poprawne gramatycznie i składniowo, czego osoba, która nie miała wcześniej kontaktów z Polską, szybko się nie nauczy. Również żona profesora musiała dobrze znać język polski, skoro przeczytała powieść Doroty, dostępną jedynie w tym języku.

– Miło mi, że pańskiej żonie podobała się moja powieść – powiedziała Wiśniewska.

Rodzina i znajomi traktowali jej hobby z przymrużeniem oka, ona sama zresztą też zdążyła nabrać dystansu do swojego pisarstwa.

Powieść, do której nawiązywał Langer, nie została nigdy oficjalnie wydana w całości, ponieważ wyszło na jaw, że treść dotyczy osobistych spraw jej ciotki Łucji. Akcja rozgrywała się w jednej z kamienic w centrum Łodzi i była inspirowana historią rodzinną ciotki oraz ponurą

zagadką z przeszłości. Dlatego Dorota postanowiła odstąpić od zamiaru publikacji, ale fragmenty tekstu trafiły już do sieci i zapewne właśnie tam musiała je przeczytać żona profesora Langerera. Cała historia z tropieniem zagadki z przeszłości okazała się dla Doroty niefortunna, ale też pozwoliła jej dojrzeć i zrozumieć, co jest w życiu ważne. Do rzeczy ważnych z pewnością nie należało wywlekanie na światło dzienne krępujących szczegółów czyjegoś prywatnego życia, których ten ktoś nie chciałby pokazywać światu. Dorota nauczyła się wtedy pokory i dystansu do pisanych przez siebie historii. Nie zamierzała zmierzać do celu po trupach, choć na drodze jej naukowych poszukiwań trupy często się pojawiały.

Niemniej ucieszyła się, że ktoś docenił jej twórczość. Szykował się fajny projekt, dzięki któremu nie tylko będzie wydobywać z archiwów co ciekawsze historie zwykłych ludzi, ale też dostanie z tego tytułu godziwe wynagrodzenie. Żadna z jej dotychczasowych prac nie była równie hojnie opłacana.

Patrzyła na siedzącego naprzeciwko niej Langerera i przecucie jej mówiło, że ten człowiek kryje w sobie fascynującą historię. Już sama idea, której był pomysłodawcą, żeby napisać monografię o willach z okolic podłódzkiego Helenówka, świadczyła o tym, że musi mieć w tym jakiś cel. Wskazany przez niego obszar od lat nikogo nie interesował, a większości zrujnowanych zabudowań, które się tam znajdowały, nie dało się już uratować. Dorota знаła te rejony, bo spędziła dzieciństwo w okolicy. Już wówczas to miejsce omijano szerokim łukiem, a domy ledwo trzymały się gruntu.

Tak, musi mieć jakiś cel, skoro chce w tym grzebać, pomyślała, patrząc na skupionego i poważnego profesora. Kiedy okazało się, że dzięki jego funduszom będą mogli sfinansować badania, a prawdopodobnie także odnowić jedną z willi na potrzeby uniwersytetu, wszyscy nagle zaczęli plotkować na temat zagadkowego dobroczyńcy. W sekretariacie mówiono, że jest milionerem i posiada połowę areалу pól uprawnych w Austrii. W bibliotece wydziałowej królowała teoria, że Langer jest wnukiem słynnego pianisty Artura Rubinsteina, w dziekanacie natomiast twierdzono, że wzbogacił się na kamieniach szlachetnych wydobywanych w Afryce. Dorota nie wierzyła w żadną z tych plotek, ale była pewna, że za działaniami Langerera kryje się szczególny cel. Zamierzała go o to zapytać na dalszym etapie prac albo kiedy nadarzy

się okazja i lepiej się poznają. Na razie musiała wysłuchać tego, co miał jej do powiedzenia o swoich wymaganiach. Jak zauważyła, nie był człowiekiem wylewnym, zatem musiała wykazać się cierpliwością i dyplomacją.

Langer tymczasem wyjął ksero mapy i wskazał miejsce zakreślone czerwonym markerem.

– Interesuje nas ten obszar. Wille, które się tam znajdują.

Błysnął śnieżnobiałymi zębami w uprzejmym uśmiechu, ale jego oczy pozostały smutne. W otaczającej go aurze tajemniczości tkwiło coś niepokojącego. Jakaś zadra, sekretne niedopowiedzenie. W jednej chwili wydawał się uroczy i przyjacielski, gentelman w każdym calu, a w następnej przypomniał drapieżnego bossa od szemranych interesów, niczym sycylijski egzekutor rodzinnej wendety.

– Mieszkałam niedaleko jako dziecko, znam te miejsca – powiedziała Dorota.

W smutnych oczach Langer'a pojawił się błysk zadowolenia.

– Tym lepiej – odparł. – Będzie pani łatwiej pytać miejscowych ludzi.

Dorota upiła łyk kawy, którą zdążyła sobie zrobić przed spotkaniem. Szybko oblizwała wargi, napar był już zimny. Langer swojej filiżanki nawet nie wziął do rąk.

W sali panowała teraz ciężka atmosfera, coś pochmurnego, nieokreślonego wisiało w powietrzu. Dorota pomyślała poetycko, że to opary smutku, które zawisły nad nimi dwojgiem, czy może raczej nad Langerem. Doszła do wniosku, że ten człowiek był wręcz szary z troski o coś niezwykle dla niego cennego.

Zawahła się, zanim zadała kolejne pytania.

– Proszę mi powiedzieć, skąd zainteresowanie tym obszarem? Czy jest coś, o czym powinnam wiedzieć, zanim zacznę dochodzenie? Pytam, bo to pomoże mi zaplanować poszukiwania i skupić się na tym, co istotne.

Langer westchnął. To nie była rozmowa na pięć minut. Ale owszem, jego młoda współpracownica powinna wiedzieć, dlaczego podejmuje się tego zadania i na co ma zwrócić uwagę podczas przeszukiwania archiwów.

– Chodzi o moją żonę – zaczął. – Ona jest w jakiś sposób związana z tymi terenami. Poznaliśmy się w Szwajcarii i tam mieszkamy, chociaż jak się pani pewnie domyśliła, mam polskie korzenie. Wyjechałem z Polski w stanie wojennym, kiedy byłem studentem. Rozpocząłem karierę akademicką na wydziale chemii. – Przechwycił jej zaskoczone spojrzenie. – Tak, dobrze pani słyszała. Nie jestem historykiem, jak można by przypuszczać. Jednocześnie założyłem firmę produkującą... żywność – odwrócił wzrok – która odniosła sukces na rynkach niemieckojęzycznych. Na imprezie branżowej połączonej z wernisażem obrazów poznałem moją żonę. Jesteśmy razem kilkanaście lat.

W jego oczach pojawiło się wzruszenie i ponownie odwrócił wzrok.

– Ostatnio dążyła do rozwiązania pewnej zagadki z przeszłości, która nie daje jej spokoju. Wiem tyle, że to jest związane z którymś z tych domów. Moja żona urodziła się poza Polską. Jej ojciec był Szwajcarem, a matka Francuzką. Nie miałem dotąd pojęcia, że Christine coś łączy z Łodzią. Myślę, że ona na początku naszej znajomości również tego nie wiedziała.

– Skąd pan wie, że chodzi właśnie o te tereny?

– Dowiadywałem się stopniowo. Z jej obrazów, z notatek. Potem wynająłem detektywa...

Dorota domyślała się, że to, co powiedział jej Langer, to zaledwie wierzchołek góry lodowej. On tymczasem skupił się na konkretach, o których najwyraźniej łatwiej mu było mówić.

– Chodzi głównie o ten dom. – Wyjął współczesne zdjęcie oraz fotografię przedstawiającą obraz namalowany przez Christine. To bez wątplenia były te same budynki. – Tym należy zająć się dokładniej.

– Na co mam zwrócić uwagę?

– Proszę się skupić na latach 1945–1950. Niedługo dostarczę więcej danych. Mój detektyw ciągle mi coś nowego podsyła. Mam powody przypuszczać, że w tej willi zdarzyło się coś, co wpłynęło na życie wielu ludzi, w tym mojej żony. W jaki sposób, tego nie wiem, bo jej wtedy nie było jeszcze na świecie. Urodziła się na początku lat siedemdziesiątych. Dlatego niczego nie jestem w tej sprawie pewny.

Chciał jeszcze coś dodać, ale zrezygnował. Przez chwilę panowała cisza.

– Proszę, by zdawała mi pani na bieżąco sprawozdanie z przebiegu prac. Możemy się umówić na cykliczne spotkania tu, na uniwersytecie. Albo w restauracji hotelu Grand, bo tam się zatrzymałem.

Teraz zabrzmiał jak rasowy biznesmen. Było w tym człowieku coś takiego, co kazało go słuchać i spełniać jego polecenia. Znała ten typ, w życiu takich ludzi wszystko musi się układać po ich myśli. Jeśli dzieje się inaczej, natychmiast podejmują konkretne działania, by znaleźć rozwiązanie problemu. I tak też zapewne było tym razem. Langer przystąpił do działania, aby pomóc żonie. Odtąd nic innego się dla niego nie liczyło, a przed Dorotą stało naprawdę niełatwe zadanie. Ludzie tego pokroju są szczególnie wymagający. Chwalą cię i sownie opłacają, jeśli dobrze dla nich pracujesz, natomiast nie powstrzymają się przed ostrą krytyką, gdy zawiedziesz ich oczekiwania. Nie mają wówczas skrupułów, by wyciągnąć konsekwencje.

Takie myśli naszły Dorotę, gdy patrzyła w surowe oblicze Langer, w tym momencie wyzute z wszelkich uczuć. Nieprzyjemny dreszcz przebiegł jej po plecach. Dotąd sama była sobie krytykiem i szefem. Wolna jak ptak, dryfowała między obłokami wiedzy tam, gdzie chciała. Na uczelni pisała prace wedle własnych pomysłów, nikt nigdy nie dyktował jej warunków i nie patrzył jej przez ramię, jak teraz będzie to robił Langer. Nowa sytuacja intrygowała ją, ale również trochę martwiła. Zwłaszcza że Langerowi zależało na czasie. Terminy kolejnych etapów projektu były krótkie, a wszystkie ustalenia spisano w stosownych umowach.

Przez chwilę była gotowa zgodzić się z innymi pracownikami uniwersytetu, że to zlecenie dla kogoś bardziej doświadczonego.

– Przypominam też o punkcie naszej umowy, który mówi o dyskrecji – dodał Langer jakby na potwierdzenie jej obaw. – Zobowiązała się pani, że nie napisze publicznie o jakiegokolwiek prywatnej historii związanej z moją osobą lub moją rodziną bez konsultacji ze mną i bez mojej zgody.

– Tak, pamiętam – potwierdziła.

Naprawdę rozumiała ten wymóg. Była to okoliczność, która czasem zabierała jej część satysfakcji. Nie mogła bowiem wprost napisać w swoich opowieściach tego, co działo się w realnym świecie i dotyczyło konkretnych osób. Jednak literatura potrafi znaleźć sposób, żeby ująć w słowa to, co nie może zostać wypowiedziane. Oprócz pracy

naukowej dla Langer, w której oczywiście pojawiłyby się konkretne nazwiska realnych osób powiązanych z dawnymi letnimi rezydencjami przemysłowców, zamierzała też napisać książkę beletrystyczną inspirowaną faktami odkrytymi podczas dochodzenia. Także w tym wypadku musiała przemilczeć prawdziwe imiona i nazwiska.

– Nigdy nie publikuję prywatnych historii bez zgody osób w nie zaangażowanych – podsumowała.

Langer się uśmiechnął. W jego oczach dostrzegła zadowolenie, a może nawet podziw.

– Cieszę się, że ma pani takie podejście. Wiem, że się nie pomyliłem, wybierając właśnie panią.

ROZDZIAŁ 2

LANGER

Nie do końca było tak, jak opowiedział Dorocie. Ale więcej na tym etapie nie mógł jej wyjawić. To była bardzo trudna i smutna historia, ale też piękna i pełna miłości. Bo Langer swoją żonę bezgranicznie kochał. Od pierwszego momentu, kiedy w latach dziewięćdziesiątych zobaczył ją w galerii sztuki, w której wystawiała obrazy, była bowiem wziętą malarką.

Dobrze zapamiętał tamten moment. To była chwila, która zaważyła na całym jego życiu. Christine stała wtedy naprzeciwko swojego płótna, opierając się o marmurowy postument, eteryczna, delikatna, o smukłym filigranowym ciele i długich jasnych włosach. Patrząc na nią, Langer z wrażenia zapomniał, po co przyszedł do galerii, że wystawa promuje rozwój jego firmy, a on powinien wygłosić przemówienie i prowadzić kurtuazyjne rozmowy z gośćmi. Jedyne, czego w tamtej chwili pragnął, to poznać tę zjawiskową kobietę i iść za nią przez życie do samego końca. Choćby do piekła. Niewiele się pomylił.

Podszedł do artystki i udał, że interesuje go namalowany przez nią obraz. Płótno było ostre w barwach, nasycone czerwienią, niepokojąco emocjonalne, gwałtowne w wyrazie, ale też w pewien sposób melancholijne. Uznał, że jest przejmujące, wstrząsnęło nim, chociaż nie umiał powiedzieć dlaczego. Natychmiast zadeklarował, że kupi obraz.

Młoda malarka nie wydawała się zainteresowana transakcją, wręcz potraktowała jego propozycję jak afront.

– Ten obraz nie jest na sprzedaż – powiedziała po niemiecku niedbałym, lekko zachrypłym głosem, po czym wydeła wargi i upiła łyk szampana ze smukłego błyszczącego kieliszka, w którym odbijała się czerwień obrazu.

Po wernisażu odwiózł ją do domu i już tam pozostał.

A potem zaczęły się długie bezsenne noce, kiedy tańczyli boso na tarasie jego willi w Bazylei, szalone podróże autem przez Europę i spotkania z międzynarodową bohemą artystyczną.

Dzięki jego pieniądзом i jej łapczywej chęci życia zwiedzili pół świata i przeżyli wiele przygód. Langer początkowo był oczarowany bogatą i żywą emocjonalnością kochanki. Tłumaczył to sobie tym, że była artystką i może to właśnie ta inność go w niej pociągała. Lekko szalona i spontaniczna, o radości małego dziecka, które jest jedną wielką emocją. Szybko jednak się przekonał, że natura Christine była złożona. Zdarzało jej się wybuchnąć bez powodu, po czym obrażała się jak mała dziewczynka i unikała kontaktu przez wiele godzin. Wszystko przeżywała po dwakroć silnie – na przykład długo rozpaczała nad martwym ptaszkiem, którego znalazła w ogrodzie.

Christine temperament miała iście południowy, chociaż zgodnie z jej słowami, była w połowie Szwajcarką i w połowie Francuzką. Jej rodzice zmarli przed wieloma laty. Biegłe posługiwała się zarówno francuskim, jak i niemieckim oraz kilkoma innymi językami, między innymi angielskim i włoskim. Wkrótce też przekonał się, że jego kochanka ma talent językowy, bo szybko udało mu się nauczyć ją kilku zdań po polsku. Chwytała ten trudny język tak łatwo, że czasem myślał, że urodziła się w Polsce.

Pamiętał, kiedy pierwszy raz mówił przy niej w swoim ojczystym języku. Rzadko mu się to zdarzało, bo nie przebywali w środowisku Polaków, a jego biznesowi partnerzy byli głównie Niemcami. Pewnego dnia zadzwonił do niego dawno niewidziany przyjaciel, jeszcze z liceum. Christine w kuchni obok przygotowywała farby do nowego obrazu. Kątem oka zauważył, że drgnęła, kiedy przywitał się po polsku. Zbiła wtedy słoiczek na wodę, usłyszał dźwięk tłuczonego szkła za plecami. Zaklęła, przez chwilę miał wrażenie, że po polsku. Na pewno się pomylił, jemu też wszystkie te języki już mieszały się w głowie. Po przeszło piętnastu latach nieobecności w kraju coraz słabiej mówił po polsku. Tak czy inaczej, podeszła do niego, kiedy skończył rozmawiać z Tadeuszem, i poprosiła, żeby uczył ją swojego ojczystego języka.

– Mów do mnie po polsku – powiedziała.

Kiedy zbiła słoiczek, skaleczyła się szkłem – pamiętał, że pomagał jej założyć opatrunek na rozciętą dłoń, a pierwszym słowem, jakie wypowiedział do niej po polsku, było słowo: RANA.

Pokazał wtedy na jej rękę i wymawiał to słowo, a ona powtarzała: RA-NA. RA-NA. RA-NA. Pocałował ją potem w bolące miejsce, już suche,

zaklejone plasterkiem, zaopiekowane, zebrał też z podłogi kawałki szkła.

Potem długo zastanawiał się, kiedy ich idylla się skończyła. Kiedy lekkie i przejściowe szaleństwo młodości stało się szaleństwem prawdziwym. I zawsze wówczas przypominał sobie chwilę, kiedy Christine stała w kuchni nad rozbitym szkłem z rozciętą ręką po tej ich pierwszej kulawej rozmowie w języku polskim.

*

W dniu ślubu był najszcześliwszym facetem pod słońcem. Zaprosił rodzinę z Polski, którą wprawdzie miał nieliczną, bo rodzice nie żyli, a ciotki były zbyt schorowane na zagraniczną podróż, ale młodsze pokolenie chętnie przyjęło zaproszenie. Przyjechało kilku kuzynów z żonami, których widział ostatnio przed piętnastoma laty, kiedy byli młodymi chłopakami. Większość zdążyła wyhodować piwne brzuszki i zakola. Każdy chwalił się, czym mógł, lata dziewięćdziesiąte ubiegłego wieku dały im bowiem szanse na rozwinięcie własnych biznesów, z której to szansy skwapliwie skorzystali. Tradycje biznesowe w rodzinie Langera były długie, jego ojciec trudnił się handlem jeszcze w latach pięćdziesiątych, dopóki nie upaństwowiono tego, co zdążył stworzyć. Państwo ludowe wytoczyło mu proces za to, że śmiał lekce sobie ważyć surowe przepisy o reglamentacji. Odsiedział zatem kilka lat za coś, co dziś nazwalibyśmy przedsiębiorczością indywidualną, a co w PRL-u zyskało miano antypaństwowej działalności gospodarczej. Kiedy tylko Langer osiągnął pełnoletność i nadarzyła się okazja, wyjechał z Polski na Zachód, najpierw do Niemiec Zachodnich. Tam bez przeszkód mógł na większą skalę realizować pomysły biznesowe. Równolegle studiował chemię, a potem rozpoczął karierę akademicką.

Z kuzynami utrzymywał sporadyczne kontakty. Przyjechał do Polski dwa razy na początku lat dziewięćdziesiątych, najpierw na pogrzeb ojca, potem na pogrzeb matki. Po otwarciu granic mógł bez problemów podróżować, więc rozważał przeprowadzkę z powrotem, by zaopiekować się starszymi rodzicami, albo sprowadzenie ich do siebie, do Szwajcarii. Tych planów nie zdążył jednak wprowadzić w życie, ponieważ ojciec nagle zmarł na zawał, a matka odeszła na nieleczoną cukrzycę wkrótce po nim. Nie mieli okazji poznać Christine i nie doczekali momentu, gdy syn założył rodzinę.

Ostatnie podróże do Polski zatem kojarzyły się Langerowi ze smutnymi uroczystościami i być może dlatego za Polską nie tęsknił. Przestał przyjeżdżać do kraju dzieciństwa i nie znał realiów, które w nim panowały. Wiedział od swoich kuzynów tylko tyle, że „teraz łatwo się dorobić, cholernie łatwo”. Marek prowadził ubojnię bydła w dawnym gospodarstwie ich dziadków na wsi, a Andrzej sprowadzał tanie ciuchy z Niemiec, które z dziesięciokrotnym przebicciem wciskał polskim kobietom jako luksusowe, czym zresztą się chełpił.

– Zobacz, jak się dorobiłem! – opowiadał nad rosółem. – A głupie baby kupują tego szajsu ile wlezie.

Najmłodszy kuzyn Langer, Łukasz, zainwestował w sprowadzanie kosmetyków i chemii gospodarczej z Niemiec. Według tej samej zasady, brał najtańsze, ale ładnie sprzedażowo opakowane produkty niemieckie – im bardziej krzykliwa szata graficzna na kremie, tym lepiej, i sprzedawał po zawyżonych cenach, stosując przy tym chwyt marketingowe rodem z amerykańskiego direct marketingu. Obaj kuzyni byli obrotni i umiejętnie korzystali ze zmiany ustrojowej. Społeczeństwo polskie, złaknione tego, co kolorowe, modne i luksusowe, łatwo wydawało pieniądze, mimo galopującej inflacji i wciąż niepewnej wartości pieniądza. Łukasz miał coraz to nowe pomysły na życie, handlował chipsami z Niemiec, potem otwierał w mieście solaria. W miarę rozwoju kapitalizmu, na przestrzeni lat dziewięćdziesiątych rynek się zmieniał, a potrzeby klientów stawały się coraz bardziej wysublimowane. To, co przynosiło pieniądze za zachodnią granicą, w świecie dotąd niedostępnym i idealizowanym, wszystkie te wynalazki generujące sprzedaż towarów i usług, musiały zostać przetestowane także na rynku polskim. Również sprzedaż wysyłkowa oparta na idei przynależności do rzekomo ekskluzywnego klubu wybrańców, którzy dostąpili tego zaszczytu i zyskali dostęp do wyjątkowych towarów. I tym także zajmował się Łukasz. W praktyce były to garnki wątpliwej jakości lub komplety plastikowych urządzeń AGD, które miały uczynić z polskich gospodyń domowych udzielne królowe państw kuchennych, rodem z amerykańskich reklam. Dzięki obwoźnym garnkom już niedługo miał nadejść idealny świat codziennych radości i luksusu dla każdego, wykreowany przez zagraniczne firmy kierowane przez bogatych prezesów. Był przecież tasiemiec *Dynastia*, z całym swoim blichtrzem, z anielsko piękną Krystle, łanią o dobrym sercu, oraz

diabelnie przebiegłą femme fatale Alexis. Nadszedł czas, że każda z Polek mogła taka być, oczywiście na miarę własnych możliwości. Ale kto im bronił takimi się poczuć? Kuzyni Langera dołożyli starań, by polskie kobiety uwierzyły, że zasługują na to, co najlepsze.

Langer od dawna mieszkał za granicą i zapomniał, co to komunizm, przyjął zachodnie zwyczaje, zachodnią mentalność, dlatego biznesowe wyczyny kuzynów znad Wisły były dla niego jakąś odległą, lekko nierealną rzeczywistością. Ich świat był niczym inna galaktyka, odmienna i obca, ale do pewnego stopnia interesująca z uwagi na swoją pełną entuzjazmu i ślepej wiary w powodzenie, ożywczą i przyciągającą siłę. To było nawet rozczulające, słuchać wiecznych przechwałek i małych radości kuzynów, słuchać, jak to radzą sobie przedsiębiorcze polskie chłopaki znad Wisły, z zapałem krzewiąc w Polsce kapitalizm.

Na przyjęciu weselnym posadził to całe towarzystwo z boku sali, przy osobnym stole. Christine i jej znajomi wyglądali przy kuzynach Langera jak barwne egzotyczne ptaki przy kraczących srokach. Nie chodziło nawet o wygląd ani zachowanie, bardziej o to, jak i o czym jego kuzyni rozmawiali. Chociaż większość gości weselnych i tak nie rozumiała po polsku, to jednak sama Christine już tak, i kilku ich wspólnych znajomych z kręgów starej szwajcarskiej Polonii także.

Christine bywała wcześniej na wielu przyjęciach w galeriach sztuki, z którymi współpracowała. Jednak tamtego dnia, na swoim ślubie, była wycofana i nieobecna myślami, jakby oszołomiona tym wszystkim, co się wkoło niej działo, i niepewna, co wydarzy się dalej. Na tle kolorowych, wystrojonych od stóp do głów w błyskotki kuzynek męża wyglądała niemal jak zjawą, blada, prawie przezroczysta. Na początku śmiała się głośno, otulona puszystym szalem z delikatnych białych piór, piła szampana z pociągłego kieliszka, który mienił się odcieniami srebra na tle księżycowej poświaty. Krążyła wśród gości z uprzejmym uśmiechem na ustach, płynęła po parkiecie, jakby tylko lekko muskając powierzchnię noskiem swoich pantofelków, eteryczna i nieznośnie piękna. A także, co zrozumiał Langer dopiero później, bezgranicznie smutna. Już wtedy, na ich ślubnym przyjęciu, dało się zauważyć ten cholerny rys smutku, który wtopił się w jego żonę, zjednoczył z jej duszą i z ciałem jak niewidoczna blizna.

Langer wspominał potem tamten moment i zastanawiał się, co mógł zrobić, żeby odwrócić bieg wydarzeń i zapobiec temu, co ich później

spotkało, czy raczej temu, co spotkało Christine. Po wielokroć zadawał sobie pytania, kim jest jego żona i dlaczego nie zdołał jej poznać. Dlaczego wcześniej nie zainteresował się tym, skąd pochodzi? Co sprawiło, że jest tak silna i tak krucha zarazem? Może gdy znajdzie odpowiedzi, zdoła jej pomóc.

*

Początkowo wydawało się, że zmiany w życiu Christine po ślubie ze Langerem są przejściowe. Była po prostu onieśmielona swoją nową rolą żony, już samo złożenie podpisu na kilku dokumentach, które musiała sygnować nowym nazwiskiem, sprawiało jej trudność. Nikt jej nie zmuszał do przyjęcia nazwiska męża, mogła przecież zachować swoje nazwisko, w jego dowolnym wariacie i brzmieniu. Nie skorzystała jednak z tej możliwości, przez krótki moment łudząc się, że ta symboliczna zmiana rozwiąże jej problemy. Gesty takie jak zmiana nazwiska czy założenie na palec obrączki miały ustrzec Christine przed tym, czego obawiała się najbardziej – miały usunąć cały jej lęk przed związkiem z drugim człowiekiem. I paradoks polegał na tym, że w pełni uświadomiła sobie ten lęk i utwierdziła w nim właśnie wtedy, kiedy nakładała obrączkę i podpisywała dokumenty, łącząc się przed prawem i Bogiem w jedność ze swoim mężem, Maksymilianem Langerem.

Leżeli na łóżku na białej kapie w srebrne wzory. Ona gładziła go po brodzie, nie ogolił się tego ranka i miał na twarzy lekki, kielkujący zarost, według niej fajnie mięciutki. Podobał jej się ten jego zarost, zresztą, bez zarostu mąż również się jej podobał, bez względu na to, gdzie byli i co robili. Każdy fragment jego ciała, każda jego komórka. Na tym to chyba polega, pomyślała, kiedy się kogoś kocha. Chyba o to właśnie chodzi. I ta myśl ją jednocześnie przerażała. Zwłaszcza w kontekście tego, co ostatnio odkryła. Patrzyła na śpiącego męża, który wyglądał tak słodko i rozczulająco, i chociaż był dojrzałym mężczyzną, właścicielem dużej firmy, naukowcem, to w tej właśnie chwili wyglądał jak mały bezbronny chłopiec.

Nie jestem ciębie warta, pomyślała, zasługujesz na kogoś lepszego, nie powinniśmy być razem. Podstępne zatrute myślenie już drażyło jej mózg i uczucia, już niszczyło to, co dobre i właściwe. Jak bezużyteczny chwast, który pochłania szlachetne kwiaty wkoło, zabierając im miejsce i sprawiając, że stopniowo obumierają.

Langer był wówczas zajęty rozwojem fabryki chemicznych dodatków do żywności. Biznes szedł mu świetnie, wraz ze współnikami zdobywali coraz to nowe rynki i nowych kontrahentów. Dzięki wprowadzonym przez niego innowacjom produkcja mogła ruszyć na szerszą skalę, a duże firmy wytwarzające dzemy, żelki i słodycze, mogły łatwiej przechowywać i transportować towar. Hermetycznie pakowane produkty spożywcze mogły mieć dłuższą datę przydatności do spożycia. Można też było uzyskać bardziej wyraziste kolory na skutek udoskonalenia sztucznych barwników, co sprawiało, że produkt wydawał się klientom bardziej atrakcyjny. Żelki mogły mieć nie tylko barwę soczystej zieleni, ale mogły też mienić się złotymi bądź srebrnymi drobinkami. Każde dziecko pragnęło takich żelków. Ponadto nowe technologie umożliwiły wzbogacenie produktów o dodatkową zawartość witamin, co natychmiast podchwyciły koncerny produkujące słodycze dla najmłodszych. Skoncentrowany na dalszych innowacyjnych badaniach naukowych z dziedziny chemii, Langer sprzedał za olbrzymie pieniądze patent wielkiej międzynarodowej firmie, która szybko uczyniła z idei witaminowych cukierków główny chwyt sprzedażowy, i niebawem wszystkie mamusie zachodniego świata zapragnęły wzbogacać dietę swoich dzieci o żelki mieniące się kolorami tęczy, by dostarczać pociechom cennych witamin, a także przy okazji sówitej porcji białego cukru, o czym nikt na razie nie myślał. Kolorowe reklamy z uśmiechniętymi dziećmi i uśmiechniętymi mamusiami bombardowały kanały telewizyjne. Domy, płoty i ulice obwieszono billboardami. Langer myślał, że za mało zażądał od koncernów za swój patent chemiczny, chociaż wziął tyle, że mógłby na pniu wykupić wszystkie z trudem i po domowemu sklepane minibiznesy swoich kuzynów znad Wisły. Myślał też jednocześnie, że dobrze się stało, że sprzedając patent, pozbył się tego balastu, że to już nie jest jego problem. Miał zresztą inne, dużo poważniejsze, które martwiły go znacznie bardziej, a dotyczyły jego żony.

Christine była coraz bardziej nieobecna. Nie tylko myślami, ale też fizycznie. Może początkowo nie zauważył, że często wychodziła z domu i wybierała się w podróże, które nie były związane z prowadzeniem galerii sztuki. Langer, zajęty sprzedażą patentów i dostosowywaniem biznesu do nowych kanałów sprzedaży, nie śledził jej poczynąń i nie zdawał sobie sprawy, jak wygląda jej codzienne życie. Poza tym nie miał w zwyczaju jej kontrolować, zostawiał jej całkowitą swobodę wyboru

rodzaju aktywności zawodowej, którą chciałyby się zająć. Ona zaś dotąd ceniła tę wolność i cieszyła się, że może sama o wszystkim decydować. Nie potrafiłaby inaczej, nie mogłaby.

Gdyby miał w zwyczaju bardziej ją kontrolować, pewnie by widział, że co najmniej raz w miesiącu jego żona podróżuje w pewne nieznane mu miejsce, o czym nie miał pojęcia, i spędza tam cały dzień. Wracała z tych wypraw jeszcze bardziej milcząca, z zasznurowanymi ustami, ze szklistym wzrokiem, blada, smutna i coraz chudsza. Langer błędnie interpretował jej stan, tłumacząc to sobie przepracowaniem lub wpływem czasu, który powoli zabierał Christine młodość.

– Dla mnie jesteś i będziesz najpiękniejsza – mówił, gładząc ją delikatnie po twarzy, na której pojawiały się pierwsze zmarszczki.

Jakże się mylił! Niestety, jego czujność pozostała uśpiona, o co długo miał potem do siebie żal.

Tymczasem Christine z dnia na dzień traciła radość życia. Nie chciała wychodzić do ludzi, nie bawiły jej przyjęcia i przyjmowanie gości. Jedynym, co przynosiło jej odrobinę wytchnienia od smutku, była twórczość. Malowała więcej. Jej obrazy były coraz bardziej mroczne i gwałtowne. Wyraziste, kipiące barwami, wśród których dominowała czerwień w różnych odmianach. Od barwy maków na lipcowym polu pełnym słońca, po odcień zakrzepłej krwi, gęsty i głęboki, albo barwę wytrawnego wina. Piła przy tym alkohol, który - jak mówiła - dodawał jej odwagi w twórczych realizacjach. Langer rozumiał ją i nie protestował, ciesząc się, że znalazła dla siebie zajęcie, dzięki któremu - jak się zdawało - ponownie rozkwitała. Jej obrazy zyskiwały uznanie, nie były tylko wytworem jej emocji, miały formę i przekaz, który trafiał również do innych osób. Organizowano dla niej wernisaże, a jej prace wystawiały renomowane galerie, co niezmiennie ją peszyło, zamiast cieszyć i dodawać pewności siebie. Twórczość Christine nie była przejawem domorosłych ambicji bogatej żony ani sposobem na pokonanie nudy w codziennym życiu. Christine naprawdę była malarką, a Langer był z niej ogromnie dumny i wspierał jej artystyczne działania. Chociaż wolał ją w mniej „twórczej” wersji, wolał swoją dawną, roześmianą Christine, taką, jaką poznał i pokochał. Wolałby, żeby malowała spokojniejsze, bardziej stonowane i mniej mroczne obrazy. Chciałby, żeby nie wycofywała się z życia.

– Te obrazy są bardzo ostre kolorystycznie... – mówił czasem w zamyśleniu, przechadzając się po jej pracowni.

– Jak twoje żelki dla dzieci. Jakby rzucić twoimi żelkami o płótno – odpowiadała mu z przekorą, umazana farbą na czerwono, jakby była ranna.

Machała pędzlem, a krople czerwieni rozbryzgiwały się na sztalugi. Krzywił się wtedy, bo wiedział, że ona tych jego żelków nie lubi. Jej zdaniem były ohydne. I miała rację, ale przecież on tych żelków nie robił, on tylko opracował patent, on tylko ten patent sprzedął.

Potem Christine zaczęła zaniedbywać swoje dwie ulubione przyjaciółki, modelkę Simonę i rzeźbiarkę Anneke. Wcześniej często się z nimi spotykała, odwiedzały się, spędzały razem wakacje w ciepłych krajach. Od pewnego czasu Langer nie widział w domu ani Simony, ani Anneke. Obie w tym okresie zostały matkami, więc uznał, że zapewne dlatego Christine przestała utrzymywać z nimi kontakt. Przecież nie mieli dzieci. Smutek, który zagościł w ich życiu, mógł wynikać po części właśnie z tego, że pozostawali bezdzietni. Jego biznesowi partnerzy pozakładali rodziny, w ich ogródkach biegały roześmiane maluchy, w salonach leżały porozwalane budowle z klocków, a ich żony zajmowały się organizowaniem kinderballi i przyjęć urodzinowych.

Jednak także i to nie było proste.

*

Chciał mieć z nią dzieci, był pewien, że będzie wspaniałą matką. Poruszył ten temat pewnego jesiennego popołudnia.

– Osiągnęliśmy zawodowo wszystko, co mogliśmy – zaczął.

Siedzieli na miękkich skórzanych fotelach przed olbrzymim kominkiem w ich sypialni. Ogień działał relaksująco, otulało ich przyjemne ciepło, a w sercach zagościł spokój – tak przynajmniej sądził Langer i tak to odczuwał. Dlatego wybrał ten moment na ważną rozmowę.

– Czy jesteś ze mną szczęśliwa? – zapytał.

Christine drgnęła w fotelu, zakryła się kocem po szyję, a jej twarz rozjaśnił delikatny uśmiech.

– Najbardziej, jak tylko mogę – odpowiedziała cicho.

Na to właśnie czekał Langer, tego potrzebował. Jeszcze będzie dobrze, pomyślał.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę – szepnął z radością.

Za oknem zaczynała się wichura, ostatnie jesienne liście spadały na ich taras, otoczony ze wszystkich stron bujnym ogrodem.

Przysunął się do niej, chciał ją objąć, ale odsunęła się delikatnie.

– Jestem zmęczona – westchnęła i odchyliła głowę do tyłu.

– Malowałaś do późna?

Skinęła głową.

– Za dużo pracujesz – powiedział łagodnie. – Rozumiem, że to kochasz, ale może... zwolnimy tempo. Martwię się o ciebie.

– To po prostu gorszy okres – odparła po chwili zastanowienia.

– A może... – odważył się. – A może... czas na to, żebyśmy mieli dziecko?

Christine odwróciła wzrok. Właśnie tego pytania bała się najbardziej, choć wiedziała, że kiedyś je usłyszy. Sądziła nawet, że wcześniej. Kochała go i nie chciała go zawieść. Nie mogła jednak postąpić wbrew sobie. A najgorsze było to, że nie mogła dać po sobie tego poznać. Kolejna cholerna gra pozorów, którą prowadziła niemal bezwiednie, resztką sił.

– Jeszcze nie teraz – powiedziała aksamitnym głosem, który potem długo dźwięczał jej w uszach. – Nie jestem gotowa.

Gula utkwiała jej w gardle, nie była w stanie powiedzieć nic więcej.

– Ale chcesz mieć ze mną dziecko? – upewnił się.

Cóż mogła powiedzieć? Skinęła głową, na wypowiedzenie jakichkolwiek słów zabrakło jej sił, miała ściśnięte, sparaliżowane gardło. Oczywiście, że chciała mieć dziecko z tym mężczyzną, z nikim innym. Jednocześnie bardzo tego pragnęła, ale też wiedziała, że nie może sobie na to pozwolić. Gra pozorów weszła w kolejną fazę, a Christine była w niej sama.

Sama musiała stawić czoło upiorom, które stanęły na jej drodze. To były jej upiory. Nie mogły dopaść jej męża. On musiał pozostać

nieświadomy tego, co odkrywała na swój temat i co przerażało ją coraz bardziej.

*

Christine mieszkała w rezydencji jak duch, coraz bardziej przezroczysta i nieobecna. Langer wezwał lekarzy, którzy kazali jej łykać kolorowe pigułki w różnych kształtach. Miały one rzekomo przywrócić w jej życiu pozytywne emocje. Wszyscy ci lekarze po jakimś czasie wychodzili z domu Langer z poczuciem klęski. Wzruszali ramionami, uciekali pełnym skruchy wzrokiem przed jego spojrzeniem albo mamili obietnicami, że na efekty kuracji trzeba poczekać. Christine tymczasem nikła w oczach, jadła jak ptaszek, leżała cichutko na którejś z rozłożystych kanap w ich wielkim szwajcarskim domu, siedziała w fotelu w jedwabnym szlafroku, patrząc tępo w okno. Z troski o jej zdrowie zatrudnił dwie opiekunki, które dotrzymywały Christine towarzystwa, kiedy on był w pracy.

Przez cały ten czas usłyszał wiele diagnoz na temat stanu zdrowia żony, a przeważała w nich teoria o silnym stresie pourazowym. Co ciekawe, kiedy pytał, co mogło go spowodować, terapeuci twierdzili, że jest to najprawdopodobniej stres świeży. Ich zdaniem sytuacja stresująca, która była katalizatorem obecnych reakcji Christine, nastąpiła niedawno. Jakkolwiek jej prażródół - jak określiła jedna z terapeutek - należy szukać w znacznie bardziej odległej przeszłości.

Ciężkie czasy przysły także dla firmy Langer. Wszystko przez wielkie międzynarodowe koncerny, które miały coraz większe wymagania i rzadziej wchodziły w kooperację z mniejszymi firmami badawczymi. Ponadto nastała era tanich produktów z Chin, co nie ominęło branży, w której działał Langer. Po co płacić za drogie patenty i rodzime europejskie receptury, skoro można mieć tańsze zamienniki wytwarzane w Chinach? Co z tego, że gorszej jakości, a czasem nawet w ogóle z pominięciem surowych norm produkcyjnych, którym hołdował Langer. Poza tym ci cholerni Amerykanie, oni zawsze musieli być ze wszystkim szybsi, tańsi i bardziej wydajni. Kuzyni Langer też mieli kłopoty. Oni wprawdzie twierdzili, że Langer u siebie w Szwajcarii ma istne El Dorado pieniądzem płynące, ale de facto wiele z problemów, jakich doświadczał na polskim poletku, miał też Langer. Jego kuzyni po kolei plajtowali, tania produkcja z Chin ich wykończyła. Nie pasowali do milenijnej kultury korporacji, nie nadążyli za nowościami. Szymon

nawet miał problemy z mafią, podpadł komuś możnemu, długów narobił i uciekł za granicę. Łukasz sprzedał firmę niemieckiemu koncernowi, musiał zwolnić polskich pracowników. Mówił potem, że mu ktoś w złości przejechał gwoździem po samochodzie, też niemieckim, powypadkowym, który tylko wyglądał na wypasioną furę. A poza tym jakieś baby z torbami opluły jego Grażynę. Pewnie żony zwolnionych pracowników.

– Nie trzeba było mieć zakładu w podlódzkim Rzgowie, tam każdy wiedział, kto gdzie mieszka. Trzeba było działać w Warszawie, tam to ponoć nie plują. Ładne ulice są i czyste, i grzeczni ludzie – gadał potem Łukasz nad wódeczką przy imieninach Szymonowi, a Szymon się tylko śmiał, mocno już wstawiony, choć do śmiechu mu nie było, bo za nim w Warszawie chodziły jakieś zbiry, i nie były to panusie małżonki roboli, tylko kolesie spod naprawdę ciemnej gwiazdy, że niby on wisi im hajs. Potem pobrał pożyczki od takich różnych biur, co to reklamowali się, że łatwo pożyczają. Miła pani i miły pan na kolorowej reklamie pokazywali, jakie to proste: idziesz, a oni ci dają. I możesz już mieć na nowy telewizor, na autko dla żony, wakacje pod palmami czy ratowanie upadającego biznesu, coraz bardziej szemranego zresztą. Dopiero gdy przychodzi do spłacenia rat i odsetek, zdajesz sobie sprawę, że to droga donikąd. I pozwalasz, by rosła spirala długów. „Ratuj, kuzyn!”, biegli wtedy jeden z drugim do Langer, prosić o wsparcie finansowe, którego ze dwa razy udzielił, jak się okazało – bezzwrotnie. „Nie miałeś żadnej poduszki finansowej?”, pytał ze zdumieniem, chociaż domyślał się odpowiedzi. Pojęcie oszczędzania było obce jego kuzynom. Zjadła ich pewność siebie i pazerność. Podróże po świecie, drogie hotele, futra z prawdziwych szynszyli dla żon, prywatne szkoły dla dzieci i pałace w stylu dworkowym pod Rzgowem – z biegiem lat coraz bardziej zaniedbane, niemodne, tracące na wartości.

Langer współczuł kuzynom, ale w przeciwieństwie do nich mądrze zainwestował pieniądze i nie żył ponad stan. Dlatego finansowo mógł odetchnąć, nie musiał rozpaczliwie walczyć o to, czy zostanie na powierzchni. Ponadto miał przecież swoje problemy.

*

O tym, że Christine nie pojechała na wernisaż do Wiednia, dowiedział się przez przypadek. Zadzwoił wtedy do Simone, która mieszkała w tym mieście, z jakimś drobnym, niezbyt ważnym pytaniem. Zdaje się,

że chciał ją zaprosić do nich na weekend. Simone odebrała telefon zdziwiona, nie spodziewając się kontaktu z jego strony, ale jeszcze bardziej zdumiała ją informacja, że Christine miała być w Wiedniu.

– Mówiła, że cię odwiedzi – powiedział. – Ma właśnie wywiad do magazynu „Neue Art”.

– „Neue Art” to raczej nie. Ten magazyn zamknęli dwa lata temu. Coś musiałeś pomylić. – Simone za późno zreflektowała się, że powiedziała za dużo, i chrząknęła z zakłopotaniem.

Langer pomyślał w pierwszej chwili, że faktycznie się pomylił.

– Czyli nie widziałaś się z nią w ten weekend? – dopytał.

Simone zastanawiała się, co odpowiedzieć. Gdyby umówiła się z Christine, że będzie ją kryć, inaczej przebiegałaby teraz jej rozmowa z mężem przyjaciółki. Tymczasem zarówno ona, jak i Langer byli po prostu zaskoczeni.

– Och, ostatnio mam mnóstwo zajęć, Oskar i Melania są absorbujący, wiesz przecież! – usiłowała wybrnąć, opowiadając o swoich dzieciach. – Christine wspomniała o spotkaniu, ale chyba nie słuchałam jej uważnie.

Langer pomyślał ze smutkiem, że Simone najwyraźniej nie była tak bliską przyjaciółką Christine, jak sądził. Zrobiło mu się żal żony, zaczął sobie wyrzucać, że poświęcał jej ostatnio zbyt mało czasu. Oddalili się od siebie i takie były tego efekty – nie wiedział, gdzie ona spędzała weekend, i nawet nie miał kogo o to zapytać.

Był przy tym całkowicie pewny, że nie chodziło o romans. Większość mężów przy podobnej okazji pomyślałaby o romansie żony, ale nie on. Znał Christine bardzo dobrze, ufał jej i wierzył. Gdyby zresztą miała go zdradzać, zrobiłaby to już wcześniej, gdyby była tego rodzaju kobietą, romansowałaby z właścicielami galerii i domów aukcyjnych, kusiłaby wdziękami innych artystów czy marszandów. Nic takiego nie miało miejsca. Dlatego był pewien, że jej nagłe zniknięcie podczas rzekomego wywiadu do branżowego magazynu nie było spowodowane schadzką z kochankiem.

Odłożył telefon z mieszanymi uczuciami. Zawsze dawali sobie z Christine dużo swobody, bywało, że nie widywali się przez całe dni, a nawet tygodnie, każde z nich było bowiem zajęte własnym życiem, on firmą, ona – podrózkami jako właścicielka galerii i jako artystka. Wolność

i zaufanie były dla obojga niezwykle ważne. Tak bardzo chciał, żeby to zaufanie nie zostało nadwyrężone. Musiał z nią pomówić, koniecznie, po jej powrocie.

Christine zjawiała się w domu milcząca i smutna, nie wiedział, jak z nią rozmawiać, żeby jej nie przestraszyć i nie urazić. Nie czuł złości, że go okłamała. O ile faktycznie to było celowe kłamstwo, w co nadal wątpił z właściwą sobie naiwnością mężczyzny, który żyje ideałami. Czuł bardziej troskę niż żal. Patrzył, jak zdejmuje czarne sztyblety i rozpina lekki beżowy płaszcz, który otulał jej drobne ciało niczym puchata chmurka. Jej twarz była szara ze zmęczenia. Christine uśmiechnęła się lekko, widząc go w progu domu.

– Padam z nóg – wyszeptała po polsku, kiedy chciał ją objąć. – Idę do sypialni. Będę teraz spać jak bóbr.

Było to niepoprawne sformułowanie, co niezmiennie rozczulało Langerę. Christine często tego zwrotu używała, mieszając w nim dwa związki frazeologiczne – „spać jak suseł” i „płakać jak bóbr”. I oba były tu nieprzypadkowe, oba miały swoje symboliczne znaczenie.

– Chciałbym z tobą pomówić – powiedział.

– Nie teraz, proszę, najpierw to odeśpię.

Szła przez korytarze ich wielkiej rezydencji do głównej sypialni, już w pokoju w biegu zdejmowała sweter i koszulkę, a on kroczył za nią, bezradny i zmieszany. Musnęła jego usta pocałunkiem, kiedy kładła się do łóżka.

Kilka godzin później zeszła do kuchni po kawę i croissanta, ubrana w czerwony jedwabny szlafrok ze wzorem w egzotyczne ptaki. Powieki jeszcze miała zlepione resztkami snu. Usiadła przy stole i schowała twarz w dłoniach.

– Co się dzieje, Christine? – Langer się zmartwił. – Jesteś chora?

Patrzył na nią i zapomniiał, o czym chciał z nią porozmawiać, że chciał ją zapytać, gdzie była podczas wywiadu w Wiedniu, który się nie odbył.

Wstała, żeby przygotowywać kawę.

Milczała, gryzła sobie wargi niemal do krwi, odwrócona tyłem do niego, czajnik elektryczny szumiał, ekspres do kawy parował, otwierała szuflady w poszukiwaniu papierosów, które gdzieś tam ukryła na czarną

godzinę, ręce jej drżały. Nie była nałogową palaczką, ale czasem wypalała papierosa dla odprężenia, chociaż starała się to robić w samotności. Nie była dumna z tej swojej drobnej słabości.

Langer podszedł do niej, chciał ją objąć, ale się odsunęła.

– Martwię się o ciebie. Widzę, że coś się dzieje – powiedział bardziej stanowczo. – Porozmawiaj ze mną.

Zaczynał się denerwować w ten męski, gwałtowny sposób właściwy człowiekowi, który przez większość życia pozostaje łagodny. Stał po drugiej stronie kuchennej wyspy, za którą Christine powoli mieszała kawę srebrną łyżeczką.

– Chodź, weź tę kawę i porozmawiaj ze mną, do cholery! – Miał ochotę chwycić ją za ramię i zaciągnąć do stołu.

Rzuciła mu ukradkowe spojrzenie. Tym razem mu nie ucieknę, pomyślała ze smutkiem, tym razem będę musiała coś wymyślić, żeby wybrnąć. A może postawię na szczerłość? Może się odważę, może odkryję te swoje cholerne karty, jakieś szatańskie najwyraźniej, które przydzielił mi los, niełaskawy i okrutny.

Usta znów jej się ciasno zasznurowały, gardło wyschło momentalnie, żołądek się ścisnął jak mała przesuszona śliwka.

Tak, nie ucieknie mu tym razem. Jej łagodny, zdystansowany, spokojny mąż rzeczywiście tracił cierpliwość. I miał do tego prawo.

– Christine, nie możemy tak żyć – podniósł głos.

Ona usiadła przy stole nad kawą, na którą nie miała ochoty. Wiedziała, że prawdopodobnie nic tego dnia nie weźmie do ust, głód i potrzeby ciała przestały istnieć.

– Chcę wiedzieć, co się dzieje. – Stał naprzeciwko niej bezradny, ręce mu drżały, ciało kipiało od emocji. – Coś się dzieje złego, ja to widzę, a ty mi nie mówisz. Chciałbym ci pomóc. – Głos mu złagodniał. – Jeśli wpadłaś w jakieś kłopoty, proszę, powiedz mi. Tylko wtedy będziemy mogli wspólnie znaleźć rozwiązanie.

Usiadł przy stole. W milczeniu patrzyli na siebie intensywnie.

– Wiem, że nie byłaś na wywiadzie w Wiedniu – powiedział łagodnie.

Tak bardzo chciał, by jego słowa nie zabrzmiały jak wyrzut, jak desperacka próba kontroli.

– Gdzie wtedy byłaś? – spytał cicho.

Wstała od stołu, odrzuciła gwałtownie włosy do tyłu, związała ciasniej pasek szlafroka.

– Nie u kochanka, jeśli o to ci chodzi! – powiedziała w gniewie.

Mówiła po polsku. Coraz częściej, w stanie silnego wzburzenia używała tego języka. Zazwyczaj łapała się na tym i przechodziła z powrotem na niemiecki. Langer pomyślał, że wolałby się z nią kłócić po niemiecku, że wtedy jakoś mniej by to bolało – łudził się. Niemiecki znał świetnie, ale nadal jego językiem naturalnym, językiem jego pochodzenia, pozostawał polski.

– Wiem, że nie u kochanka – powiedział po niemiecku pojednawczym tonem. – Wierzę ci, Christine, i wiem, że nie masz innego mężczyzny. Znam cię od lat.

W jej oczach były gniew i lęk, krążyła nerwowo od jednego krańca kuchni do drugiego. Paliła papierosa i gwałtownie wydmuchiwała dym.

– Czy na pewno? – syknęła po polsku. – Na pewno mnie znasz?

Zaraz powtórzyła to wszystko po niemiecku i dalej po francusku, w jakimś dialekcie, którego nie znał na tyle dobrze, by nadążyć za dalszymi słowami, które wypluwała z siebie z szybkością karabinu maszynowego. A może to był hiszpański? Kataloński? Langer się pogubił, wiedział tyle, że nic nie rozumiał. Chodziła po kuchni, kipiąc od emocji, opowiadała coś, o czym nie miał pojęcia i czego nie miał szans zrozumieć. Mówiła chyba bardziej do siebie niż do niego.

– Poczekaj, stój, hej! – krzyknął po polsku, chcąc przerwać ten potok nieznanym sobie słów.

Drgnęła na środku kuchni, zatrzymała się, jakby ocucona jego poleceniem. Spojrzała na niego ostro, całe wcześniejsze rozemocjonowanie minęło. Była skupiona, nieruchoma, niby spokojna, kiedy mówiła po polsku:

– Nie mogę mieć dzieci, rozumiesz?

Usiadł bezwiednie na krześle, ona nachyliła się nad stołem, patrząc mu prosto w oczy.

– Nigdy nie będę mieć dzieci – powtórzyła. – Po to tam byłam. Żeby się badać. – Przeszła z powrotem na niemiecki, brzmiał teraz w jej ustach zimno, obco i twardo. – Po to tam jeździłam, słyszysz?! Do tych... instytucji. – Oddychała spazmatycznie, w jej oczach lśniły łzy. Opadła na krzesło bez sił i schowała twarz w dłoniach.

– Och, Christine – westchnął Langer. – Bardzo mi przykro. Jakoś to zniesiemy. Przetrywamy.

Nic innego nie przyszło mu do głowy, ale te słowa były szczere. Jedyne, które mógł w tej chwili wypowiedzieć.

Naprawdę ufał, że ten problem nie zniszczy im życia. Był gotów pogodzić się z tym, że nie zostanie ojcem. Sama wiadomość, choć zła, pozwoliła mu myśleć, że zidentyfikował problem, i teraz będzie mógł racjonalnie i stopniowo szukać rozwiązania. W efekcie uda mu się sprawić, że jego żona ponownie będzie szczęśliwa, że razem będą szczęśliwi. Chociaż już pewnie w inny sposób, bo część planów i nadziei się nie ziści. Najważniejsze, że już wiem, o co chodzi, teraz może być tylko lepiej, myślał.

Podszedł i ją przytulił. Poddała mu się bez entuzjazmu, była jak zmaltretowana gałązka wyschniętych traw na wietrze, taka delikatna i jakby bez życia.

– Robiłam, co mogłam – mówiła bardziej do siebie niż do niego, tym razem w pięknym, hiperpoprawnym i w pełni zrozumiałym dla niego języku niemieckim. – Aber das war so schwer. Ich könnte nicht... Ich dachte dass es noch möglich ist. Myślałam, że się uda. Myślałam, że to zaakceptuję. Och, wolałabym nie wiedzieć. Wolałabym tego wszystkiego nie wiedzieć. Dlaczego tam jeździłam? Ja już nie potrafię normalnie żyć. – Wyrwała się z jego uścisku, odeszła na bok.

Stała teraz na tle wysokiego tarasowego okna, a słońce, które nagle wyszło zza chmur, rzucało na jej sylwetkę ostre, świetliste promienie.

– Zrozumiem, jeśli mnie zostawisz – powiedziała.

– Nie zrobię tego, Christine.

– Zostaw mnie.

- Nie.
- Pomówimy później.
- Chcę być w tym z tobą.
- Zostaw mnie teraz, proszę, muszę odpocząć.

I tak wyglądała ich ostatnia rozmowa.

Christine poszła na górę do sypialni, on został przy stole w kuchni, znieruchomiły z żalu i smutku.

*

Źle spał tamtej nocy, przewracał się z boku na bok. O trzeciej nad ranem zszedł do salonu, gdzie przez tafle tarasowych okien do wnętrza wpływała księżycowa poświata. Niebo było przejrzyste, pokryte siecią gwiazd. Stał na tarasie, wdychał przesiąknięte mrokiem powietrze. Powtarzał sobie w myślach, że wszystko będzie dobrze. Jest przecież silnym dojrzałym facetem, poradzi sobie. Będzie wspierał Christine, wspólnie wyjdą z tych kłopotów. Sprowadzi jej najlepszych lekarzy, także tych od duszy, przecież nie raz pokonywał rozmaite trudności. W jego sercu zadomowił się jednak niepokój, taki ciężki, trudny do opanowania, częściowo tylko zrozumiany logiką i okolicznościami. Bezsenna noc skłoniła go do spaceru po ogrodzie, zaczął więc brnąć przez krzewy i dekoracyjne trawy, ignorując wytyczone przez ogrodnika ścieżki i przejścia. Odgarniał z twarzy liście, gałęzie smagały go po głowie i przedramionach. Jego własny ogród, tak przyjemny i miły dla oka za dnia, zdawał się teraz zarośniętą dżunglą z chaotyczną płataniną posepnych, wrogich ludziom roślin. W powietrzu wisiała cisza, którą uznał za uspokajającą.

Wrócił do ich wspólnego łóżka. Christine spała na boku, ciepła i miękka. Zastanawiał się potem, czy to nie był przypadkiem fragment jego snu, czy nie śnił tego na jawie.

Wtedy ostatni raz widział swoją żonę. Kiedy wstał rano, łóżko było puste. Znalazł na nim kartkę.

„Nie szukaj mnie teraz. Jestem bezpieczna. Bądź szczęśliwy”.

Przez tydzień chodził struty, obijał się o meble w pustym domu. Został porzucony przez żonę. Zdarzyło się niejednemu. Na przemian śmiał się

sobie w twarz i płakał. Może sobie na to zasłużył. Co nie zmienia faktu, że tęsknił. Szaleńczo tęsknił i się martwił.

Nie mógł długo wysiedzieć na miejscu. Czuł się strasznie, przeglądając jej osobiste rzeczy, ale nie mógł postąpić inaczej. Zresztą wcale nie kryła swoich skarbów. Zostawiła je na widoku w swoim pokoju, po prostu leżały na biurku. Jakby chciała, żeby je odnalazł. Były tam wydruk książki Doroty Wiśniewskiej, poświęconej sekretom z przeszłości Łodzi, notatki Christine, zdjęcia oraz szkice miejsc i osób.

I wtedy wszedł w tę historię. Obiecał sobie, że nie spocznie, póki nie pozna jej do końca. Da żonie czas, a potem jej poszuka. Nie mógł już dłużej pozostawać biernym.

ROZDZIAŁ 3

DOROTA

Wynajmowała kawalerkę w nowym bloku na Bałutach w okolicach Julianowa, czyli blisko terenów, którymi interesował się Langer. Zamieszkała tam głównie dzięki Filipowi, który wcześniej był jej sąsiadem w starej kamienicy w centrum Łodzi, a ostatnio postanowił wynieść się w spokojniejsze okolice. Stanowczo twierdził, że nie zdierży dłużej dusznej i przygnębiającej aury panującej w starych łódzkich kamienicach, dlatego bez większego sentymentu sprzedał mieszkanie odziedziczone po ciotce. Mówił, że przeprowadzka pomoże mu zacząć nowe życie. I rzeczywiście, nie pomylił się. W nowoczesnym budownictwie wiele rzeczy wydawało się prostszych. Już choćby to, że była winda, i nie musiał pudeł z dobytkiem wnosić na własnych plecach po stromych schodach.

Ponieważ byli przyjaciółmi, a Dorota szukała nowego lokum, postanowiła wynająć mieszkanie w tym samym budynku. Niby nie byli parą, ale bardzo się lubili, a połączył ich jogging. Wprawdzie lubiła stare budynki, ale także i ona musiała przyznać, że nowoczesne osiedle miało swoje zalety. Należały do nich siłownia plenerowa na wewnętrznym dziedzińcu oraz klub fitness w budynku od strony ulicy. A także ładna nowoczesna kuchnia i świeżo wyremontowana łazienka. No i najważniejsze – cisza pod oknem, której na próżno mogła szukać w centrum.

To było nawet zabawne, bo całkiem przypadkiem na siebie trafili w tamtej kamienicy, kiedy on robił remont, a ona wynajmowała pokój od starszej pani. A teraz znów byli blisko siebie, może nie przez ścianę, jednak nadal w tym samym budynku. I nadal przerabiali to samo, czyli kończący się remont u niego w mieszkaniu oraz bałagan przeprowadzkowy u niej. Jako jej kolega łatwo dostępny na miejscu, pomagał Dorocie nosić pudła i skręcać meble. Często się z tego powodu odwiedzali. I pewnie ktoś inny na ich miejscu już by chciał wypróbować bliższego związku, ale nie oni. On pod potężną posturą i powierzchowną pewnością siebie krył nieśmiałość, ona natomiast bujała w obłokach swoich niespełnionych artystycznych planów, które sprawiały, że jej jedynym aktualnym celem było napisanie idealnej, wspaniałej powieści,

gotowej rozpałić serca czytelników bez względu na płeć, wiek i zawód. Tak czy inaczej, na głębsze i długotrwałe uniesienia miłosne w jej obecnym życiu nie było miejsca.

Filip też zresztą był zajęty. Pracował jako policjant, a niedawno awansował z drogówki do dochodzeniówki. Był dumny z tego okupionego ciężką pracą sukcesu. Pośrednio zawdzięczał go także chodzeniu na jogging z Dorotą. Słynął z nieuleczalnej miłości do czekolady i wszelkich wyrobów cukierniczych, którymi raczył swój nienasycony żołądek, co skutkowało nadwagą i spadkiem sprawności. Dzięki Dorocie, a może bardziej dlatego, by jej zaimponować, starał się zredukować spożycie cukru. Mimo to cały czas nie wierzył, że taka dziewczyna jak ona może zwrócić na niego uwagę. Dziwił się, że postanowiła z nim biegać, traktował to jako wyróżnienie. Cóż, można uznać, że Filip nie grzeszył poczuciem własnej wartości. Co zapewne można tłumaczyć tym, że przez parę lat wychowywał się w domu dziecka, zanim wzięła go do siebie niedawno zmarła ciotka.

– Dokąd się wybierasz? – spytał znad pudła, które wnosił do kuchni Doroty.

Wkładała właśnie bluzę dresową i szukała brązowych adidasów. Niestety, jak dotąd znalazła tylko różowe, które nie były najlepszym wyborem, gdyż podczas biegu nie chciała rzucać się w oczy. Wymyśliła sobie bowiem, że wybierze się na wizję lokalną do opuszczonych domów na skraju miasta. Zamierzała wystąpić w roli biegaczki, która przypadkiem podbiega do ogrodzenia i przypadkiem zagląda ludziom do ogródka. Mogłaby też w podobnym celu udawać grzybiarkę albo wyjść na spacer z psem, gdyby takowego posiadała. Pies właściwie by się przydał, pomyślała. Czułabym się pewniej, mając u boku czworonogiego obrońcę.

– Widziałeś gdzieś moje brązowe adidasy? – odpowiedziała pytaniem na pytanie.

W zasadzie nie lubiła biegać i nie miała dobrej formy. Do biegania zmusiła się kilka miesięcy wcześniej tylko dlatego, żeby wesprzeć Filipa w jego walce o szczuplejszą sylwetkę i zdrowszy tryb życia.

Razem szukali adidasów, ale ich walka skończyła się klęską. W przedpokoju stała góra nierozpakowanych rzeczy, aż dziw, że tyle tego wszystkiego zdołała zgromadzić.

– Przebiegnę się z tobą – zaproponował Filip. – O ile nie masz nic przeciwko temu.

Ucieszyła się, że zyska ochroniarza. Tylko istniało ryzyko, iż on będzie marudził, by w jakieś rejony się nie zapuszczać.

– Idę na ten jogging częściowo w związku z pracą – zastrzegła. – Piszę o willach w pobliżu domu ciotki Łucji. Mówiłam ci. Chcę tam pobiec i obejrzeć te domy.

– Więc tym bardziej powinienem wybrać się z tobą – skwitował z uśmiechem, po czym poszedł się przebrać.

A Dorota musiała biegać w różowych butach.

*

Szybko odkryła, że uczeń przerósł mistrza. To znaczy Filip, którego początkowo to ona wciągała w bieganie, naprawdę zyskał świetną formę. O wiele lepszą niż ona. Już po dwóch kilometrach wspólnego biegu była srodze zasapana, a on zdawał się w ogóle nie odczuwać zmęczenia. To było zastanawiające, ale też pozytywne. Nie bez znaczenia wobec jej zmęczenia pozostawał zapewne fakt, że podczas biegu ciągle mówiła. Opowiadała mu o pracy, o ostatnim zleceniu, o tym, co zdążyła wyczytać w sprawie.

– Chciałabym wierzyć, że jeśli zrozumiemy to, co było, uda nam się uniknąć błędów z przeszłości – wysapała podczas biegu przez las. – Będziemy mądrzejsi o wnioski płynące z nauki historii. Dlatego chcę o przeszłości opowiadać.

To było naiwne myślenie i Filip tylko przez grzeczność nie wyprowadzał jej z błędu.

Dorota zrobiła wstępny internetowy rekonesans okolicy. Najpierw ustaliła na starych mapach, jak nazywała się ulica, przy której stały te domy i jaki był ich adres. Już historia nazwy była znacząca. Przed wojną ulicę nazwano na cześć jednego z bardziej popularnych polskich drzew, prawdopodobnie nazywała się Klonowa. Po wojnie, w latach 1945–1946 otrzymała miano związane z pewnym znaczącym radzieckim miastem, według źródeł była bowiem ulicą Stalingradzką. Od 1990 roku jej patronem został natomiast generał Armii Krajowej Leopold Okulicki „Niedźwiadek”. Tak więc już na wstępie odnalazła ślady tak zwanej wielkiej historii.

Następnie przejrzała przedwojenne książki adresowe. Dowiedziała się, że interesujący ją dom zamieszkiwała rodzina o niemieckobrzmiącym nazwisku Scheer, spolonizowani niemieccy fabrykanci, którzy najpewniej opuścili to miejsce na zawsze w początkowym okresie działań wojennych. Nie mieli jednak związku z Langerem ani z jego żoną czy jej krewnymi.

Przeglądanie książek adresowych dostarczyło Dorocie wielu wrażeń, wręcz nie mogła się od tej czynności oderwać, błędząc wzrokiem po coraz to nowych słupkach zawierających dane ludzi, którzy dawno odeszli do przeszłości. W spisie mieszkańców znalazła mieszankę nazwisk żydowskich, polskich i niemieckich, rzecz charakterystyczna dla Łodzi okresu przedwojennego. Po 1945 roku większość tamtych domów przekształcono na lokale komunalne, czyli przeszły na własność Skarbu Państwa.

O tym wszystkim opowiadała Filipowi podczas biegu, a on starał się wykazywać zainteresowanie, co nawet nieźle mu wychodziło.

Biegli po zapomnianej szutrowej drodze, mijając zaniedbane i niemal wchłonięte przez przyrodę obejścia, dziurawe ogrodzenia i porozwalane resztki muru. Trasa była ciemna, pozbawiona chodników i błotnista, a po jej obu stronach rosły gęsto drzewa, wśród których kryły się budynki. Część była opuszczona, o czym świadczyły okna pozabijane dyktą. Część zaś, o dziwo, przejawiała pewne cechy, które przemawiały za tym, że ktoś w nich mieszka. W jednym stojącym bezpośrednio przy drodze dostrzegli na parapecie kwiatki w doniczkach, a także suszące się przed wejściem pranie. Tu też okna zabito dyktą, ale niektóre pomieszczenia zdawały się użytkowane, zapewne w skrajnej biedzie. Na podwórku jednego z domów stał dziecięcy wózek, a obok znajdowała się prowizorycznie sklecona piaskownica z porozrzucanymi kolorowymi łopatkami. Pogoda była brzydka, zatem nie spodziewali się zobaczyć bawiących się na zewnątrz dzieci, ale może i w tym względzie czekała ich niespodzianka.

Filip pomyślał, że tędy naprawdę szło się wyłącznie wtedy, kiedy nie było innego wyjścia. Także jazda samochodem nie była dobrym pomysłem, jeśli nie chciało się mieć karoserii zachlapanej błotem i oberwanego zawieszania. Do tego na końcu trasy znajdowały się tory kolejowe i niestrzeżony przejazd oraz resztki czegoś, co kiedyś było stacją. Obecnie nawet grafficiarze nie mieli ochoty zapuszczać się w te

rejony. Pociągi kursowały tu rzadko, a cała linia rozpaczliwie wołała o remont. Ta droga prowadziła właściwie donikąd – do starego zapomnianego cmentarza pod Zgierzem i dalej na składowisko złomu.

Ale przecież kiedyś, całkiem niedawno, to miejsce tętniło życiem. Musiało tu być jasno, wesoło i przyjemnie. Przed drugą wojną światową spędzano tu wakacje, letnie urlopy, organizowano przyjęcia w ogrodzie i pikniki, w których lubowali się majętni obywatele. Właściciele willi musieli należeć do zamożnej klasy średniej, a byli wśród nich zarówno Polacy, Żydzi, jak i spolonizowani Niemcy. Dorota przypomniała sobie liczne pocztówki i zdjęcia z dwudziestolecia międzywojennego, na których przedstawiono pikniki w parku Helenów, wyścigi końskie na Rudzie, zawody strzelnicze i wyścigi zaprzęgów. Przedwojenna Łódź obfitowała w letnie rozrywki na świeżym powietrzu.

Lata powojenne to już była zupełnie inna bajka i zupełnie inny świat. Kraj wyniszczony wojną, ludzie pokaleczeni fizycznie i psychicznie, w żałobie i ośpieniu, rozdzieleni z rodzinami, musieli łaknąć normalności jak powietrza. Może nie umieli się w tej rzekomej normalności odnaleźć. I tu już Dorocie nie przyszły do głowy skojarzenia z pocztówkami w kolorze sepii, romantycznymi i pełnymi uroku, lecz zgoła inne obrazy: zdjęcia przodowników pracy i socrealistyczne plakaty. A zaraz potem migawki z ubeckich katowni.

Pogmatwane losy, zamotane dzieje – bo najpierw sanacja i fabrykanckie majątki, potem wojna i smutne losy większości dawnych właścicieli, a na koniec, jakby tego było mało, jeszcze siermiężny komunizm, który chyba najwięcej szkód wyrządził eleganckim niegdyś rezydencjom w środku tego podmiejskiego lasu. W latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku „dawano” te mieszkania prominentnym urzędnikom, partyjniakom, służbistom i całej tej masie ówczesnych celebrytów, którzy jednak często po dekadzie kończyli swoje prorządowe kariery w głębokiej niełasce; zaczynali pocieszać się wódką, warzyć samogony; nie trzymała się ich kasa, portfele ziały pustką... No i zanedbane to wszystko było, z roku na rok coraz bardziej, nie tylko obecni mieszkańcy willi. Wille wprawdzie okazały się wytrwalsze w niepisanym plebiscycie na to, kto przetrwa dłużej: stoją dalej. Jakoś stoją. W nędzy i rozpacz, ale jednak. A generał czerwonej armii, taki dla przykładu Sobczyk, to już ziemię gryzie od dwóch dekad i mówią, że nadal czuć wokół jego grobowca gorzałą. Podobnie jego kumpel

od kielicha Jan Walusek, co to przydział parteru w willi obok dostał w pięknym dla niego roku Pańskim 1951. Też dawno już na lepszym ze światów jest nasz Jan, choć może tak nie do końca trafił do nieba – wszakże jedynie słuszna władza wymogła na nim zaprzestanie wszelkich obrządków i wierzeń okołoreligijnych.

Takie rozważania snuła Dorota podczas biegu przez las, w którym stały wille. Szukała tej najważniejszej, o której mówił Langer. Tej, dla której zlecił pisanie całej pracy, i tej, na której powinna się skupić.

Wreszcie do niej dobiegła. Willa stała na skraju lasu, w oddaleniu od drogi. Pomiedzy zaroślami było widać ponury zarys potężnego gmachu. Królował złowieszczo nad okolicą, na niewielkim wzniesieniu, otoczony sporym, lecz słabo zadrzewionym ogrodem.

Ogrodzenie było zniszczone, brama wjazdowa właściwie nie istniała. Dookoła ani żywej duszy. Zastanawiali się z Filipem, co dalej. Po krótkiej naradzie postanowili podejść bliżej. Ku ich zdziwieniu drzwi wejściowe nie były zamknięte na zamek. Filip początkowo protestował przed wtargnięciem na teren cudzej posesji, która pewnie była czyjąś własnością, bo przecież do niego nie należała, więc musiała należeć do kogoś innego, ale w końcu zmienił zdanie. Uznał, poniekąd słusznie, że jeśli nie wejdzie tu teraz razem z Dorotą, ona najpewniej jutro tu wróci, i to sama.

Wnętrze okazało się jedną wielką zagadką. Natychmiast po przekroczeniu progu Dorota wiedziała, że w jej badaniach musi chodzić o tę willę. Okazała się szczególna.

*

Pokonali stertę gruzu przy wejściu, ostrożnie stawiając kroki. Bali się, że krucha podłoga zapadnie się pod ich ciężarem. Deski podłogowe były jednak całe, nie zauważyli w nich dziur. Willa wbrew pozorom była w niezłym stanie, pomimo faktu, że od lat musiała stać pusta.

Nagle uwagę Doroty przyciągnęły drewniane drzwi prowadzące na ganek. Podeszła bliżej i przysunęła twarz do drewna. Pogładziła zniszczoną powierzchnię dłonią.

– Widziałeś? – Wskazała na ościeżnice. – Ktoś posiekał je nożem...

Śladów było mnóstwo. Rozciągały się niemal na całej szerokości drzwi i ościeżnic, prawie do podłogi.

– Pierwszy raz widzę coś takiego – mruknął Filip.

Dom był pełen drewnianych elementów konstrukcyjnych i boazerii, która zachowała się w zaskakująco dobrym stanie, nie licząc lekkich nacieków wilgoci na ścianach z oknami. W holu głównym drewniane płaskorzeźby pozostały nietknięte, a domorosły rzeźbiarz nie ozdobił ich wytworami swojej wyobraźni. Podobne dekoracje zdobiły dalsze pomieszczenia domu, w tym pokój służący niegdyś za jadalnię oraz kolejny służący za bibliotekę. Płaskorzeźby były surowe, jednak wykonanie misternych motyli, wazek, wielkich liści oraz kwiatów wymagało nie lada kunsztu. Owocowy motyw zdobił drzwi do spiżarni, które nie zostały pocięte. Kwiaty i liście oplatały wejście niczym furtkę do tajemniczego ogrodu.

Na Dorocie zrobiło to duże wrażenie. Jeszcze bardziej poruszona była w jadalni. Na drewnianej serwantce wyrzeźbiono bowiem oczy, naturalistyczne, wyłupiaste, z półprzymkniętymi powiekami i zmarszczonymi brwiami. Wyglądało to upiornie. Zdawały się śledzić przechodzące obok osoby, oceniać je niełaskawym wzrokiem. A może zależało, kto na te oczy patrzył i z jakimi emocjami. Dorota widziała głównie śmiech, a Filip wyższość i obrzydzenie.

– Niezłe, co?

Nachyliła się nad górskim krajobrazem, wyrzeźbionym z boku drewnianej obudowy schodów. To dzieło było dla odmiany wesołe i optymistyczne. Rzeźbienia w drewnie były zarówno piękne, jak i złowieszcze. Przepelniały widza nieokreślonym lękiem.

Przeszli na boczną werandę, wykonaną w całości z drewna. I tam przeżyli kolejny szok. Weranda była zniszczona, deski od dołu przegniły od wilgoci i obrosły mchem, ale dało się zauważyć, że nie wszystkie zniszczenia stanowiły twór natury. Tu również, podobnie jak drzwi do holu, ktoś pociął drewno na ścianach jakby w szale. Nacięcia były nieregularne i gwałtowne, raz głębsze, raz płytsze. Znajdujące się pod nimi wyrzeźbione rysunki zostały w większości zmasakrowane. Ktoś walił w nie na oślep ostrym narzędziem, celowo niszczył z wielką siłą.

– Wandale? – spytała.

Filip pokręcił głową.

– Nie sądzę.

Pogładził dłonią pokancerowane ściany.

– To stare ślady. Mają z kilkadziesiąt lat. Gdyby to byli współcześni wandal, toby gorzej to wyglądało. Wszędzie byłby rozpiardziel. No i graffiti.

Dorota wyczuła pod dłonią pozostałości jakichś napisów. Niestety, nie dało się ich odczytać. I o to zapewne chodziło osobie, która posiekała ściany.

Wyjęła telefon komórkowy i zrobiła zdjęcia. Pokaże je Langerowi, kiedy następnym razem się spotkają.

Było w tym coś magicznego. Duże szklane przestrzenie okien otulały werandę z trzech stron. W podwójnych szybach część popękała, część została zbita, ale i tak całość robiła ogromne wrażenie. Okna wieńczyły resztki podłużnego witrażu ciągnącego się wzdłuż linii ganku. Witraż był brudny, pokryty pajęczynami, ale nadal dawało się zauważyć kolory, wśród których dominowały lekka żółć, przyćmiona kurzem, oraz nasyciona czerwień, pociemniała zapewne ze starości. Z jednej strony do pomieszczenia wpadały promienia słońca, co sprawiło, że witraż mienił się kolorami i rzucał barwną poświatę na pocięte ściany. Emanowała z tego wszystkiego ponura energia, jakby z pogranicza światów – tego rzeczywistego i bajkowego.

Filip poczuł przypływ emocji oraz siłę. Początkowo była to złość na wandal. Potem złość na siebie, która natarła na niego z całą mocą. Złość na to, że nie może się odchudzić i że dotąd był bierny. Pozwalał innym robić ze sobą to, co chcieli.

Dorota zastanawiała się, kto i po co zniszczył drewniane elementy domu. Otworzyła kilka przypadkowych szafek, ale znalazła w nich jedynie kurz i śmiecie. W kuchni dawało się zauważyć pozostałości po pijackiej imprezie, na stole zostały puste butelki po wódce. Wszystko pokrywała gruba warstwa kurzu, więc impreza odbywała się raczej dawno. Doprawdy dziwne, że ten dom nie zgnił i nie spróchniał przez lata, że nie podzielił losu wielu innych porzuconych nieruchomości. Sprawiał nawet wrażenie, że ktoś jeszcze niedawno o niego dbał. Ta zaskakująca myśl nagle wpadła Dorocie do głowy, więc postanowiła ją sobie zapamiętać i zbadać sprawę pod tym kątem.

Nie znaleźli żadnych cennych rzeczy. Ich uwagę zwróciły natomiast plakaty, które wypatrzyli na pierwszym piętrze, w schowku pod schodami. Mocno zakurzone, wyglądały jak zabrudzone plansze z tektury. Delikatnie przetarli kurz, a wtedy ich oczom ukazały się socrealistyczne scenki z pierwszych lat komunizmu w Polsce, a wśród nich portret Stalina, niezbyt udany i nadgryziony nie tyle zębem czasu, ile przez jakieś wyposażone w ostre zęby zwierzę. Dorota wytarła rękę. To wszystko było brudne, obrzydliwe i lepkie. Lepkością ciężką i niemiłą, od której wolisz trzymać się jak najdalej. Pokonując wstręt, zrobiła plakatowi zdjęcie telefonem komórkowym. Bowiem nie w każdym domu, choćby pamiętał tamte czasy, znajdowano plakaty propagandowe w szafce pod schodami. Już bardziej stary kalendarz czy gazetkę rolniczą. Swoją drogą, to ciekawe, pomyślała Dorota, co się z portretami Stalina czy Bieruta stało, bo przecież kiedyś niemal każdy miał je w swoim domu. Większość spłonęła potem w piecu, wylądowała w śmietniku, posłużyła za podstawki pod koryta dla świń albo coś w tym stylu. Mało kto, jak sądziła, takie „dzieła” przechowywał, może z wyjątkiem muzeum w Kozłówce. Zastanawiała się, czy plakaty mają jakieś znaczenie dla historii tego domu.

Zanim Langer złożył jej propozycję, zaczęła pisać monografię poświęconą tworzeniu w Łodzi państwowości polskiej po drugiej wojnie światowej. Łódź pełniła wówczas funkcję nieformalnej stolicy kraju, jako że nie została zniszczona przez okupantów. Dlatego to właśnie tutaj powołano urzędy i instytucje, tymczasowo przeniesione ze zrównanych z ziemią Warszawy czy Lublina. Dorota rozważała rozpoczęcie badań na temat wydziału propagandy Komitetu Wojewódzkiego PPR w Łodzi, od początkowego okresu tworzenia się struktur, po sfałszowane referendum w czerwcu 1946 roku, wybory do Sejmu w 1947 roku i plan sześćioletni. Źródeł było dużo, zakładała więc, że to praca na długie lata. Teraz wyczuwała, że temat badań dla Langer'a okaże się zbieżny z jej zainteresowaniami. Dotyczył tych samych lat, jej zleceniodawca naprawdę dobrze trafił, wybierając właśnie ją.

Wyszli na ganek. Filip przystanął kilka metrów przed domem i patrzył na jego pochmurne, zmęczone oblicze. Ten dom był taki smętny, podupadły i samotny. Ale to się niebawem miało zmienić. Odzyska swoją historię. Stanie się bohaterem opowieści, którą napisze Dorota.

Zostawili za sobą przedziwny rzeźbiony dom, który zniknął w gęstwinie drzew i dawno nieprzycinanych krzewów, opleciony gałęziami i niemal wchłonięty przez naturę. A jednak znalazł się ktoś, kto postanowił ocalić go od zapomnienia.

LANGER

Ich kolejne spotkanie miało się odbyć w hotelu Grand, w mniej oficjalnej atmosferze niż na uniwersytecie. Dorota stanęła przed wejściem onieśmielona, bowiem hotel stanowił ucieleśnienie dawnego luksusu w staromodnym, przesiąkniętym historią stylu. Nigdy wcześniej nie wchodziła do środka, restauracja była dla niej zbyt droga, a w kawiarni przesiadywali głównie goście hotelowi, czyli starsi wiekiem cudzoziemcy, najczęściej potomkowie dawnych mieszkańców Łodzi, którzy odbywali sentymentalną podróż do ojczyzny swoich polskich, żydowskich lub niemieckich praojców. Wracali, by zobaczyć dawną ziemię obiecaną, o której nasłuchali się od dziadków na ich łożu śmierci. Biznesmeni wybierali z reguły nowocześniejsze hotele, na przykład Andel's w kompleksie handlowym Manufaktura albo typowo biznesowe hotele w południowej części Piotrkowskiej.

Przed wejściem do hotelu Grand znajdowała się Łódzka Aleja Gwiazd z nazwiskami znanych ludzi – Jana Machulskiego, Andrzeja Wajdy i Poli Negri oraz wielu innych. Ilekroć Dorota tamtędy przechodziła, zwalniała kroku, by chociaż w ten sposób okazać im szacunek.

W restauracji przywitała ją elegancka obsługa. Stoliki były przykryte nieskazitelnie białymi obrusami, na ścianach pyszniła się ciemna wzorzysta tapeta, stare lampy rzucały przydymione światło.

Langer siedział przy oknie i przeglądał gazetę. Kiedy zobaczył Dorotę, skinął głową w jej stronę.

– Cieszę się, że panią widzę. Czego się pani napije?

– Poproszę podwójne macchiato.

Zamówili kawę, po czym przeszli do interesów.

– Byłam w tamtej okolicy – powiedziała. – Obejrzałam willę. Widział ją pan?

Langer pokiwał głową. Od tego zaczął swoją wizytę w Łodzi. Był podobnie oszołomiony jak Dorota. Też zdumiały go rzeźbienia na ścianach i plakaty propagandowe.

– To dawny dom Scheerów – wyjaśniła. – Sprawdziłam. Izaak Scheer przed wojną był kupcem, ślad po nich zaginął na początku 1940 roku. Co działo się z domem po wojnie, na razie nie wiem. To jest trudniejsze do ustalenia. Pewnie poszedł pod kwaterunki.

Langer znów pokiwał głową i wyjął z torby dużą teczkę kartonową.

– Obiecałem pani więcej informacji. Oto najnowsze efekty dochodzenia.

Przejrzała dokumenty. Były wśród nich wypisy z aktów urzędowych oraz zdjęcia, a także kserokopie odręcznych notatek.

– Proszę to zabrać i dokładnie przestudiować – polecił. – Ma pani świeży umysł, nowe spojrzenie, może pani zobaczy coś, czego ja nie zdołałem dojrzeć... – Potarł powieki.

Zdał jej się teraz człowiekiem bardzo zmęczonym i bezradnym. Kimś, kto zrobił wszystko, co mógł, a teraz doszedł do granic swoich możliwości.

– Mam kilka pomysłów i tropów. Proszę zwrócić uwagę na nazwisko Michalina Starska. – Wskazał pierwsze zdjęcie w tezcze.

Czarno-biała fotografia legitymacyjna przedstawiała ciemnowłosą kobietę w średnim wieku o niepozornej urodzie. Na brzegach zdjęcia widniały resztki urzędowej pieczętki. Dorocie nie udało się odczytać rozmazanego napisu.

– Z dokumentów wynika, że Michalina Starska tuż po wojnie pracowała w wydziale propagandy Komitetu Wojewódzkiego w Łodzi. I to właśnie ona mieszkała wtedy w tej willi – wyjaśnił Langer i westchnął ciężko, uprzedzając pytanie Doroty. – Niestety, nie wiem, co ta kobieta ma wspólnego z moją żoną. Nie pamiętam, czy wspomniałem, że Christine została adoptowana, i nie znam jej biologicznych rodziców. Mój detektyw bada ten wątek.

– Zna pan jej adopcyjnych rodziców?

– Zmarli, zanim poznałem Christine. Zawsze ciepło o nich mówiła. Wiem, że działali w organizacjach dobroczynnych i byli kolekcjonerami

sztuki.

– Myśli pan, że jej prawdziwi rodzice pochodzili z Polski?

– Tak przypuszczam. Na razie moim głównym tropem jest Michalina Starska.

Dorota spojrzała na niewyraźne zdjęcie.

– Skąd pan wie, że ona ma coś wspólnego z tym domem? – zapytała, długą łyżką mieszając kawę pokrytą puszystą pianką.

Nie mógł jej powiedzieć wszystkiego, bo istniało ryzyko, że wówczas nie dałaby rady skupić się na tym, czego od niej oczekiwał. Miała się zająć jedynie łódzkim wycinkiem tej tragicznej historii, której ofiarą po latach stała się niespodziewanie jego żona.

– Żona wiele razy powtarzała to imię i nazwisko przez sen – wyjaśnił.
– Malowała portrety kobiet. I tylko jedną osobę podpisała imieniem i nazwiskiem. Właśnie Michalinę Starską. Z całą pewnością Christine nie łączy z tą kobietą pokrewieństwo w linii prostej. Urodziła się zbyt późno, żeby być córką Michaliny. Muszą istnieć inne powiązania. I liczę na to, że pani je odkryje.

Zapadła cisza. Każde z nich dopijało swoją kawę, patrząc przez okno na przechodniów spieszących Piotrkowską w obu jej kierunkach.

– Kiedy wczyta się pani w te teczki, zobaczy pani, że informacje o Michalinie Starskiej urywają się w 1946 roku. – Langer odstawił filiżankę. – To nazwisko to pierwszy punkt zaczepienia w tej sprawie, dlatego od tego zacząłem. Natomiast wcale nie jestem pewien, czy to jest sedno wszystkiego. Rozumie pani? Potrzebuję otwartego umysłu. Mogą być inne ważne wątki, do których jeszcze nie dotarłem. I na tym polega pani zadanie, by ich poszukać. Przynajmniej jeśli chodzi o łódzką część tej historii. Zagraniczne wątki biorę na siebie i będę panią o nich informował.

– Co pańskim zdaniem mogło stać się z Michaliną? – odważyła się zapytać.

Langer się zawahał. W tym czasie do hotelu weszła grupka staruszków pod opieką przewodnika, który konwersował z obsługą na temat rezerwacji stolika. Starsi ludzie mówili po niemiecku. Langer przez

chwilę przypatrywał im się w zamyśleniu, po czym zwrócił wzrok na teczkę, której zawartość przeglądała Dorota.

– Mogła podpaść władzy. Mogła trafić do więzienia... Mogła zginąć w tym domu.

– Aż tak?

– Sprawa ma związek z aparatem państwowym. – Powoli wymawiał słowa, akcentując każde, jakby chciał, by wybrzmiały mocno i dobitnie. – Chodzi o UB, pani Doroto. Stare ciemne sprawy. Będzie pani musiała wniknąć w tę tematykę. Nie jestem znawcą, ale powiedzieć, że to były ciężkie czasy, to mało. Ci ludzie z teczki, którzy są w jakiś sposób powiązani z moją Christine, w tamtych czasach działali w aparacie bezpieczeństwa. A później podpadli i zapłacili za to wysoką cenę. Tak to widzę ja, laik. W tamtym domu stało się coś złego. Tam kogoś napadnięto. Zabito ludzi... Według mojej hipotezy uczestnikiem tych wydarzeń była jakaś bliska Christine osoba, prawdopodobnie ktoś z jej rodziny. I teraz coś z tych dawnych spraw wypłynęło na wierzch. A ja poruszam się po omacku. Ta historia nie skończyła się dobrze. Ale pani przecież to wie. Do tego trzeba mieć mocne nerwy.

Skinęła głową. Owszem, wiedziała. To nie była pierwsza tego typu praca w jej dorobku. Pomagała też świadomość, że wydarzenia, o których pisała, nie dotyczyły jej bezpośrednio ani też żadnej z bliskich jej osób. Miały miejsce dawno, w innej rzeczywistości, w innych okolicznościach.

Langer wskazał wzrokiem teczkę.

– Niektóre dokumenty otrzymałem przed chwilą, więc nie zdążyłem ich dobrze przejrzeć. Trzeba to wszystko prześledzić, a potem jeszcze opisać tak, by dało się zrozumieć – zaakcentował ostatnie słowo. – Dane są strasznie chaotyczne. Ja nie mam humanistycznego zacięcia, żebym to zrobił sam. Chcę, by napisała to pani po ludzku. Żeby to była piękna historia. Wiem, że pani potrafi. Christine tego właśnie chciała.

– Na co jeszcze mam zwrócić uwagę? – spytała.

Langer nachylił się nad stolikiem.

– W tym domu doszło do strzelaniny we wrześniu 1946 roku. Prawdopodobnie były ofiary.

– Wie pan, kto do kogo strzelał?

– Ponieważ sprawa jest związana ze służbami bezpieczeństwa, to sądzę, że to były porachunki między UB a bandami z lasu.

– To możliwe – przytaknęła. – Ale rozumie pan, że szczegóły mogą być niemożliwe do ustalenia po tylu latach?

– Biorę to pod uwagę – przyznał. – Niemniej proszę postarać się znaleźć odpowiedź także na to pytanie. Kto strzelał i do kogo w tym domu. Ale najpierw skupi się pani na Michalinie Starskiej. Może to fałszywy trop, ale jedyny pewny, jakim obecnie dysponuję. Żaden inny portret autorstwa mojej żony nie został podpisany. A Starską malowała wielokrotnie. Proszę zacząć od niej. Ja będę badać sprawę w Szwajcarii. Kiedy tylko dowiem się, kim byli biologiczni rodzice Christine, natychmiast panią poinformuję.

Spojrzał za okno i twarz mu stężała.

– Choćbym miał paść trupem, dowiem się, co lub kto niszczy życie Christine i dlaczego – oznajmił ostrym tonem, zapalczywym i pełnym emocji, których dotąd po sobie nie pokazywał.

Dorota ze zrozumieniem pokiwała głową. Ten człowiek był zdeterminowany, by poznać prawdę, chociaż mogła okazać się okrutna.

– Zrobię, co w mojej mocy – obiecała i przysunęła do siebie teczkę.

*

W domu od razu przejrzała jej zawartość i nie mogła wyjść ze zdumienia. Ktoś zadał sobie sporo trudu, aby to wszystko zgromadzić. Część dokumentów była po rosyjsku, a ona nie знаła tego języka. Wpadła na pomysł, że pojedzie do rodziców i poprosi o pomoc ojca. Radomir znał rosyjski w stopniu co najmniej dobrym, o czym nie raz miała okazję się przekonać.

Odebrał telefon po pierwszym sygnale.

– Przetłumaczysz mi z rosyjskiego pewne dokumenty? – poprosiła. – To dotyczy mojej pracy i jest bardzo pilne.

Ojciec nigdy nie odmawiał jej pomocy, tak też było i tym razem.

– Przynieś, to zobaczę, co da się zrobić. Ale wiesz, że żaden ze mnie Puszkin... Proste rzeczy tak. Bardziej skomplikowane musisz zanieść do

tłumacza.

– Dasz radę, tato.

– Czego dotyczą te dokumenty?

W skrócie opisała projekt i wyjaśniła, że chodzi o początki komunizmu w Polsce po drugiej wojnie, a konkretnie o aparat bezpieczeństwa w Łodzi. Odpowiedziała jej cisza.

– Jesteś tam? – upewniła się, czy nie przerwało połączenia.

– Jestem... – Głos ojca zabrzmiał niewyraźnie.

– To kiedy mogę przyjść?

– Kiedy chcesz, córuś – westchnął. – Nasze drzwi zawsze stoją dla ciebie otworem.

– Dobra, przeczytam te polskie dokumenty i przyjdę. Pewnie jutro wieczorem.

– Świetnie. A teraz wybacz, muszę kończyć. Twoja matka woła mnie do stołu.

Dorota miała wrażenie, że ojciec zachowywał się trochę dziwnie. Był roztargniony, jakby nie mógł się skupić. Pewnie to nic, pocieszała się, po prostu zaskoczyłam go moją prośbą.

Zaparzyła sobie herbatę, po czym usiadła przy stole w kuchni i zabrała się do pracy.

Teczka zawierała także zdjęcia i to od nich zaczęła. Delikatnie wzięła pierwsze w dłonie. Przedstawiało kobietę i mężczyznę, idących pod rękę wzdłuż Piotrkowskiej na wysokości Tuwima, czyli niedaleko ówczesnego komitetu wojewódzkiego. Domyśliła się, że kobietą jest Michalina Starska. Na razie nie знаła tożsamości mężczyzny, który pojawiał się też na kilku innych fotografiach. Jej uwagę przykuła jedna z nich. Mężczyzna miał na sobie mundur. Stał wśród innych oficerów przed dużym domem otoczonym zielenią. Zdjęcie było czarno-białe, a na domiar złego wyblakłe, więc nie widziała dokładnie twarzy oficera, który stał na dalszym planie. Na odwrocie zdjęcia widniał podpis: „Obiekt w szkole kadr, 1945”.

Spomiędzy odbitek wypadła kartka z odręcznym zapisem, z którego wynikało, że „obiekt Michalina Starska spotyka się z majorem Antonim

Gołąbkiem”. Kolejne zdjęcia przedstawiały twarz tego mężczyzny z bliska, a ujęcia świadczyły o tym, że zrobiono je z ukrycia. Mężczyzna miał około czterdziestki, ciemne włosy i ponurą twarz. O takich ludziach myślimy, że są przebiegli, mogą też być władczy i nieznoszący sprzeciwu, uznała Dorota. Zależnie od sytuacji mógł również być odważny, opiekuńczy i troskliwy. Tak go sobie wyobraziła Dorota, zastanawiając się, jak potoczyły się jego losy. Zdjęcie na odwrocie podpisano po rosyjsku, ale domyślała się, że przedstawia majora Gołąbka. Notatka służbowa na temat charakteru związku Michaliny Starskiej z tym oficerem mówiła wprost, że pozostawali w zażyłych stosunkach.

Dorota poczuła odrazę na myśl o tym, że w oficjalnych aktach państwowych umieszczono informację o tak intymnych sprawach. Zdało jej się to obrzydliwe. Wzburzyło ją też słownictwo użyte w notatce. Przeważały ostre i wartościujące słowa, typowe dla języka propagandy. Do opisu człowieka używano bezosobowych określeń takich jak: obiekt, punkt obserwowany, przedmiot obserwacji. Przystąpiła do dalszej merytorycznej pracy i zaczęła szukać informacji o Michalinie Starskiej, majorze Gołąbku oraz dziwnym rzeźbionym domu.

Przeglądała internetowe bazy Instytutu Pamięci Narodowej. Dowiedziała się, że Michalina Starska w 1945 roku miała trzydzieści osiem lat i pełniła funkcję kierownika w wydziale propagandy łódzkiego komitetu wojewódzkiego. W katalogu funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa znalazła też nazwisko majora Gołąbka. Nie miała dostępu do innych dokumentów, ale mogła w skrócie prześledzić karierę oficera. Wyglądało na to, że cieszył się nieposzlakowaną reputacją. Działacz socjalistyczny jeszcze przed wojną, syn drobnego rzemieślnika o właściwej przynależności klasowej. Po wojnie odpowiedzialny za tworzenie Szkoły Kadr przeniesionej w 1945 roku z Lublina do Łodzi oraz wykładowca przedmiotów wojskowych tamże. Kierował wieloma akcjami specjalnymi, w tym przysłużył się likwidacji podziemia w podłódzkich lasach.

Ślad po Michalinie Starskiej i majorze Gołąbku urywał się jesienią 1946 roku. Dokładnie tak, jak powiedział Langer. Dalej nie znalazła już żadnej wzmianki o tej parze, o pracy czy choćby leczeniu szpitalnym lub pobycie w więzieniu. Wydało się jej dziwne, że tak bogate akta były niekompletne, ale to się zdarzało. Różni ludzie na przestrzeni lat mieli

interes w tym, by usuwać pewne dane, i tak tworzyły się mroki historii. Poza tym nie miała jeszcze pełnego dostępu do najbardziej utajnionych dokumentów, na który musiała poczekać.

Postanowiła wypytać lokatorów domów sąsiadujących z willą. Wyobrażała sobie, że odnajdzie jakąś wiekową osobę pamiętającą tamte wydarzenia. Niestety, wszędzie słyszała, że nikt nic nie wie albo nie pamięta. Dwa razy w ogóle nie wpuszczono jej do środka. Lokatorzy najczęściej byli dziećmi bądź wnukami osób, które zamieszkały w tych mieszkaniach komunalnych w połowie ubiegłego wieku. Jedno, co zdołała uzyskać, to potwierdzenie, że w willi po Scheerach w tamtym roku doszło do jakiejś strzelaniny i spaliła się szopa. Nic więcej mieszkańcy okolicznych domów nie umieli albo nie chcieli jej powiedzieć. Przestrzegali nawet, by Dorota w tym nie grzebała.

– Pani to zostawi, to straszne czasy były – mówili. – Ktoś na kogoś napadł tam. Pewnie ubecy na tych z lasu.

– Albo ci z lasu na ubeków... – odpowiadała pod nosem Dorota.

– Może i tak być. A bo to różnica? – zapytała któraś ze starszych pań, które zgodziły się wpuścić Dorotę do środka.

I to było zasadnicze pytanie. Wcale niegłupie.

Zauważyła, że ludzie nabierali wody w usta, kiedy mieli mówić o wczesnym stalinizmie. Wielokrotnie prowadziła podobne badania na temat wydarzeń z czasów drugiej wojny światowej i wtedy jej rozmówcy zdawali się bardziej chętni do zwierzeń. Opowiadali o okropieństwach okupacji, o łapankach, o strachu, o okrutnych Niemcach i wspaniałych Polakach. Odniosła wrażenie, że owe tematy, choć straszne, zostały w pewnym sensie przez jej rozmówców oswojone. Stanowiły zamknięty rozdział – część rodzinnych historii uważanych za chlubne. Były źródłem dumy i dowodem na to, że my, Polacy, się nie poddajemy, że jesteśmy silni i damy radę.

Natomiast jeśli chodzi o wczesne lata powojenne – tu już nie było łatwo z ludźmi rozmawiać. Kończyły się barwne opowieści. Była rozmowa, nie ma rozmowy, zapadała cisza jak makiem zasiał. W umysły rozmówców nagle wdzierały się chaos i niepewność. Jak powiem, to dobrze czy niedobrze? A jeśli ktoś błędnie oceni moje słowa?

„To nie moja sprawa”, mówili wszyscy.

„Po wojnie to mój ojciec młody był, ja jeszcze w beciku”.

„Co ja tam wiem. U nas w domu się o tym nie mówiło”.

Takie odpowiedzi słyszała, gdy pytała ludzi o losy ich bliskich tuż po drugiej wojnie światowej. Co bardziej wygadani od razu zmieniali temat i przechodzili do historii rodzinnych z czasów okupacji, opowiadając, jak to ojciec z dziadkiem bili złego Niemca.

Przy okazji zauważyła, że jej rozmówcy mieli jeszcze w domu fanty po poprzednich właścicielach willi. Gotowa była się założyć, że jakaś porcelana się zachowała, jakieś resztki, które nie zostały wytłuczone przez poprzednie pokolenia. I te pozostałości zalegają teraz w rozklekotanych kredensach, być może również przedwojennych. Dostało się kiedyś niezły kwaterunek, nie było na co narzekać. Z dobrodziejstwem inwentarza. A teraz to już różowo nie wygląda. W mieszkaniach swoich rozmówców widziała głównie ubóstwo. Niektórzy byli pozbawieni podstawowych udogodnień. Kobieta z chatynki przy torach kolejowych nie miała toalety w domu. W obejściu stała waląca się drewniana sławojka. Dorota patrzyła na tych ludzi, jak siedzą w starych kuchniach na rozpadających się krzesłach, na te ściany poobdrapywane za nimi i myślała, jakie to wszystko jest kruche i krótkotrwałe.

Podczas zwiedzania okolicy spotkała ciotkę. Łucja przez całe życie nie ruszała się stąd dalej niż na kilka kilometrów. A do tego od lat spacerowała po okolicy z psami, zaglądając pewnie do różnych dziur i zapomnianych miejsc. Mogła sporo o tej okolicy wiedzieć.

– Ten dom ma bardzo dziwną historię – zawahała się. – Może nie powinnam tego rozpowiadać – zniżyła głos – ale mówiło się, żeby tam nie chodzić. Że to złe miejsce. Tam się kiedyś stało coś strasznego.

– Pamięta ciocia, co dokładnie?

– Byłam malutka... albo jeszcze nawet nie było mnie na świecie. – Wzruszyła ramionami.

Było widać, że nie chce o tym rozmawiać.

– Doszło do jakichś walk. Już po wojnie. Wiesz, wtedy jedni Polacy napadali na drugich Polaków. – Machnęła ręką. Przerwała na chwilę, po czym kontynuowała: – Dalej stały szopa i stodoła, wszystko drewniane. Spłonęły. Pamiętam zgliszcza. Potem ziemia to wchłonęła. Nie wiem,

pewnie gdzieś jeszcze są ślady. Najpierw się tu postrzelali, potem był ten pożar. A może odwrotnie. Strach było o tym mówić.

– Ktoś tam wtedy zginął?

Łucja zastanowiła się, niepewna, czy powiedzieć prawdę. I jaka ta prawda właściwie jest. Wreszcie skapitulowała.

– Podobno kilka osób. Ale to są stare, bardzo trudne sprawy. Wtedy się o tym nie mówiło, każdy wolał nie wiedzieć. I teraz też się o tych sprawach nie mówi.

– Co to znaczy, że ktoś tam na kogoś napadł? – zdziwiła się Dorota. – Kto kogo?

Łucja westchnęła ciężko.

– Ano właśnie nie wiadomo, kto kogo. W tym sęk.

– Ale jak to tak? Kogo mogłabym zapytać?

– Nie wiem. Ja nie pytałam. I teraz też nie zamierzam. – Łucja nerwowo ścisnęła w rękę torbę. – Muszę wracać. Psy zostawiłam uwiązane, nie chcę, żeby się denerwowały.

– Ale... – Dorota próbowała zatrzymać ciotkę.

– Nie dłub w tym – poradziła jej Łucja. – Dość już grzebaliśmy w przeszłości.

Poprawiła kołnierzyk kwiecistej sukienki i ruszyła przed siebie.

*

Następnie Dorota skupiła się na przeszukaniu archiwów związanych z wydziałem propagandy. W wykazie okólników i przemówień z tamtych lat znalazła kilkanaście tekstów autorstwa Michaliny Starskiej. Ściągnęła parę i uważnie przestudiowała. Były to fragmenty przemówień, podsumowania pracy działu, raporty z działań w terenie, listy do władz nadrzędnych. Znać w nich było ducha epoki, surowy, ale zarazem sugestywny język nowomowy był pełen zapału, który zdawał się autentyczny.

„Nigdy wcześniej sztuka nie weszła na podobny poziom, jeśli chodzi o moc oddziaływania na ludzkie umysły, niż teraz, tuż po okropieństwach wojny” – napisała Michalina Starska. „Nigdy wcześniej

świadomość nie była tak silnie kształtowana dzięki artystycznym środkom wyrazu, wśród tak dużej liczby odbiorców masowych. Naszym zadaniem jest kształtować umysły ludzi na wszelkie sposoby. Na spotkaniach partyjnych, na zebraniach zakładowych, na korytarzach szkół, na afiszach i tablicach ogłoszeniowych. W gazetach, w książkach, okólnikach, przedrukach. Jak najbardziej masowo. W każdym kanale masowej dystrybucji”.

To były dla Doroty słowa zaskakująco współczesne. Z łatwością mogła sobie wyobrazić, że czyta podobne dywagacje w poradniku marketingowym dla korporacyjnych bądź politycznych liderów.

Publikacje Starskiej epatowały zaangażowaniem, szczerością i wiarą w słuszność idei. Nic dziwnego, że wielu prostych ludzi dało się ponieść socjalistycznej retoryce i ideałom, skoro ona, Dorota Wiśniewska, która znała fatalne konsekwencje tamtego ustroju, chłonęła teksty Michaliny z wypiekami na twarzy, jak dobrą powieść. Czuła, że zaczyna wierzyć w wizję, które tamta przed nią roztaczała. Świat był piękny, wiele dobrego już się wydarzyło, a jeszcze więcej się wydarzy.

Dorota uległa pokusie i czytała kolejny tekst, chociaż już poprzednie dały jej wystarczający obraz sytuacji... Pomyślała, że następną pracę napisze na temat języka propagandy PRL. Porówna go do języka współczesnej polityki. Albo do języka marketingu w kapitalizmie. Język propagandy to jest to! Jak to cholernie ogłupia ludzi!

„Pokonaliśmy Niemców, budujemy nową Polskę, dla dobra obywateli, pierwszą od dawna wolną i demokratyczną. Praca u podstaw w wielu sektorach gospodarki ruszyła pełną parą i rozgrzewa serca wszystkich ludzi dobrej woli. Pokonano analfabetyzm” – donosiła Michalina w sprawozdaniu. „Daliśmy szansę na wykształcenie milionom Polaków, którzy dotąd tej szansy nie mieli. Stale pokonujemy wrogie siły, które brudzą nam i przeszkadzają tworzyć to, co piękne i dobre. Uruchomiliśmy na nowo szkolnictwo, odbudowujemy rolnictwo, dajemy ziemię chłopom, zwracając im zabraną przez złych ludzi wolność”.

Starska miała wielki talent, by umiejętnie ujmować w słowa zapał, radość i entuzjazm. Ta kobieta święcie wierzyła w głoszone przez siebie prawdy. Tylko w jaki sposób była powiązana ze sprawą? Jakie były jej dalsze losy?

Największego odkrycia dokonała, oglądając kolejne zdjęcie. Pokazywało podwórze przed domem z ogrodem w tle i osobami krzątającymi się w obejściu na dalszym planie. Również nie było pozowane, więc ktoś wykonał je z ukrycia. Na zdjęciu były dwie kobiety, jedna starsza, tęższa, nakrywała do stołu. Młodsza i szczuplejsza, ubrana w sukienkę w duże, zapewne kolorowe wzory, niosła w stronę ogrodowego stołu talerze najwyraźniej w porze obiadu albo kolacji. Na zdjęciu było też dziecko. Około dziesięcioletnia dziewczynka stała nachylona przy stole bokiem do osoby robiącej zdjęcie. Na ławce pod ścianą drewnianej szopy z tyłu obejścia siedział starszy mężczyzna. Zdjęcie mogło przedstawiać rodzinne popołudnie, które spędzali wspólnie dziadkowie, mama i córka. Intuicja podpowiedziała jednak Dorocie, że tak nie było. Nie wiedziała dlaczego, ale była przekonana, że osoby na fotografii nie są ze sobą spokrewnione. Z fotografii bił pewien leniwy, przyjemny spokój, który kazał sądzić, że te osoby dobrze się czują w swoim towarzystwie. Wpatrywała się w ten obrazek jak urzeczona. W całej sytuacji dostrzegła coś trudnego do zdefiniowania, podszytego sekretnym lękiem. Przecież samo istnienie tej fotografii świadczyło o tym, że ktoś tych ludzi obserwował. Zapewne bez ich wiedzy i zgody.

Czyżby Michalina miała córkę? Jak to sprawdzić po tylu latach? Dorota miała coraz więcej pytań i wątpliwości.

Usiłowała rozpoznać miejsce, w którym zrobiono zdjęcie. W tym celu wzięła lupę. I zobaczyła rzeźby na ościeżnicy okna. Już wiedziała, co to za budynek. Langer miał rację, tu nie mogło być pomyłki. W tamtym domu wszystko się rozegrało. Musiała znaleźć związek między ludźmi ze zdjęć i Christine Langer, bogatą kobietą mieszkającą w Szwajcarii z kochającym mężem. Zapewne było tak, że ktoś z przodków Christine albo jej bliskich był świadkiem dramatycznych wydarzeń w tej wili. Ale czy to wystarczyło, by Christine aż tak cierpiała? Jeśli czyjś pradziad dopuścił się wiele lat temu rzeczy strasznych, czy to może do tego stopnia rzutować na współczesne decyzje i wybory ludzi, których w tamtym czasie jeszcze nie było na świecie? Dorota szczerze w to wątpiła. Intuicja mówiła jej, że ta historia kryje w sobie coś więcej.

Wyszła z archiwum spragniona świeżego powietrza. Główna czytelnia instytutu znajdowała się na dawnym osiedlu Skarbowców na Julianowie. Niedaleko rozciągał się park Julianowski będący przed wojną

posiadłością fabrykanta Juliusza Heinzla. Niegdyś na terenie parku na wzniesieniu rozpościerającym się na końcu alei lipowej stał pałac inspirowany włoskim renesansem, z szerokim widokiem na stawy. Przetrwiała jedynie aleja lipowa, która obecnie wiodła w kierunku ulicy Biegańskiego. Dorota przeszła w poprzek parku, ku jego północnym krańcom, przyglądając się bezmyślnie napotkanym po drodze matkom pchającym wózki z dziećmi i starszym paniom karmiącym gołębie. Było to urokliwe miejsce, które nastrajało do relaksu, jednak ona czuła podskórny lęk. Chociaż nie było zimno, a zza chmur wyglądało słońce, ściśle otuliła się płaszczem, zawiązała pasek i wsadziła ręce do kieszeni. Czuła chłód, który pochodził z tych cholernych archiwów. Wiedziała, że dotyka spraw trudnych i tragicznych. W teczkach często znajdowały się dowody niesłychanych zbrodni, których dopuścił się Polak wobec Polaka. Oczami wyobraźni widziała listy z nazwiskami ludzi prześladowanych przez system, zamęczonych w ubeckich katowniach.

Chciała zrozumieć Michalinę i ludzi jej pokroju. Chciała wiedzieć, co sprawiło, że niektórzy poszli za ideologią, ślepo w nią wierząc. Dlaczego poświęcili życie na to, by tworzyć rzeczywistość, która miała zniszczyć innych?

Na te pytania mogła odpowiedzieć, jedynie wyciągając ogólne wnioski, generalizując i upraszczając. Przecież komunistyczną rzeczywistość znała tylko z książek. Ubeckie katownie były tematem obcym jej rodzinie. Drastyczne historie związane z tamtym okresem nie dotyczyły jej bliskich. Tamto zło ominęło ją całkowicie, nie bruździło w przeszłości, nie miało skutków w teraźniejszości. Było problemem innych ludzi, takich jak żona profesora Langerera. Były to dalekie problemy osób, które miały w życiu mniej szczęścia niż Dorota i jej rodzina. Dlatego mogła opisywać tamte wydarzenia w sposób obiektywny i naukowy, patrząc na nie z boku, bo te sprawy osobiście jej nie dotyczyły. Tak przynajmniej sądziła.

Już niedługo miała się przekonać, jak bardzo się myliła.

Na razie szła niczego nieświadoma przez park Julianowski w kierunku przystanku tramwaju linii numer cztery, a potem pojechała do swojego nowego mieszkania. Na miejscu poczuła przemożną chęć, by się spotkać z jakimś przyjaźnie nastawionym do niej człowiekiem. Po okropieństwach archiwów pragnęła zwykłej, nawet błahej rozmowy o niczym. Zauważyła dwa nieodebrane połączenia, jedno od Filipa,

drugie od kuzynki Anki, zdecydowanie najmniej rozgarniętej osoby, jaką znała. Zamierzała do niej oddzwonić później, zresztą tamta napisała esemesa. Anka dotąd miała problemy z pracą, a wynajmowanie kolejnych mieszkań kończyło się szybko i niespodzianie, po czym lądowała właściwie na bruku. Nic dziwnego więc, że Dorotę ucieszyła wiadomość: „Yupi! Dostałam prawdziwą pracę! Korpo, jako grafik. Jutro zaczynam”. Kompletnie nie miała nastroju na rozmowę z absorbującą i głośną Anką, zamęczającą otoczenie wiecznymi pretensjami, jak to ona ma źle w życiu.

Postawiła więc na jogging z Filipem. Od razu zauważył, że Dorota błądzi gdzieś myślami.

– Nowe zlecenie daje ci tak popalić? – zagadnął.

Przytaknęła.

– Jak będziesz potrzebować pomocy, to gadaj – zachęcił ją.

Jaki on miły! Fajny koleś. Coraz bardziej go lubiła. Jego pomoc faktycznie mogła się przydać.

– Dzięki. Niewykluczone, że skorzystam. Na razie muszę odkopać się z tych dokumentów. A tam są powypisywane straszne rzeczy. – Westchnęła.

ROZDZIAŁ 4

KIEDYŚ

Michalina pochodziła z plebsu, czego szczerze się wstydziła i przed wojną skrzętnie ukrywała swoje pochodzenie. Teraz jednak stanowiło atut, który pozwolił jej realizować marzenia. Nieślubna córka prostej szwaczki w zakładach włókienniczych, mieszkająca niegdyś w jednej izbie na poddaszu walącej się kamienicy przy ulicy Lutomierskiej, nie miała łatwych początków. Nigdy na nic nie miały pieniędzy, ona i matka; nie miały też dla siebie nawzajem czasu, bo matka zaharowana, a córka wiecznie z głową w chmurach. Michalinie marzyło się inne życie, obserwowала je czasem na ulicach, kiedy wałęsała się bliżej centrum. Widziała wtedy, jak panie w eleganckich sukienkach, płaszczach, kapeluszach i bucikach szły pod rękę z przystojnymi panami w garniturach, często było słychać śmiech, podniesione głosy... Radość w powietrzu... O, albo te całe festyny na rozpoczęcie wiosny lub lata, a to w parku Hellenów, a to na dalekim Zdrowiu... Wprawdzie najczęściej zamknięte dla plebsu lub biletowane, ale kto zabroni zerkać przez ogrodzenie? Łypać okiem pod osłoną krzewów? Też się wtedy Michalina pałętała, chłonąąc atmosferę, ten lepszy świat, pełen kolorów i uciech. A codzienność była szara, przysypana pyłem z fabrycznych kominów, śmierdząca ściekiem ulicy, zgniła z gruntu i pod każdym względem. Och, jakże długa to historia, wypełniona staraniami, wysiłkami, nieludzkimi czasem, czasem aż nazbyt cielesnymi...

Michalina Starska była jednak silna i miała plan. Wydostała się ze swojego rynsztoka, nie poszła w ślady matki, babki, ciotek i sąsiadek, i nie została szwaczką w zakładach Jonschera albo Scheiblera. Zaczęła od służby. Tak było najłatwiej, zatrudniła się więc u pewnego kupca średniej rangi, który miał szóstkę dzieci i wiecznie chorą żonę. Mieszkała kątem u chlebowawców, a jakże, w służbówce przy kuchni. Dwa na dwa metry powierzchni, łóżko twarde, ale własne.

Następnie wstąpiła do KPP, bo oferowali wsparcie w kształceniu. Już przed drugą wojną była nie najgorzej zapowiadającą się działaczką oświatową i kulturalną. Wówczas przynależność polityczna nie była jednak decydująca, ani też najwyraźniej nie decydowało wykształcenie,

którego Michalinie brakowało. Szef państwowego wydziału kultury w II Rzeczypospolitej nie przyjął jej na stanowisko samodzielnej referentki. Tę scenę Michalina długo zachowa w pamięci.

Zanim to jednak nastąpiło, w wieku piętnastu lat zamieszkała z młodszym bratem w majątku hrabiego Junoszy-Tarnowskiego pod Łodzią, gdzie została pomywaczką, a ochmistrzynią była jej ciotka.

W pałacu Tarnowskich Michalina ciężko pracowała. Podłoga musiała lśnić, a politura mebli błyszczeć jak diament, więc ręce miała zdarte do krwi. Od klęczenia ze ścierą w rękach skóra na kolanach zrobiła się twarda jak u słonia. Twarz ogorzała od słońca i wiatru, usta wyschły, zanim dojrzały. Michalina pamiętała córkę Tarnowskiego i jego syna, czyści byli i tacy biali. W białych strojach ich zapamiętała. I z końmi. Na koniach, obok koni. Młoda Michalina musiała sprzątać gówna końskie po tych ich przejażdżkach. Smagłe sylwetki rumaków, lekkie przejażdżki arcyszanownego wielkopaństwa po okolicznych polach i łąkach, wszystko to nadal miała przed oczami w niektóre wieczory jeszcze wiele lat później, gdy zmordowana zasypiała na swoim twardym sienniku.

I różne lekcje Michalina pamiętała, nie swoje oczywiście. Lekcje rysunku, do których zmuszana była panienka, i lekcje gry na fortepianie, do których zmuszany był panicz. Paniczowi dano na chrzcie Adolf. Panna zwała się Jadwiga. (Broń Boże, Jadźka! Jadźka to prosta chłopka, panna tolerowała swoje imię tylko w pełnej formie – Jadwiga, w gruncie rzeczy niezbyt wyszukane, ale może wzorowane na Smosarskiej?).

Jednak ani lekcje malunków Jadwigi, ani lekcje fortepianu Adolfa nie miały zdaniem Michaliny najmniejszego sensu. Paniczowi bowiem słoń na ucho nadepnął, i choćby nie wiadomo jak się starał, z jego wysiłków wychodziło tylko monotonne rzępolenie, poza rytmem i taktem. A panienka... Cóż, Jadwinia z kolei nie potrafiła kształtnie koła narysować, nie mówiąc już o jakimkolwiek bardziej złożonym obiekcie. Junosza-Tarnowski wraz z małżonką mieli doprawdy dziwną pomysłowość, że właśnie swoje dzieci wysłali na nauki przedmiotów, które wymagały talentu.

Pani Tarnowska była wielką wielbicielką sztuki. Stanowiła dla młodej Michaliny pewien wzór, była bowiem damą w klasycznym tego słowa znaczeniu. Zawsze starannie i gustownie ubrana, powierzchownie miła i lubiana w towarzystwie. Nigdy na Michalinę nie krzyczała, zresztą nie

musiała, bo na Michaśkę bez przerwy darła się jej własna ciotka, która w domu Junoszków zarządzała służbą. Ciotka była wymagająca, lała służące po paluchach i pośladkach, ganiła parobków, wszystkich trzymała żelazną ręką. Ciotka była wściekła na cały świat, za swoje mierne życie, co było widać i słyszać wszem wobec, a już zwłaszcza słyszała to Michalina, będąc najbliżej ciotki. Na dworze miało być rzekomo Michalinie lepiej niż tam, gdzie mieszkała jej własna matka. Łódzkie slumsy to był bród, smród i ubóstwo, no, przynajmniej tam, skąd pochodziła Michalina, ponieważ jej matka była niewykwalifikowaną robotnicą w bodaj najgorszej fabryce w mieście. Nic dziwnego, że praca u ciotki w majątku paniczów Junoszków miała być lepszym z wyjść. I w istocie tak się stało. A ponadto, a może przede wszystkim, był przecież Władzio. To dla małego Władzia Michalina znosiła upokorzenia od hrabiostwa.

Także u nich poznała sens swojego życia. Rozkochała się w nim sekretnie.

Pałacyk Tarnowskich był pełen dzieł sztuki. Michaśka uwielbiała wchodzić do salonów na parterze, żeby tam myć podłogi. Mogła wtedy do woli oglądać obrazy, meble i bibeloty. Chłonać atmosferę. Choćby w rękach miała śmierdzącą ścierę, prosiła o robotę na pokojach. Choć cała brudna od sadzy z kominków, oczy miała szczęśliwe, wpatrzone w obrazy na ścianach sali balowej. I te lekcje rysunku panienki Jadwini, podglądane ukradkiem przez drzwi lub z perspektywy mytej podłogi.

Spotkali się podczas jednej z akcji trofiejnych brygad. Michalina i major Gołąbek. Zatluczono wówczas pałkami jakiegoś obszarnika, a jego żonę i córki zgwałciły silne radzieckie chłopaki z bratniego kraju. Michalina wyniosła wtedy z dworku co cenniejsze obrazy przedwojennych malarzy i ceramikę. Zaczynała tworzyć swój własny, prywatny zbiór.

No i tak to się potoczyło. Major wiedział, jak zaprowadzić porządek. Zajechał na koniu przed tamten dwór i nakazał skończyć jatkę. Tylko dzięki jego interwencji polało się mniej krwi.

*

Na zebraniu kolektywu przemawiała w ten sposób:

– Komitety dzielnicowe doskonale rozumieją, jak wielkie możliwości mobilizacji partii daje masowa i systematyczna praca u podstaw. Na stu członków partii przypada jeden prelegent. Minione miesiące przyniosły dalsze wzmocnienie obozu pokoju w duchu wspierania socjalizmu. Szczególnie ważne zdają się kroki u podstaw, szacunek do każdego człowieka pracy oraz możliwość zapewnienia ludziom godziwych, bezpiecznych warunków bytowych. Nie pozwolimy dłużej na wyzysk, wykorzystywanie czy podżeganie do zdrady. Spójrzcie na kwiat młodzieży polskiej, dzieci robotnicze i wiejskie, niegdyś pozbawione możliwości rozwoju i stłamszone przez wrogie siły, teraz odzyskują swój honor, swoje szanse i nadzieje na pełne i wartościowe życie, bez wyzysku i przemocy, co należy ponownie podkreślić, drodzy towarzysze. Wypowiedzieliśmy wojnę analfabetyzmowi i możemy już teraz otwarcie przyznać, że wygramy! Uruchomiliśmy zniszczone przez zdradzieckich okupantów szkolnictwo podstawowe oraz aktywizujemy młodzież w duchu wzajemnego wsparcia i zrozumienia, walcząc ze zdradzieckimi siłami reakcji wrogich obozów.

Na uroczystości zaproszono delegacje ze szkół i ośrodków kształcenia, w tym uczestników konkursu plastycznego na pracę o Bierucie, który organizowała Michalina. Równy rząd uczniów i uczennic w białych wykrochmalonych bluzkach i ze sztandarami w dłoniach stał pod ścianą auli w budynku dawnego żeńskiego gimnazjum. Oto kwiat młodzieży polskiej, socjalistycznej, właściwie kształconej i zadbanej. Oto efekty starań nowego polskiego państwa, odradzającego się ze zgliszczy wojennych, niebawem ponownie silnego i gotowego do odbudowy.

Gdy zakończyła mowę, w sali huknęły gromkie brawa. Część publiczności stanowili zwykli ludzie, w tym wypadku prości członkowie kolektywu. Wokół zgromadzonych ustawiono ścisły kordon funkcjonariuszy, którzy mieli pilnować porządku, na wypadek gdyby któremuś z widzów przyszedł do głowy jakiś niemądry, sprzeczny z celem i treścią uroczystości pomysł.

Następnie Michalina udała się do swojego biura i sięgnęła po okólnik z wytycznymi opracowanymi podczas zjazdu partii. Była tam lista tematów i haseł mających w najbliższym czasie podlegać obróbce w różnych formach plastyczno-wizualnych. Tak naprawdę nie musiała tam zaglądać, znała bowiem wszystko na pamięć. Cały plan i jego najważniejsze punkty czy też obszary działań od dawna miała zapisane

w głowie. Liczbę kopii danego plakatu należało jeszcze doprecyzować, ale to już było zadanie ludzi w terenie, nienależące do twórców odgórnej koncepcji.

Zgodnie z notatkami Michaliny w obecnym tygodniu należało stworzyć i rozwiesić w urzędach państwowych co najmniej dwadzieścia portretów Bieruta; co najmniej dwadzieścia pięć plakatów propagandowych kaptujących do kółek rolniczych; plakaty w ramach projektu wdrożenia reformy rolnictwa; plakaty dyskredytujące kapitalistyczne reżimy oraz scenki rodzajowe z okazji rocznicy śmierci Feliksa Dzierżyńskiego.

Tematy były wielorakie – nacjonalizacja rolnictwa, zachęta do wstąpienia do partii, odbudowa kraju, bratni sojusz ze Związkiem Radzieckim... A także życie codzienne, zadowoleni ludzie, praca dla dobra ogółu, z pieśnią na ustach i uśmiechem na twarzy.

Westchnęła w wystudiowanym namyśle. Widziała to wszystko oczami wyobraźni. Chciała tworzyć prace będące idealnym połączeniem przekazu, formy i treści, które spodobają się zarówno odbiorcy o wyrobionym guście, jak i prostemu robotnikowi, którego noga nigdy nie powstała w muzeum.

Organizacja kółek rolniczych ciągle potrzebowała nowych plakatów. Wywiadowcy terenowi z urzędu donosili, że świeżo powieszzone plakaty ulegają zagadkowemu niszczeniu i trzeba zastępować je nowymi. Chłopi są czasem nierozsądni, chyba taka ich natura, myślała Michalina ze zdziwieniem. Niektórzy z nich zdawali akty nadania ziemi, które otrzymali w ramach parcelacji. Na plenarnych zebraniach komitetu oficjalnie mówiło się, że to wina propagandy reakcyjnej i straszenia chłopów przez wrogi element. Bo jak można nie chcieć wziąć ziemi, na której od lat się harowało właściwie za darmo? Michalinie nie mieściło się to w głowie. Chłopów należało teraz szczególnie mocno edukować, aby ich przekonać, że ta ziemia się im należy, że wreszcie otrzymają to, co jest ich własnością od lat.

Wygłosiła ostatnio cztery przemówienia na zebraniach kolektywu oraz w komitecie. Mówiła jak zawsze płomiennie, pełna wiary w swoje słowa. Dzięki temu porwała słuchaczy, a wielu z nich od razu zapisało się do partyjnego aktywu.

– W Polsce właśnie dokonuje się proces zmiany. Wszystko dzięki temu, że dochodzą do głosu i biorą władzę w swoje ręce masy pracujące, z klasą robotniczą na czele. Proces ten wyzwala nieprzebrane zasoby energii i inicjatywy mas pracujących, a szczególnie cenny jest ogromny potencjał ofiarności i poświęcenia milionów prostych ludzi, którzy w nowej, wyzwolonej i demokratycznej ojczyźnie przejmują ster nad swoim życiem. Cenimy ich odwagę i bohaterstwo, nadszedł ich czas i wreszcie otrzymają to, co się im należy. Wy otrzymacie to, co wam się należy, towarzysze i towarzyszki. My będziemy działać wspólnie. Obok palących zadań gospodarczych trzeba też realizować doniosłe przeobrażenia społeczne. Uruchomiliśmy reformę rolną, pierwszą w dziejach na tak dużą skalę, która wyswobodzi uciemżonych chłopów spod jarzma narzuconego przez pasożytniczych obszarników. Ulżymy ciężkiej doli bezrolnego i biednego chłopu, dając mu prawa do ziemi, która od wieków im się należała. Musicie wiedzieć, że my nie rzucamy słów na wiatr, gotowi jesteśmy natychmiast wcielić w życie to, co zapowiadamy i na co wszyscy z utęsknieniem od lat czekacie. Mówimy dość wykluczeniu ludzi słabszych i ubogich, dość nieuprawnionemu bogactwa pazernych i próżniaczych obszarników i fabrykantów. Dość!

Z jej oczu bił żar. Na sali rozległy się gromkie brawa.

– Dość! Dość! – skandowano.

Uśmiechnęła się z satysfakcją.

Podobne przemówienie wygłosiła na wiecu zorganizowanym na placu Wolności. Przyszło mnóstwo ludzi. Mężczyźni i kobiety, młodzi i starzy, nawet dzieci. Wiec był pokojowy, widzowie z nadzieją i ciekawością przysłuchiwali się mowom. Niektórzy wiwatowali, śmiali się głośno, a nawet śpiewali patriotyczne pieśni. Dzięki swojej przemysłowej historii Łódź była miastem w dużej mierze proletariackim, o bogatych lewicowych tradycjach. I teraz było czuć na ulicach ten entuzjazm, tę atmosferę radości i nadziei. Aż miło się na to patrzyło, na ten autentycznie żywy i szczery odzew ulicy.

Przemawiali ludowcy, a także towarzysze z PPR, w tym Michalina. Opowiadała, co czeka ich dobrego w najbliższym czasie. O nowych szansach i planach. O odbudowie stolicy, o wsparciu dla stolicy, którego można udzielić, i darach różnych instytucji dla osób cierpiących

niedostatek. O tym, że teraz każdy będzie równo traktowany i każdy będzie miał szansę spokojnie, uczciwie i dostatnio żyć.

– Nie zabraknie pracy dla was, obywatele! Pamiętajcie, każdego przyjmujemy do partii, każdy może brać z nami udział w procesie tworzenia i odbudowywania. Każdy jest dla nas ważny, każdy się liczy w równym stopniu. Zadbamy o każdego, kto z pobudek ideowych chce pracować dla ludowej Polski. Razem stworzymy nowy, piękny kraj!

Najpierw wiwatowano, ale zaraz zasypał ją grad pytań. Zebrani domagali się szczegółowych informacji o programie rządu ludowego i Krajowej Rady Narodowej, pytano też o stosunek do zaprzyjaźnionych państw Zachodu i bratniego ZSRR. Pytano o szkolnictwo, czy będzie bezpłatne, czy za naukę będzie trzeba płacić jak przed wojną.

– Szkolnictwo będzie bezpłatne! – zapewniała Michalina z dumą. – Każdy, kto chce, będzie się kształcił! Każdy może sobie na to pozwolić!

– A szpitale? Czy leczenie będzie dla każdego? – pytał zatroskany staruszek w pierwszym rzędzie.

I tu znów musiała potwierdzić, z dumą i satysfakcją, że tak. Będzie leczenie dla wszystkich.

– Prace już trwają. Powstają kliniki i szpitale w Warszawie, Łodzi, Krakowie, Poznaniu oraz w innych miastach. Mamy nowe Ministerstwo Oświaty i Ministerstwo Zdrowia. Zapewniam was, obywatele, że możliwie szybko otworzymy szpitale, kliniki i szkoły. Ten rząd udzieli pomocy wszystkim potrzebującym. Nigdy nie widziałam takiej życzliwości i tyle wzajemnego wsparcia. To dzięki wam, obywatele, możemy działać i budować naszą nową, wspaniałą i demokratyczną Polskę.

Na swoim własnym froncie walki o nową Polskę, czyli w ramach wydziału propagandy, Michalina nadal owocnie pracowała nad wprowadzaniem w życie idei plakatu propagandowego opartego na chwalebnych wzorcach radzieckich.

Ku jej wielkiemu zaskoczeniu niełatwo było znaleźć kogoś, kto będzie choć dostatecznie utalentowany. Strasznie trudno było o porządne kadry. Wysłali wprawdzie oficjalne propozycje współpracy do przedwojennych profesorów rysunku i artystów, ale odzew był znikomy. Jeden z profesorów odpisał, że już się sztuką nie zajmuje, drugi twierdził, że

teraz zarabia na życie jako stróż nocny i nie zamierza wracać do dawnej profesji.

Ciągle miała nadzieję, że znajdzie artystę, którego talent pozwoli na powstanie nowych, wartościowych także od strony plastycznej dzieł. Michalina uważała, że emocjonalna prawda przekazu, zaklęta w twarzach, gestach, a nawet samych pociągnięciach pędzla na płótnie, może być siłą wpływającą na samopoczucie, myślenie i światopogląd odbiorców.

Nie ustawała jednak w wysiłkach, przekonana, że w końcu znajdzie zdolnego rysownika. Bo z pewnością tą osobą nie była Krystyna, okropne dziewczuszyisko z pretensją do talentu plastycznego, która dotąd robiła dla niej większość plakatów.

*

Och, Gołąbek, ten nieokrzesany, kanciasty facet, ta kupa mięśni, bez finezji połączonych w całość... Major miał w sobie pierwotny męski urok, jakąś atawistyczną siłę, coś nieokiełzanego i kuszącego zarazem. Wyglądał jak bokser wagi ciężkiej, sprawiał groźne wrażenie, miał posłuch u podwładnych i poszanowanie wśród partyjnej góry. Michalina nie sądziła, że ich znajomość wejdzie na ten etap, nie przypuszczała też, że to nastąpi tak szybko. Po małżeństwie z Andriejem, czerwonym czekistą z Moskwy, po którym miała nazwisko, myślała już, że nigdy nie będzie z mężczyzną. Tymczasem stało się inaczej. Zażyłość z Gołąbkim usprawiedliwiała tym, że widziała w niej wyższy cel oraz konkretne zadania do wykonania.

Weszła do holu, niedbałym gestem zsunęła zakiet i zdjęła buty na koturnie. Sunąc stopami po drewnianej podłodze, ruszyła przez salon w stronę majora Gołąbka, który rozpakowywał jakieś pudła. Sprawiał wrażenie, jakby nie usłyszał, że weszła, ale to były tylko pozory. Nie musiał się odwracać, by wiedzieć, że to ona idzie w jego stronę.

Pozwolił się objąć od tyłu, dał sobie odpiąć koszulę, przyjął kilka pierwszych pocałunków, a potem oboje dali się ponieść namiętności. Świat wirował, Michalina zapominała o starych upokorzeniach, Gołąbek zaś czuł, że warto żyć. Czysta fizjologia. Nie ma po co wyciągać górnolotnych wniosków.

Potem siedzieli w negliżu na kanapie i palili papierosy. Jedno od drugiego, na zmianę podawali sobie tego samego peta. I zaraz brali kolejnego. W pomieszczeniu było duszno nie tylko od fluidów fizycznej miłości, ale również od nikotynowego dymu.

Pakt został przypieczętowany.

Michalina zapięła bluzkę i związała włosy w koczek. Wpięła dwie długie metalowe wsuwki przy skroniach. Nie lubiła się stroić, fiokować ani upiększać, jak to robiły inne kobiety z wydziału. Jej zażyłość z majorem Gołąbkim nie miała w sobie ani krzty romantyzmu i nie była estetyczna. Ot, zwierzęcy instynkt. Major pewnie miał nieco inne podejście, lecz o dziwo wolał tego po sobie nie pokazać. Oboje mieli w tym związku interes i oboje mieli nadzieję uzyskać pewne intratne korzyści. W sentymenty nikt tu się nie bawił.

– Pokaż mi dom – wstała, zapięła spódnicę i włożyła buty.

Błysk w jej oczach wywołało teraz zupełnie coś innego niż miłosne porywy.

Gołąbek dopalił papierosa, pstryknął petem w nieczynny kominek i odsłonił story w oknach. Salon rozjaśniło teraz popołudniowe światło w ciepłym odcieniu dojrzałej pomarańczy. Przeszli do oględzin domu.

Michalina w skupieniu chodziła z pokoju do pokoju. Dom był nieduży, było widać, że przed wojną pełnił funkcję letniej rezydencji kogoś, kto na co dzień mieszkał w mieście. Pewnie dlatego nie trafił do podziału między partyjnych kolegów Gołąbka. I to był ogromny atut tego miejsca.

– Nie boisz się, że cię tu napadną bandy? – spytała nagle Michalina.

Michalina wiele się nasłuchiwała, że bandyci z lasu byli prawdziwą zmorą okolicznych mieszkańców i lokalnych władz. Napadali na gospodarstwa, plądrowali stodoły i obejścia... Zastraszali, a nawet zabijali niewinnych ludzi.

– Za blisko do posterunku w Zgierzu – wyjaśnił major.

– To fakt. Ale na posterunki też napadają.

Major zachował kamienną twarz.

– Obok mamy kwatery naszych żołnierzy – odparł.

– Więc jesteśmy kryci ze wszystkich stron! – Michalina się zaśmiała. – Ale chyba będę bała się sama tu przychodzić.

– Będiesz ze mną. Mam auto.

Z samochodami też był problem. Nie dość, że było ich mało, to jeszcze prawie nikt nie potrafił ich prowadzić. A major akurat potrafił, dlatego często dostawał auto do różnych misji. Dzięki temu zasłużył się w działaniach terenowych. Gdyby nie jego przytomność umysłu i refleks, w pobliskiej wsi Skotniki doszłoby do samosądu na ukrywających się tam bandytach, którzy siali postrach wśród miejscowej ludności. Mówiło się, że major zaprowadził w okolicznych lasach porządek, który wszyscy sobie chwalili.

Szli dalej przez kolejne pomieszczenia, zatęchłe i pełne kurzu. Woleli nie wiedzieć, do kogo ten dom kiedyś należał. Oni przecież nie mieli nic wspólnego z odejściem dawnych właścicieli. Michalina odniosła wrażenie, że w zakamarkach nadal unosi się woń ich ubrań i ciepło oddechów, jakby wyszli tylko na chwilę; trudny do opisanego osobisty zapach, którym przesiąkły te mury.

Na parterze znajdował się duży zabudowany ganek z trzema oknami, pełniący niegdyś funkcję oranżerii, a obok jadalnia o nietypowym półowalnym kształcie, w której zachowały się stół i dwa krzesła. Dalej kuchnia i spora spiżarnia, gdzie na półkach wzdłuż ścian stały przetwory w słojach i słoiczkach – marynowane owoce, zapewne zebrane w sadzie przed domem, kiszone ogórki w nieco mętnym sosie, marynowane grzybki z pobliskich lasów, możliwe, że jeszcze sanacyjne. Michalina podniosła jeden ze słoików. Pozostałe lekko się zachwiały – półki były rachityczne, regał wyglądał na dzieło stolarza samouka, a może dawnego pana domu, mylnie przekonanego o swoim talencie złotej rączki. Regał nie przylegał do ściany, która zresztą w tym miejscu nie trzymała pionu – całość sprawiała wrażenie, jakby zaraz miała runąć.

Zeszli do piwnicy. Kolejny ważny przystanek na trasie zwiedzania. Kto wie, czy nie najważniejszy. Zejście na najniższy poziom znajdowało się w nietypowym miejscu, bo wcale nie w holu, tylko w przybudówce na tyłach, tuż za spiżarnią. Major poprowadził Michalinę niskim przejściem, całym w pajęczynach, które nerwowo odgarniała z twarzy. W podłodze znajdowała się prostokątna drewniana kłapa, którą Michalina zauważyła dopiero wtedy, kiedy major podważył brzegi

i uniósł ją wysoko. W powietrze wzbily się tumany kurzu. Pod spodem znajdowały się strome schody. Domyśliła się, że niełatwo było znaleźć ten właz. Nie rzucał się w oczy po przekroczeniu progu, jak to bywa w wiejskich domach, że po wejściu do sieni od razu widać schody prowadzące w dół.

– Zbyt wilgotno – orzekła.

Ale może przydać się do moich celów, pomyślał major.

– Chodźmy zobaczyć sypialnie na piętrze. – Wskazał przejście do głównego holu.

Większość osób w urzędzie i komitecie wiedziała, że major Gołąbek sypia z kierowniczką wydziału propagandy Michaliną Starską. Reżim był tolerancyjny, jeśli jego wyznawcy sypiali z odpowiednimi osobami. Na obyczajowe sprawy przymykano oko. Katolickie śluby i chrzciny stawały się niepożądane, a swoboda obyczajowa była na czasie. Poza tym znajomość z Michaliną była majorowi na rękę. Podobnie rzecz wyglądała z perspektywy Michaliny – jej relacja z majorem Gołąbkim była powszechnie akceptowana i świadczyła o dobrej pozycji obojga.

– Urządzanie tego domu będzie wspaniałe – rozmarzyła się Michalina.
– Wiesz, jak cenię sztukę. Będzie tu jej całe mnóstwo.

Major przytaknął. W wydziale specjalnie pozwolono im na meblowanie po swojemu tego oddalonego od centrum Łodzi starego domu. Żeby pozwolić Michalinie gromadzić. A potem jej to zapewne zabrać.

Michalina miała na punkcie sztuki obsesję. Wiedział, że jeśli straci resztę rozsądku i da się ponieść tej obsesji, to może być niebezpieczne. Ta obsesja była tak lepka i dusząca. Jego kochanka była gotowa dać się pokroić za swoje obrazy, psia jej mać, nie wiedzieć czemu tak istotne. Chociaż idea chronienia polskiego dziedzictwa kulturalnego przed wywiezieniem do ZSRR była niby szczytna, to jednak Michalina wprowadzała ją w życie z dzikim żarem w oczach, graniczącym z obłędem.

Jej pasja sprawiała, że jego kochanka zdawała się w jednej chwili silna, a zaraz potem krucha i wrażliwa. Nie rozumiał tej kobiety i to go w niej pociągało.

Teraz tam, na górze, woleli kiełbasę, kaszanke, wódkę i ogórki. Potem może nabędą bardziej wysublimowanych upodobań. Reżim nic nie dawał za darmo. Co do tego major nie miał wątpliwości. Był także gotów ponieść konsekwencje swoich przyszłych decyzji.

*

Michalina dobrze pamiętała chwilę, kiedy pierwszy raz zobaczyła Krystynę. O ironio, sama sobie tę dziewczuchę ściągnęła na głowę. Kryśka i jej koleżanka Hanka Walusiak siedziały na ławce przed urzędem i rozmawiały. Wyglądały na nieogarnięte i zagubione, jak to proste kobiety ze wsi, które postanowiły szukać szczęścia w dużym mieście. Michalina podsłuchiwała ich rozmowę, z którą zresztą wcale się nie kryły.

– To do jakiej partii mam się zapisać? – pytała smuklejsza, z kasztanowym warkoczem. Jak się potem okazało, to była Hanka.

Kryśka, która w tamtej chwili zdała się Michalinie bardziej bystra, wyjaśniła koleżance:

– Ja do PPR. Oni są najwięksi. Lepiej iść za większymi.

– Jakie są inne partie? – chciała wiedzieć Hanka.

– Bo ja wiem... Nie obchodzi mnie to. Chcę tylko tego, co najlepsze.

Po latach upokorzeń Krystyna obiecała sobie, że teraz będzie silna. Żaden facet już jej nie wystawi, jak ten jej okropny były, co to tylko w kopie siana za stodołą umiał baraszkować, a potem odszedł w siną dal. I zostawił ją samą z dzieciakiem, młodą wtedy i naiwną. To przez niego musiała wziąć sprawy w swoje ręce, w niełatwych warunkach walcząc o przetrwanie. Klepiąc biedę, czasem z dzieciakiem pomieszkując u chłopów po stodołach. Ciągłe była przybłądą, gdziekolwiek szła, to od razu stamtąd wylatywała. A najgorsze były baby, żony gospodarzy, zazdrosne o wdzięki Krystyny, jej młodość i jędrne ciało. Nawet jako głupiej posługaczki nie chciały jej na gospodarstwie.

Ale odtąd będzie już tylko lepiej. Przyjechała do miasta i dostanie tu dobrą pracę. Dziecko zostawiła u ciotki, ale obiecała sobie, że gdy tylko się urządzi, to je stamtąd zabierze i zajmie się nim, jak to matka powinna zrobić. Już nie będzie małej przerzucać z miejsca w miejsce jak tobołek. Kryśka Balcer ze wsi Swędów wreszcie zostanie kimś. Bez dwóch zdań. Choćby po trupach. Jeszcze wszystkim pokaże, że kobiety są silne. Nikt nigdy więcej jej nie upokorzy.

Wtedy przed tym urzędem obie się Michalinie spodobały. Świeże, jeszcze nieukształtowane. Chętne do działania. Takich ludzi było im trzeba. Każde ręce do pracy były na wagę złota.

Komitet Wojewódzki PPR, w którym pracowała Michalina, miał po wyzwoleniu mnóstwo zadań do wykonania. Należy do nich: walka z podziemiem, organizacja struktur państwowych na nowych zasadach oraz szeroko rozumiana edukacja społeczeństwa w kwestii demokracji ludowej. Trzeba było na nowo stworzyć po wojnie szkolnictwo, a panował tu początkowo olbrzymi bałagan. Narzekano na braki kadrowe, organizowano szybkie doszkalanie nauczycieli, klasy składały się z uczniów w różnym wieku, którzy nadrabiali po kilka lat straconej nauki. Trwała też walka z analfabetyzmem i codzienne, żmudne douczanie pracowników państwowych, milicji, szeregowych członków Urzędu Bezpieczeństwa, strażaków i innych mundurowych, żeby przynajmniej potrafili czytać i się podpisać. Pracownicy urzędu spędzali w pracy po dwanaście godzin na dobę, czasem nawet więcej. Wychodziły z domów bladym świtem, wracały chwilę przed północą. Również w świeżo powstałym kuratorium praca wręcz paliła się w rękach.

– Obywatelki! Przypadkiem usłyszałam waszą rozmowę... – zwróciła się do nich Michalina z szerokim uśmiechem na twarzy. – Ale słusznie prawicie! Chodźcie ze mną, pomogę wam się zapisać do partii. Partia czeka na takich jak wy z otwartymi ramionami!

Dziewczyny udało się szybko nie tylko zapisać do partii, której szeregi sukcesywnie krzepły ku zadowoleniu oficjeli, ale też od razu dostały pracę i kwaterunek. Każda miała teraz duży samodzielny pokój w wielkim pożydowskim mieszkaniu z widokiem na park Sienkiewicza. Oficjalne kwatery jeszcze nie ruszyły, ale pracownicy państwowi mogli liczyć na przydział. Docelowo Kryśka i Hanka miały otrzymać samodzielne lokale. Chwilowo wszystko było jednak tymczasowe.

Hanka trafiła do wydziału szkolnictwa, a Kryśka Balcer do wydziału propagandy, gdzie jej szefową została Michalina. Młode protegowane były początkowo kompletnie zielone i musiała prowadzić je wszędzie, dosłownie, za rękę. Kryśka rzekomo miała talent plastyczny i marzyła o malowaniu obrazów propagandowych. Po miesiącu znajomości Michalina miała dość ich obu. Nie traciła jednak nadziei, że wreszcie czegoś się nauczą.

Ale z Kryską to była oczywista pomyłka. Niestety. Swoją nadmierną pewnością siebie i jednoczesnym brakiem zdolności przyprawiała Michalinę o ból głowy. Zwłaszcza od kiedy została protegowaną jej szefa, gburowatego Zygmunta Kapuśniaka.

*

Wcześniej Michalina oprowadziła nowe koleżanki po najważniejszych urzędach. Stały przy ulicy Przejazd, która niebawem miała zmienić nazwę na Daszyńskiego.

W głębi ulicy, na placu Komuny Paryskiej, w modernistycznej kamienicy z lat trzydziestych, mieścił się świeżo powołany Komitet Wojewódzki Polskiej Partii Robotniczej. Bezpośrednio za ich plecami znajdowała się dawna kawiarnia Esplanada, okazały budynek w stylu secesyjnym, z wielką szybą wystawową zwieńczoną łukami. Niegdyś mieścił się tam dom konfekcyjny Hugona Schmechela i Juliana Rosnera, tuż przed wojną zaś kawiarnia i cukiernia znane z przepychu i znamienitych gości. Był to wówczas świat niedostępny dla takich osób jak Michalina. Kuzyn Michaliny załapał się do pracy jako tragarz w pobliskim hotelu Grand i czasem opowiadał, jakie tam widział luksusy. Otwierała wtedy szeroko oczy ze zdziwienia. W swojej naiwności myślała, że Wacek wymyśla, aby jej zaimponować. Bo to niemożliwe jej się zdawało, że ludzie mogą tak wystawnie, bogato mieszkać. Ale to były dawne czasy, w innym życiu, miała piętnaście lat i zero perspektyw na bycie kimś więcej niż prządka lub służąca, jak jej matka, babcie, kuzynki i ciotki.

W dawnej Esplanadzie trwały tymczasem prace renowatorskie, a paru młodych mężczyzn wieszało nowy szyld z napisem: POWSZECHNA.

– Niedługo wpadniemy tu na kawę – rozmarzyła się Michalina.

Przepelniały ją radość i energia. Wystroiła się w kwiecistą sukienkę i pantofelki na koturnie. Pomalowała również usta szminką w odcieniu karminowej czerwieni. Świat był coraz piękniejszy. Wreszcie miała to, czemu mogła się bez reszty poświęcić. I coraz bardziej wierzyła w świetlaną przyszłość, która ich czeka.

Wyminęła chłopaka stojącego na rusztowaniu, lekko trącając go przy tym ramieniem.

– To będzie kiedyś nasze! – oznajmiła głośno, bardziej do robotników niż do dziewcząt. – To już jest nasze! – poprawiła się. – Zwykli ludzie, tacy jak ja czy wy, będą mogli tu przychodzić. Rozumiecie, co to znaczy? Wygraliśmy! Urządzimy to miasto na nowo. I będzie pięknie. Nareszcie.

Dziewczyny pokiwały głowami, również zachwycone. To było coś innego niż to, do czego przywykły. Hanka – córka kowala, Kryśka – córka parobka.

– Teraz wszyscy są równi i wolni – ekscytowała się Michalina. – Nie ma wyzysku.

Skręciły w Przejazd. Jedną z pierwszych decyzji nowych władz w Łodzi dotyczyła zmiany nazw ulic obowiązujących w niemieckim Litzmannstadt podczas okupacji na polskie, często z dwudziestolecia międzywojennego. Ulica Przejazd nazywała się podczas wojny Meisterhausstrasse.

– Własnymi rękami zrywałam szwabskie tabliczki. – Michalina wskazała puste miejsce na ścianie pobliskiego budynku. – Teraz zawisną tam nowe.

Nie mogła być szczęśliwsza.

We trzy ruszyły w stronę urzędu. Mijały tyły dawnego pałacu fabrykantów Heinzlów przy Piotrkowskiej 104, którego potężny trzykondygnacyjny gmach o eklektycznym charakterze wyglądał dostojnie i elegancko. Elementy elewacji nawiązywały do stylistyki neorenesansowej, a po dwóch stronach fasady, na wysokości pierwszego piętra, usytuowano charakterystyczne wykusze. Na drugim piętrze, między oknami, znajdowały się rzeźbione kartusze z symbolami handlu i przemysłu.

W dziewiętnastym wieku na tyłach działki rozciągała się fabryka Juliusza Heinzla, zwanego Królem Wełny, który w latach dwudziestych zbankrutował, a fabrykę zamknięto. Swego czasu był to największy kompleks fabryczny w centrum miasta. Ciotka Michaliny pracowała w tkalni na tyłach pałacu, gdzie krosno mechaniczne mocno poturbowało jej rękę. Michalina słabo ją znała. Ciotka przez lata nawdychała się dymu z fabrycznych kominów, zmarła w biedzie, wymęczona przez choroby i zwyczajnie zmarnowana byle jakim życiem.

Michalina szybko zepchnęła te wspomnienia z powrotem w niepamięć. Teraz miała być tu nowa siedziba rady narodowej. Właśnie szykowali pomieszczenia.

– To wszystko otworzymy dla ludzi. Damy to zwykłym ludziom – powtarzała Michalina z żarem w oczach i szczerze w to wierzyła.

Może faktycznie teraz będzie inaczej. Może będzie lepiej. Nie możemy ciągle tylko cierpieć, bić się i umierać. Musimy też kiedyś żyć. Jest tyle do odbudowania, do tworzenia, do porządkowania... Tyloma rzeczami można się dzielić, tyle można z siebie dać. Dla dobra innych. Jeszcze postawimy ten świat na nogi, myślała z żarem.

*

– Towarzyszko kierownik! Zrobiłam nowe prace! – Kryśka wpadła do pokoju Michaliny rozemocjonowana jak panienka na wydaniu. Kto by pomyślał.

Wyjęła z teczki gotowe plakaty.

Problem Kryśki polegał na tym, że kompletnie nie radziła sobie z rysowaniem obiektów ożywionych. A już szczególnie słabo szło jej z ludzkimi twarzami, nawet w wersji mocno uproszczonej. Schematyczne obrysy ludzkich sylwetek, to i owszem. Umiała rysować co najwyżej ludzi w cieniu, w oddaleniu, w półmroku.

Wytyczne z Ministerstwa Kultury, które regularnie trafiały na biurko Starskiej i o których dyskutowano potem na partyjnych spotkaniach, mówiły wprawdzie, że twarze mają być „rozmażane i bez wyrazu”, ale kierownik Starska była innego zdania. Uważała, że zdolny rysownik, prawdziwy artysta z talentem, potrafiłby oddać wyraz twarzy w taki sposób, że nie tylko dzieło zyskałoby głębię wyrazu, lecz także zachowany zostałby przekaz właściwy światopoglądowo.

Przed wojną Michalina sądziła, że świat jest pełen utalentowanych ludzi, którym niesprzyjające okoliczności uniemożliwiły rozwinięcie skrzydeł. Gdyby tylko zapewnić im warunki, stworzyć zapotrzebowanie na ich prace, otoczyć szacunkiem i opieką, wówczas mogliby spełniać się twórczo. Teraz bezradnie rozkładała ręce. Kryśka przynajmniej była szybka i bezwzględnie lojalna. Gotowa na każde zawołanie. Spragniona pochwał jak powietrza. Krystyny nie trzeba było zmuszać, szantażować

ani nawet zachęcać. Efekt niestety nie był dobry, jako że dobry być nie mógł.

Michalina udała, że uważnie studiuje prace podopiecznej.

– Świetnie – pochwaliła.

Odwróciła się do Kryśki bokiem i nie patrzyła jej w oczy. Ostatnio Michalinie coraz częściej nie chciało się odgrywać sympatycznej i uprzejmej. Wtedy lepiej było nie widzieć jej twarzy. Kryśka jednak odebrała werbalny komunikat szefowej w jego dosłownej formie.

– Ogromnie się cieszę, obywatelko kierownik!

Krystynę wypełniła duma. Uniosła wyżej głowę i wyprostowała plecy.

Słusznie zrobiła, zapisując się do PPR. Tylko tutaj miała szansę na rozwój. A ojciec już więcej nie powie jej: „Ty nigdy w życiu do niczego nie dojdiesz, Kryśka”.

Tu, w murach tego urzędu, życie wydawało się proste. I cholernie przyjemne. Krystyna pracowała w gronie podobnych sobie rysowników, stanowili zgrany zespół młodych, dobrze rokujących artystów, którzy postanowili zawodowo zajmować się twórczością. Za niemałe zresztą pieniądze, jak na ówczesne warunki. Miały być bony, wyjazdy, konferencje, prezenty od partii... Wspólne wyjścia i integracje w nielicznych jeszcze po wojnie hotelach. Wiele się działo, życie pędziło, dawało nowe szanse.

Dlaczego nie korzystać? Czemu nie iść tam, gdzie dobrze na nas patrzą i doceniają nasze talenty?, myślała. Ten czas należy do kobiet. Kobietom należy się szczęście. Kobiety są silne i samowystarczalne. Czy ciągle trzeba opiewać ten kraj w ruinie, stolicę w gruzach, zniszczone miasta, spalone wsie, okaleczonych ludzi? Malujmy teraz ładnie. Wesoło i optymistycznie.

– Co mam narysować następnym razem? Może traktorzystki na polu? – spytała z zapałem pełnym radosnego wyczekiwania.

Michalina przymknęła oczy, jakby nagle ogarnęło ją zmęczenie.

– Jesteśmy bardzo zadowoleni z waszej pracy – zapewniła patetycznym tonem, który umknął uwadze Krystyny, bo wszelkie odcienie ironii były jej poglądowo obce. – Uważam, że pomysł ujęcia

traktorzystek w kolejnej serii plakatów jest doskonały. Wiesz, jak cenimy twoje prace.

Gdyby radość Krystyny dało się zobrazować, przyjęłaby postać wielkiego anioła o szerokich skrzydłach, lecącego daleko, daleko w przestworza.

– Weź jednak pod uwagę, że musisz jeszcze poćwiczyć – zaznaczyła Michalina przezornie.

Niech mała nie odleci za wysoko, bo jej potem nie opanują.

*

Kryśka wyszła z urzędu radosna, podniesiona na duchu. Pod pachą trzymała kilka dużych kartonów, zamierzała bowiem w domu ćwiczyć malowanie, zgodnie z radą szefowej. Kredki, farby i pędzle targała w drugiej ręce, w worku, który obijał jej się o udo.

Na ławce na skwerze czekała na nią córka. Jadła lody. Na widok matki schowała je za plecami.

– Skąd to masz? – Kryśka zmarszczyła brwi. Nie przypominała sobie, żeby zostawiła małej pieniądze.

– Dostałam od pana w tamtej budce – wyjaśniła dziewczynka ze słodkim uśmiechem.

Krystyna z dezaprobatą spojrzała na dziecko. Smarkata pewnie zwałowała lody, kiedy w kawiarni nikt nie patrzył.

– Wstawaj i pomóż mi to nieść! – powiedziała rozkazującym tonem.

Dziewczynka podniosła się niechętnie.

– Mówiłaś, że pójdziemy do tej cukierni. – Wskazała lokal po przeciwnej stronie placu, skąd zapewne gwizdnęła lody.

Krystyna wzniosła oczy do nieba, usiłując ukryć irytację.

– Później – fuknęła. – Nie widzisz, jaka jestem obładowana?

Dziewczynka ze smętną miną zwiesiła głowę. Krystyna westchnęła, opuściła na chwilę kartony i spojrzała córce w oczy.

– Pójdziemy do cukierni. Obiecuję. Ale kiedy indziej. Teraz mam do namalowania mnóstwo pięknych obrazów. Dla mojej dyrektorki, pani Michaliny Starskiej. Kazała mi to wszystko zrobić, rozumiesz? Dzięki

temu niedługo będziemy miały duży ładny dom i tyle słodczy, ile tylko zapragniesz. – Mrugnęła porozumiewawczo do dziewczynki, która od razu się rozchmurzyła. – Daj mamie liza. – Schyliła się i nie czekając na przyzwolenie, odgryzła spory kawałek lodu.

*

Michalina wraz z wydziałem szkolnictwa organizowała konkurs plastyczny. Szkolnictwo dopiero powstawało z powojennych ruin, ale w Łodzi prace ruszyły sprawnie dzięki niewielkim zniszczeniom w infrastrukturze. Wyznaczono kilka tematów, spośród których mogli wybierać uczniowie. Wszystkie były pozytywne i pełne nadziei, a wśród nich „Moja socjalistyczna rodzina” oraz „Nasza piękna socjalistyczna przyszłość”. Największą popularnością cieszył się jednak temat „Więć polska rozkwita dzięki ideom socjalizmu”.

Serce Michaliny przepełniała duma i radość, kiedy przeglądała prace, kwintesencję młodzieńczej radości i entuzjazmu. Na rysunkach wesoło świeciło słońce, zieleniła się bujna trawa, kwitły łąki, zwierzęta się pasły... Były też obrazy miejskie – tu wznosiły się wysokie domy, z licznymi kolorowymi okienkami. Konkurs udał się wybornie, spełnił też swoją funkcję propagandową. Na rysunkach dopisano odpowiednie hasła – czasem było widać, że dopisali je nauczyciele.

„Wysiłkiem całego narodu zbudujemy Polskę”.

„Mleko zapewnia dochód. Zwiększaj produkcję mleka!” – a na plakacie krowa.

„Krowa żywicielką wsi i miasta”.

„Dziękujemy ZSRR za wsparcie naszego narodu!”.

Rysunki, choć naiwne i dziecinne, miały w sobie wiele uroku... Trzeba dopilnować, żeby zawisły na ścianach szkolnych korytarzy oraz w innych miejscach publicznych, pomyślała. Tak, żeby ich pozytywny przekaz dotarł do jak największej liczby odbiorców.

Nagle jedna z prac szczególnie przykuła jej uwagę. Nie było na niej haseł ani flag, jednak autor miał niezaprzeczalny talent. Ten rysunek wyróżniał się spośród innych, był niemal profesjonalny, choć zapewne namalowany przez osobę, która nie ukończyła szesnastego roku życia, bo taką wyznaczono granicę wieku dla uczestników konkursu.

Serce zabiło jej mocniej. Takiego talentu nie można zmarnować! Nie pozwolę na to. Odnajdę to dziecko i pomogę mu się kształcić, pomyślała z żarem.

– Chcę wiedzieć, kto jest autorem tego rysunku. – Michalina z wypiekami na twarzy i pracą formatu A5 w rękach wparowała do pokoju, który zajmowali wywiadowcy terenowi.

Pomieszczenie należało do świeżo utworzonego społeczno-politycznego Departamentu V, a konkretnie Wydziału II do Spraw Nadzoru nad Instytucjami Oświatowymi i Kulturalnymi. Tu znajdowała się sekcja druga – odpowiedzialna za działania operacyjne w instytucjach kultury i sztuki. Sekcję utworzono niedawno, budowano ją szybko, z zapalem mogącym przenosić przysłowiowe góry. Praca wręcz paliła im się w rękach, to była prawdziwa harówka na najniższym szczeblu, znoje i trudy budowania u podstaw – Michalina zwykła myśleć, że o ile w Warszawie teraz buduje się głównie przy użyciu cegieł, szpachli i mięśni, to tutaj, w Łodzi, buduje się myślą, świadomością i ideą.

Łódź miała nad Warszawą pewną przewagę, ponieważ nie musiała podnosić się z ruin. Ludzie mieli gdzie mieszkać, a gmachy użyteczności publicznej, instytucje, nawet dawne pałace i muzea stały tam, gdzie wcześniej, praktycznie nietknięte. Można było skupić się na budowaniu postaw i kształtowaniu światopoglądu.

W ciasnym i zawałonym po brzegi teczkami pokoju Wysmyk i Sokółski oczywiście kopcili papierosy, więc Michalina przez wszechobecny dym nie widziała całego panującego tu bałaganu.

– Muszę wiedzieć, kto to narysował – powtórzyła gorączkowo.

Pracownicy nieczęsto mieli do czynienia ze Starską, ale wiedzieli, że determinacja w jej głosie oznaczała jedno: polecenie należy wykonać szybko. Szefowa, jako osoba całkowicie oddana sprawie, tego samego oddania oczekiwała od każdego. Bardziej nawet niż szefowie mężczyźni nie lubiła czekać i łatwo traciła cierpliwość.

W pokoju było trzech wywiadowców: obywatel Wysmyk odpowiedzialny za rejon północnej Łodzi i terenów podmiejskich, obywatel Sokółski z rejonu południa i Rudy Pabianickiej oraz obywatelka Szydlikowa z Aleksandrowa i Lutomińska.

Na widok Michaliny wywiadowcy odruchowo wyprostowali plecy. Każdy chciał zarabiać pieniądze, mieć co do garnka włożyć. Teraz ponoć było z tym prościej niż przed wojną. Z tym zarabianiem. Mówili, że wystarczy pracować, żeby należycie wyżywić siebie i swoich bliskich.

Dla przykładu Wysmyk pamiętał, jak przed wojną ojciec tyrał za dwóch i nic z tego nie miał. Tylko baty i długi. Aż go zarabali w lesie gdzieś pod Tomaszowem, czy z Hubalem był, czy nie był, to teraz nieważne.

Co do Szydlikowej, nikt o niej nic nie wiedział, bo nie była wylewna, usta miała wciąż zasupłane, ponure oblicze i - jak się zdawało - żadnego życia prywatnego. Za to była wręcz nienaganna światopoglądowo i obecna dotąd na wszystkich zebraniach wydziału, nawet tych nieobowiązkowych.

Każde z nich chciało się pokazać z jak najlepszej strony. Zwłaszcza że za oddaną, wydajną służbę przysługiwały konkretne benefity. Na ostatnim zebraniu aktywu zapowiedziano dla tych pracowników, którzy wyrobili normy ilościowe i jakościowe z nawiązką, dodatkowe bony na artykuły z paczek Czerwonego Krzyża.

– Rysunek jest podpisany „JA”. – Michalina zbliżyła kartkę do oczu. – Ktoś tu sporo pokreślił. A dalej? Hm... MUSIAŁAM? – Wzdrygnęła się i zmarszczyła brwi. – Z której placówki jest ta koperta? Tu stoi jedynie „DD2”.

Dotąd nie zwracała uwagi na miejsca, z których pochodziły prace dostarczane przez wywiadowców. Zawsze były to jedynie dziecięce bohomy. Krzywe, napaćkane, nieporadne, i chociaż słuszne ideowo, to nieprzydatne nigdzie indziej niż w sali plastycznej do powieszenia na makietkę. Konkursy artystyczne w szkołach były szalenie ważne: kształtowały światopogląd, promowały odpowiednie postawy i pełniły ważne funkcje wychowawcze. Natomiast owoce tych konkursów, czyli wytwory pracy dziecięcych rąk, nadawały się potem przeważnie do kosza. Ale ten rysunek był wspaniały. Zaskakująco dojrzały. Ktoś, kto go stworzył, miał prawdziwy talent.

Wysmyk podrapał się w łysawą czaszkę. Nie wyglądał na rozgarniętego. Chyba na chwilę go zamurowało, bo milczał jak zaklęty.

– DD to nasz skrót od domu dziecka – wyjaśniła ochryple Rozalia Szydlikowa. Miała zużyty głos jak burdelmama, a może przepity lub przeżarty przez papierosy. Pewnie wszystkiego po trochu.

– Który? – Michalina wyjęła notatki, chwyciła w ręce ołówek i nachyliła się nad biurkiem.

Wysmyk niepewnym głosem podał jej adres.

– Obywatel pamięta, kto mu przekazał tę pracę?

– Tak, obywatelko kierownik!

Skłamał. Nie spodziewał się, że Michalina nagle zacznie wypytywać o jakąś pracę, bo nigdy wcześniej tego nie robiła. Kilka na chybił trafił wybranych rysunków zazwyczaj zwracała Wysmykowi z poleceniem, żeby zawiesił je na tablicach w wybranych instytucjach. I tyle. Teraz jednak przytaknął ochoczo, że tak, wie, skąd pochodzi rysunek i kto mu go dał. Chciał sprawiać wrażenie, że wykonuje swoją pracę, jak należy.

– Pojedziecie tam ze mną. Teraz! Musimy znaleźć autora tej pracy.

Szydlikowa aż się kaszlem zaniósła. To pewnie przez tytoniowy dym. Uważała Wysmyka za obiboka, który nie potrafił się należycie zaangażować w pracę. Była pewna, że nawet nie pamięta, gdzie był tego dnia na rekonesansie w terenie. Wysmykowi zdarzało się mylić miejsca i godziny, a Szydlikowa nie zakapowała go wyżej tylko dlatego, że roboty mieli po uszy, i każda para rąk, nawet należących do nieudacznika, była na wagę złota.

– No co tak Wysmyk na mnie patrzy? – Michalina zmarszczyła brwi, widząc zdziwioną minę podwładnego.

– Teraz? Miałem zaraz iść w rewir ósmy, roznosić okólnik o powiatowym konkursie na kartkę imieninową dla towarzysza Bieruta...

– Zaniesiecie później. Zbierajcie się. Weźmiemy puchar, który zamówiliśmy w zeszłym miesiącu. Ten z sierpem i młotem na tle wawrzynu. Przynieście go. Magazyn 6c. Spotkamy się przy wyjściu głównym.

– Tak jest!

– I załóżcie strój galowy. Idziemy wręczyć główną nagrodę temu młodemu talentowi.

Tymczasem kilka przecznic dalej Kryśka Balcer w twórczym uniesieniu machała pędzlem nad portretem Bieruta, a jej bezbrzeżnie znudzona córka obserwowała przez okno gołębice drepczące po parku Sienkiewicza.

ROZDZIAŁ 5

TERAZ

DOROTA

Nie zastała ojca w domu, chociaż wcześniej przez telefon zapewnił ją, że nigdzie się tego dnia nie wybiera. Najwyraźniej zapomniał o jej wizycie.

– Och, jest moja córuś! – wykrzyknęła Zofia z radością, otwierając Dorocie drzwi. – Jak to miło, że odwiedzasz starych rodziców!

Mama Doroty kilka lat temu przeszła na emeryturę, ale nadal sobie dorabiała w swoim zawodzie, czyli jako technik dentystyczny i protetyk. Jej zajęcie było tak cudownie przyziemne i konkretne w porównaniu z tym, czym zawodowo zajmowali się jej mąż i córka, że czasem zdawało się, iż należą do osobnych światów, oni – z humanistycznymi głowami w chmurach teoretycznych rozważań, i ona – mieszająca papkę do sporządzenia odlewu czyjegoś uzębienia.

– Gdzie tata? – spytała Dorota, wchodząc do kuchni, w której Zofia właśnie szykowała placek śliwkowy na wieczorne spotkanie z przyjaciółkami. Była osobą bardzo towarzyską i często zapraszała sąsiadki, które podobnie jak ona, lubiły wymieniać się nowinkami.

Właśnie walczyła z drożdżami i miała ręce upaprane brejowatą mazią, a w kuchni panował okropny bałagan, jak zawsze, gdy zabierała się do wypiekania.

– Wysłałam go po proszek do pieczenia. Rozumiesz, pilna sprawa. – Zofia machnęła ręką i glutek ciasta skapnął z jej palców na podłogę. – Zawsze myślę, że jest skubaniec w domu, ale jak przychodzi co do czego, to go nie ma! – Zaraz się zreflektowała i uściśliła: – Mówiłam o proszku do pieczenia...

Obie wybuchnęły śmiechem.

– Podaj mi większą miskę – wymamrotała matka, trzymając w ustach końcówkę rękawa piekarniczego z jakąś galaretowatą masą w środku. – Mam tak brudne ręce, że wszystko upieprzę.

W słowach Zofia też nie przebierała.

Dorota zatem musiała poczekać, aż ten wypiekowy armagedon dobiegnie końca – mniej lub bardziej szczęśliwego, zależnie od finalnej jakości powstałego ciasta. Zresztą przyjaciółki były wyrozumiałe i otwarte na nowe doznania smakowe, które co jakiś czas fundowała im Zofia.

– Dobra, już ogarnęłam i mogę cię wysłuchać. – Mama Doroty wytarła ręce w ścierkę, po czym zamknęła piekarnik, obrzuciła go spojrzeniem pełnym podziwu dla samej siebie za tę nierówną walkę z materią, po czym usiadła na krześle przed córką.

– On zaraz powinien wrócić z tym proszkiem. – Zofia zerknęła na zegarek. – Wyszedł pół godziny temu. Wiesz, twój tata dość wolno wykonuje różne czynności. Ma inne pojęcie czasu... – podsumowała sentencjonalnie.

– Ale po co ci proszek? – zdziwiła się Dorota, patrząc na piekarnik, w którym ewidentnie coś już się piekło. Z proszkiem do pieczenia, albo bez.

– O, kochana! – Zofia znów machnęła ręką, a fragmenty surowego ciasta osadziły się na jej włosach przy uchu. – A bo to jedyny wypiek, jaki na dziś zaplanowałam? – Wskazała jakieś kobiece czasopismo rozłożone na stoliku kawowym. – Zobacz na te urocze ciasteczka. Na zdjęciu wyglądają jak dzieła sztuki. Kupiłam w tym celu mąkę migdałową i miliard innych rzeczy. Tylko nie pomyślałam o proszku... No dobra. Koniec tematu. Widzę, że cię nudzę – skomentowała minę Doroty. – Opowiadaj, co u ciebie. Jak nowa praca? Jak Filip? Dalej biegacie razem?

Pytań było dużo i dotyczyły wielu niezwiązanych ze sobą dziedzin, co zresztą było u Zofii typowe. W jej codziennym życiu przeważał chaos. I według Doroty to raczej nie mogło się już zmienić.

– U mnie okej, odpowiadając na pierwsze pytanie – odpowiedziała Dorota. – Pracuję nad monografią o starych willach pod Łodzią. Tych koło domu ciotki Łucji. Wygląda na to, że jedna z nich jest związana z wydziałem propagandy komitetu wojewódzkiego tuż po wojnie. A także z funkcjonariuszami UB.

– Słucham cię, słucham... – wymamrotała Zofia, szperając w szufladzie – Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli w międzyczasie pokroję

orzechy?

Pytanie było retoryczne, ale z uprzejmości Dorota zaprzeczyła.

– To są trudne tematy, córeczko. – Zofia zamasyście postawiła koszyk z orzechami na blacie. Dwa wypadły i plasnęły o podłogę. Zmarszczyła brwi. – Może zamiast o tych okropieństwach mogłabyś pisać o jakichś pięknych słowiańskich księżniczkach?

– Oj, mamó – westchnęła Dorota. – Przecież to wszystko jest historia. To tylko akta. Zwykle badania naukowe. Jak na każdy inny temat.

– No, ja tam się nie znam... – Zofia zgmiotła pierwszy orzech. – Ale ja bym w tym nie grzebała.

Pewnie, że nie, miała ochotę powiedzieć Dorota. Ty byś grzebała w zębach. A ja w aktach. Dla każdego coś innego.

– Wiesz coś o tych willach? – spytała. – Konkretnie o tej pod lasem, która należała przed wojną do Scheerów. Wiesz, taka totalna ruina, gorsza od domu ciotki Łucji. Głównie o niej piszę.

Zofia zmrużyła oczy, co oznaczało, że intensywnie rozmyśla.

– Niestety. – Wzruszyła ramionami. – Jak wiesz, pochodzę z innej części Łodzi. Zapytaj ciotkę Łucję. Ona całe życie tu spędziła, a do tego ciągle łązi po krzakach z tymi swoimi psami.

– Już rozmawiałam z Łucją.

– I co?

– Mówi, że nie pamięta. A wracając do tematu taty – powiedziała. – To on miał mi przetłumaczyć z rosyjskiego kilka dokumentów.

Zofia wzniosła wzrok ku górze.

– No tak, on po ten proszek do pieczenia poszedł pieszo chyba do Gdańska – mruknęła. – Zadzwoń do niego.

Szukanie telefonu zajęło jej kilka minut. Twierdziła, że jest wyciszony i dzwonienie wywoławcze nic nie da. Grzebały pod poduszkami na kanapie i pod gazetami rozłożonymi w niemal każdym wolnym miejscu pokoju. Na próżno. Matka była niepoprawną bałaganiarą, więc w końcu telefon dyscyplinująco-tropiący wykonały z aparatu Doroty.

Rozmowa Zofii z mężem była krótka.

– Tak? Za kwadrans? Bo Dorcia czeka.

Matka odłożyła aparat, kiwając głową.

– Ach, ten twój ojciec... – westchnęła. – Martwię się o niego. Czy aby nie ma początków jakiegoś alzheimera.

Niestety, Dorota pomyślała to samo.

Zatem czekały obie. Najpierw razem łupały orzechy. Potem rozstawiły talerze na stole i zasiadły nad kawą.

Dorota przeglądała czasopisma czytowane przez Zofię. Pierwsze z brzegu zatytułowane „Nasz Relaks” było adresowane do kobiet, które interesowały się modą i kosmetykami w przystępnych cenach. Szczupłe, ładnie ubrane panie o wygładzonych komputerowo twarzach i wyretuszowanych ciałach uśmiechały się z każdej strony tego periodyku wydanego na kiepskiej jakości papierze, który brudził palce. Hasła na okładce krzyczały: „Ona schudła bez ćwiczeń i diety, dowiedz się jak”, „Siedem sposobów na gładką cerę bez wychodzenia z domu!”, „Jak pokochać swoje ciało w dojrzałym wieku?”. Pomiędzy masę słabych zdjęć wciśnięto reklamy przeróżnych środków kosmetyczno-spożywczych, które miały udawać mniej lub bardziej bezstronne artykuły napisane przez miłą panią redaktor.

Dorotę rozboleły oczy od nagromadzenia wzorów i kolorów. Dziwiła się matce, że to czyta. Ale jej nie potępiała. Każdy ma przecież prawo do relaksu, pod tym względem tytuł został doprawdy trafnie dobrany.

– Biorę z tych gazet głównie przepisy kulinarne – tłumaczyła się Zofia, widząc sceptyczną minę córki.

W następnym piśmie Dorota zauważyła zagięty w charakterystyczny sposób róg strony, co świadczyło o tym, że Zofia znalazła tam coś ważnego dla siebie. Strona, o zgrozo, zawierała wielkoformatową reklamę szemranego środka odchudzającego w postaci plastrów naklejanych na skórę, który ponoć odejmował kilka kilogramów w kilka dni bez diety i ćwiczeń. By udowodnić skuteczność kuracji, reklamodawca umieścił dwa zdjęcia tej samej kobiety, jedno przed kuracją i drugie po niej, kiedy to kobieta zmieniła się w eteryczną nimfę o figurze modelki.

– Tylko przesadnie nie wierz w to, co czytasz – przestrzegła matkę. – To jest jedna wielka reklama, nic więcej. Wciskają ludziom buble.

Pomyślała przy okazji, że te reklamy niewiele się różnią od plakatów propagandowych, które zamawiała bohaterka jej reportażowej książki, Michalina Starska. Te dwa rodzaje przekazu – współczesny marketingowy oraz dawny propagandowy miały podobne zadanie, które polegało na tym, że w niemal identyczny sposób robiły sieczkę z mózgu odbiorcom. Stosowano te same triki i chwytły. W czasach Michaliny chodziło o to, by wdrożyć w umysły właściwe treści, zaszczepić wymagany sposób myślenia i sprawić, by ludzie robili to, czego się od nich oczekuje, czyli wspierali system. Pozbyli się własnego zdania, nie protestowali i ślepo podążali za jedyną słuszną ideą. Cele działań współczesnego marketingu były w pewnym sensie podobne – miały przekonać konsumenta, aby kupił dany produkt, jak najszybciej i bez zbędnej refleksji, a właściciele potężnych korporacji nabili sobie kabzę.

Ojciec zjawiał się po kolejnym kwadransie. Z miną zdobywcy wręczył żonie trzy opakowania proszku do pieczenia. Po czym przeszli z Dorotą do jego „jaskini” w suterenie, gdzie najczęściej przebywał, pośród książek o filozofii, przy ukochanym biurku. Nad wyraz bowiem cenił sobie spokój.

– Pokaż te dokumenty – powiedział.

Dorota wyciągnęła z torby teczkę, którą dał jej Langer.

Radomir zapalił lampkę, założył okulary i pochylił się nad dokumentami. W skupieniu przeglądał kartki i zdjęcia. Starał się nie pokazać po sobie emocji.

– To trudne sprawy są – skwitował.

– To samo powiedziała mama – zauważyła Dorota. – Mówiła, żebym lepiej pisała o księżniczkach... Nie bardzo rozumiem, dlaczego wszyscy usiłujecie mnie zniechęcić do tematu wczesnego socjalizmu... Przecież to historia jak każda inna. Nie dotyczy nas bezpośrednio. Żyjemy w innych, lepszych czasach...

Radomir zagryzł wargi. Chciałby zgodzić się z córką, ale w tej kwestii nie mógł. Niestety. Nie po tym, co przed chwilą zobaczył. Zamknął z hukiem teczkę.

– Przejrzę to, przetłumaczę co się da i dam ci znać – obiecał.

Wydawał się poruszony zawartością teczki. Dorota była bardzo ciekawa, co tam wyczytał.

– Będę się już zbierać, tatku – powiedziała.

Radomir został sam w swojej męskiej jaskini. Zniknął jego stoicki spokój, którym zazwyczaj emanował. Nie mógł usiedzieć w miejscu, niespokojnie krążył po pokoju, wyglądał przez małe okienko, podchodził do szafek, wyciągał jakieś papiery. Odsunął na bok ulubionego Hegla – lektura w tym stanie nie miała sensu, nerwów nie mogła ukoić nawet muzyka klasyczna.

Westchnął ciężko, po czym otworzył szufladę biurka. Zaglądał do niej tylko w wyjątkowych sytuacjach. Sięgnął po dużą biurową kopertę. W środku były stare zdjęcie i legitymacja. Obejrzał obie rzeczy w świetle lampki, pokiwał głową w zadumie. Z drugiej szuflady wyjął paczkę papierosów. Leżała tam od jakichś dwudziestu lat. To były stare, kiepskie papierosy bez filtra. Rzucił nałóg przed dziewiętnastoma laty. Niedługo przedtem jego ojciec zmarł na raka płuc, więc syn wziął się za siebie. Żona i córka kibicowały mu z całego serca. Dorcia była wtedy w podstawówce, pamiętał jej kucyki i kokardki z Myszka Miki. Jakże się cieszyła, że tatuś już nie pali! Skakała z radości, rzuciła mu się na szyję. Jego mała córeczka. Był z siebie taki dumny. Wszyscy mu powtarzali, że ratuje sobie życie.

Papieros początkowo nie chciał się zapalić. Zawilgotniał czy jak w tej zapomnianej szufladzie? Ale w końcu się udało. I to był wspaniały moment. WSPA-NIA-ŁY.

Radomir siedział w fotelu i wdychał dym, zaciągał się łapczywie, delektował. Nie zważał na nikotynowy smród, który niechybnie wyczułaby Zofia, gdyby tu weszła. W tej chwili nie myślał o konsekwencjach.

Przecież już się stało. Nic tego nie zmieni.

LANGER

Od profesjonalnego szwajcarskiego detektywa dowiedział się między innymi tego, że Christine wcale nie jeździła do kliniki leczenia niepłodności. Żaden lekarz nigdy jej nie powiedział, że jest bezpłodna. Oszukała go. Sama zdecydowała, że nie może zostać matką. Był na nią zły. Tak zwyczajnie, po ludzku zły, że skłamała. Długo wtedy chodził po domu, od ściany do ściany, miotany emocjami, wściekły i zrozpaczony.

Stopniowo odkrywał ostatnie poczynania żony, co dostarczało mu tylu emocji i wrażeń, że czasem miał ochotę płakać, czasem wrzeszczeć z niemocy, czasem też chętnie by kogoś pobił, tylu negatywnych uczuć doświadczał.

Jego przyjazd do Polski był tak naprawdę ostatnim aktem tego dramatu, podczas którego liczył już tylko na cud, że znajdzie w tej historii jakieś pozytywne elementy, jakiś punkt zaczepienia, ulgę i zadośćuczynienie. Albo choćby namiastkę wyjaśnienia. Langer szukał klucza do tej opowieści, której elementy prowadziły do Łodzi, do starej willi na przedmieściach. Zamierzał ten dom kupić, wiedziony dziwną intuicją. A potem zburzyć, zrównać z ziemią, sprawić, by ślad po nim nie został, albo dla odmiany odbudować go i znaleźć nowy, dobry powód dla jego istnienia. Najpierw jednak musiał poznać historię tego domu.

Szwajcarski wspólnik, Niemiec z pochodzenia, Dieter Franke, nie nadążał za zmianami nastrojów Langer. Nie dość, że Langer przestał się do niego odzywać, to jeszcze scedował na niego większość odpowiedzialności za firmę, zrzekając się nawet części zysku. Gdzieś zniknęła jego pewność siebie i nieugiętość w interesach. Stał się bardziej pobłażliwy, mniej wymagający, mniej konkretny. Dieter wiedział, że powodem są problemy rodzinne, że Langer opuściła żona i stąd bierze się jego brak zainteresowania biznesem. Starał się zrozumieć przyjaciela, ale słabo mu to szło. Dla niego biznes to był biznes, a emocje to prywatna sprawa każdego człowieka. Całkowicie rozdzielał te dwie sfery, będąc szczęśliwym mężem i ojcem dwóch dorastających synów.

– W przyszłym tygodniu jadę do Polski – oznajmił mu Langer zmęczonym głosem przez telefon, zapowiadając swoją nieobecność na ważnym spotkaniu biznesowym, w którym razem mieli wziąć udział. – W sprawie Christine.

Wspólnik się niepokoił.

– Potrzebujesz wsparcia? – pytał. – Coś się stało?

Langer zaprzeczył. Z każdym kolejnym wyjazdem „w sprawie Christine”, coraz mniej mówił. Zauważył kiedyś, że zamyka się w sobie podobnie jak Christine. No bo co mógł powiedzieć? Tego nie dało się opisać. Naprawdę najwłaściwsze wydawało się milczenie.

– Ach, ta słowiańska krew! – wzdychał Dieter.

Od dawna wiedział, że Słowianie są inni. Przesadnie emocjonalni, wręcz pozbawieni rozsądku. Zapalali się do jakiejś idei w sposób, którego nie zrozumiałby Szwajcar, Francuz ani Niemiec. Działali przy tym irracjonalnie, pozwalali emocjom przejąć nad sobą władzę. Zwłaszcza Polacy. Dieter nigdy by sobie nie pozwolił na to, by aż tak świrować. Dobrze, że znali się od lat, bo gdyby spotkał Langerera teraz, gotów był stwierdzić, że ma do czynienia z człowiekiem niespełna rozumu. Jednak właśnie z uwagi na ich długoletnią znajomość i wzajemne zaufanie - zarówno w sprawach biznesowych, jak i osobistych - starał się zrozumieć działania współnika.

Langer z łatwością mógł wytropić Christine z pomocą detektywa. Nie to jednak stanowiło problem.

– Jeszcze nie teraz – mówił. – Uszanuję jej decyzję. Jest bezpieczna. Żyje, ma się dobrze.

Czasem jego słowiańska dusza brała nad nim górę i korciło go, by odnaleźć Christine i potrząsać nią z całej siły.

– Obudź się! – Chciał na nią krzyknąć. – To nie były twoje sprawy! Cokolwiek tam się stało, ty nie miałaś z tym nic wspólnego! Wróć do mnie!

Chciał, żeby zrozumiała, że musi nabrać dystansu do tamtych historii. Że jest odrębnym bytem. Do cholery! Wiedział, że nie spocznie, dopóki nie znajdzie rozwiązania i nie zdejmie z Christine tego okrutnego poczucia winy, bo to chyba ono nie pozwalało jej żyć. A najgorsze w tym wszystkim było to, że przecież ona nie była niczemu winna!

Pragnął znaleźć winnego. Napiętnować go i obarczyć odpowiedzialnością. Zaczynał zdawać sobie sprawę, że jego dochodzenie „w sprawie Christine”, było rozpaczliwą próbą wskazania winnego. I że towarzyszyły temu olbrzymie emocje. Nic dziwnego, że ona postanowiła wypisać się z tej nierównej, okrutnej gry.

DOROTA

Czekając na tłumaczenie dokumentów, skupiła się na dalszym śledzeniu losów Michaliny Starskiej. Niemal zamieszkała w archiwum. Znała już przedwojenną historię Michaliny, wiedziała także, że brała udział

w rozlicznych inicjatywach odbudowy Polski w 1945 i 1946 roku. Była niezwykle aktywną działaczką kulturalną i oświatową.

Zadzwoniła do ojca. Odebrał dopiero po długiej chwili.

– Jak ci idzie? – zagadnęła łagodnie.

– Już kończę, córuś – odparł cicho, a w jego głosie dało się słyszeć wahanie. – Niedługo możemy się spotkać. Może nawet jutro...

– To świetnie – ucieszyła się Dorota. – Będę wieczorem. Ale teraz chcę jeszcze o coś cię zapytać. Czy w tych teczkach była mowa o tym, że w tamtym domu doszło do zbrodni?

Odpowiedziała jej cisza, jakby Radomir nie usłyszał pytania.

– Zbrodnia? – powtórzył z namysłem. – Chyba nie... Ale weź pod uwagę, że ja nie jestem w rosyjskim taki znowu biegły.

– A co ciekawego wyczytałeś?

– No... Jest tu wiele... różności – bąknął. Wiedział, że tylko od niego zależało, co powie. I kiedy.

– Więc co odkryłeś? – dopytywała Dorota.

– Na przykład to, że jedna z bohaterek tych akt, Michalina Starska, wzięła z domu dziecka dziewczynkę na wychowanie.

Dorota z wrażenia aż podskoczyła na krześle. Na taką wiadomość czekała!

– Z domu dziecka?

– Tak. Jest jedna krótka notatka po rosyjsku, że Michalina mieszkała z dzieckiem.

– Ojej... – Dorocie zakręciło się w głowie od tych rewelacji.

Nastąpił przełom w jej dochodzeniu. Chyba właśnie odkryli „spoiwo” łączące Michalinę z Christine. Przecież ona rysowała dziewczynkę, dziewczynka była też na wykonanych z ukrycia zdjęciach domu.

– Muszę się z tobą jak najszybciej zobaczyć – zdecydowała Dorota. – Odkryłeś właśnie coś ważnego!

Radomir miał ochotę zaśmiać się i zapłakać jednocześnie. Zawartość teczki również dla niego była odkrywcza. I to jak! Też musiał to sobie

przetrawić, uporządkować, oswoić się z szokiem. Oraz zaakceptować cholerny fakt, że sam był w tę sprawę zamieszany bardziej, niż sądził. Podobnie jak Dorota. Nie wiedział jeszcze, w jaki sposób powie o tym córce, że ta sprawa w zasadzie dość bezpośrednio dotyczy także jej osoby.

– Podano nazwisko tej dziewczynki? – spytała Dorota.

– Tak. Poczekaj, zaraz znajdę...

Odłożył na bok telefon, żeby przeszukać papiery.

– Mam. Barbara Strzelczyk, dziesięć lat.

Dorota szybko zanotowała, nie mogła się doczekać dalszego dochodzenia. Wreszcie znalazła trop, wreszcie ma punkt zaczepienia! Wszystko zaczynało się układać w coraz bardziej logiczną całość.

– Dzięki za pomoc, tatku. Najchętniej od razu bym do ciebie wpadła.

– Wpadnij jutro. Dziś nie mogę. Mam coś do załatwienia... – mruknął ojciec, po czym westchnął ciężko i odłożył telefon.

Czekał go trudny dzień.

Dorota zaczęła szukać informacji o dziewczynce, którą z domu dziecka wzięła do siebie Michalina Starska. Miała do przekopania olbrzymią ilość akt, które częściowo mogła przeglądać w domu. Oczy piekły ją ze zmęczenia, kiedy skanowała wzrokiem kolejne rzędy literek i liczb. I już wiedziała, że trop był słuszny.

Właśnie przeglądała dokumenty, siedząc na kanapie w swoim mieszkaniu, kiedy przez okno zobaczyła, że przez patio pędzi Filip. Było to tym dziwniejsze, że padał deszcz, a on nie miał ani parasola, ani kurtki, za to był w klapkach. O co chodzi?, pomyślała zaniepokojona, podchodząc do okna, ale on już zdążył zniknąć za załamaniem muru od strony sklepu spożywczego. Czyli możliwe, że to właśnie był cel jego szybkiej wycieczki w tych niesprzyjających warunkach pogodowych. Stała chwilę przy oknie, bo nagle przyszła jej do głowy myśl, która nie mogła dać jej spokoju. Przypomniała sobie, że przecież Filip też wychowywał się bez rodziców. I też spędził jakiś czas w domu dziecka, aż zabrała go stamtąd ciotka. Dorota postanowiła, że kiedyś go o to zapyta. Chciała zrozumieć, co czują osoby, które wychowywały się bez

rodziców i były adoptowane, jakie towarzyszą im przeżycia, tęsknoty, zmartwienia.

Tymczasem ponownie zobaczyła Filipa przez okno. Wracał ze swojej szalonej eskapady. Miała rację, celem jego wyprawy był sklep spożywczy znajdujący się tuż obok bramy patio apartamentowca. Filip zrobił olbrzymie zakupy, jakże w jego stylu. Dojrzała wielką mleczną czekoladę, która wystawała z jednej z jego toreb. Czyli właśnie uległ pokusie, z którą od miesięcy walczył. Szkoda chłopaka. Męczył się strasznie. Chciała mu pomóc, ale nie wiedziała jak.

Pomyślała o nim z czułością. Odkryła przy okazji, ku swojemu zaskoczeniu, że brakuje jej Filipa. Chciałaby, żeby był obok, żeby mogła z nim porozmawiać. On miał takie zdroworozsądkowe podejście, jak to facet. Wedle filozofii, że jest jak jest. A skoro tak jest, to zapewne musi tak być.

Na pewno nie powinna teraz iść do niego, tylko by go zawstydziła, gdyby spotkali się na klatce schodowej, on z siatami wypchanymi całym wymarzoną dobrem tego świata.

ROZDZIAŁ 6

KIEDYŚ

W garażach na podwórzu od wewnętrznej strony urzędu z trudem znaleźli jeden wolny samochód – służbowe auto majora Gołąbka. Major przebywał w podróży poza miastem, zatem Michalina mogła skorzystać z jego wozu. Wybór był bardzo skromny, bowiem flota samochodowa dopiero powstawała. Na potrzeby urzędu zgromadzono wszelkie dostępne i sprawne pojazdy ponemieckie, wymagały one wszakże pewnego dostosowania. Samochody ciężarowe były w ciągłym użytku – wiadomo, do przewożenia rzeczy, konfiskaty mienia i wszelkich zadań związanych z majątkiem ruchomym.

Za kierownicą usiadł Wysmyk. Planował przerwę na obiad, zanim do pokoju wpadła ta furiatka Michalina Starska. Już wyciągał kanapki, kiedy musiał wszystko rzucić i pędzić do jakiegoś dzieciaka w sprawie jakiegoś rysunku. Wysmyk kręcił nosem, ale robota to robota. Trzeba robić, co każą.

Jechali na północ, najpierw wzdłuż Zgierskiej (w przeszłości Hohensteinerstrasse), potem przez dawne żydowskie tereny na Bałutach. Na terenie byłego getta panował teraz taki bałagan, że nie dałoby rady przejechać, musieli więc okrążyć spory teren wkoło niegdysiejszych zasieków wzdłuż Marysińskiej. Później wrócili na główną trasę w kierunku Zgierza. Drogi były tu kiepskie, w najlepszym przypadku za nawierzchnię robiły kocie łby. Mijali furmanki i wozy konne, na których siedzieli okutani, zabiedzeni i brudni chłopię. Wychudzone dzieciaki biegały wzdłuż wałących się parterowych domków. Gdzieniedzie powywalano na zewnątrz meble, wielkie drewniane szafy, stosy połamanych krzesel, rupieci, szmaty... Bieda mieszkańców północnej części miasta zawsze była dotkliwa, ale teraz szczególnie rzucała się w oczy. Miasto wyglądało na wymarłe, brakowało tu życia – kum targujących się przy kramach, mężczyzn zmierzających do bożnicy, drobnych handlarzy głośno zachwalających swój towar. Brakowało intensywnej woni kapusty, zapachu magła, pierza i pieczywa... Tego wszystkiego, co stanowi kwintesencję codzienności. Michalina doskonale znała tę tkankę miasta, jej odcienie, dźwięki

i tekstury. Nie zawsze miłe – najczęściej właśnie paskudnie śmierdzące, wizualnie obrzydliwe i pełne przykrego hałasu.

Znała to wszystko od lat, a zdawało jej się, że to było w innym życiu. Nie lubiła wracać w te miejsca. Wysprzątane surowe mury kamienic w centrum bardziej jej odpowiadały.

– Jedź szybciej! – ponaglała Wysmyka.

Przymknęła oczy. Dla poprawy humoru przywołała pod powiekami obraz przyszłości, jaką tu niebawem zbudują. I ona będzie mieć w tym swój udział. Początkowe nieprzyjemne uczucie ni to wstydu, ni lęku, które zagościło w jej sercu, powoli przekształcało się w dumę. Oczami wyobraźni snuła wizję przyszłych Bałut. Wolnych od ubóstwa, nędzy, smrodu i brudu. Wysokie czyste osiedla wielorodzinnych domów w miejsce walących się drewnianych chałup zanurzonych w błocie; równe utwardzone drogi, bezpieczne i wygodne. Gmachy użyteczności publicznej, nowe szkoły, ośrodki sportu, parki, skwery... Och, tyle dobrego jest do zrobienia, myślała z dumą. Mnóstwo pracy ich czeka, pracy ważnej, budującej i przyszłościowej. Wreszcie szare masy zyskają szeroki dostęp do dóbr kultury, osiągnąć cywilizacyjnych, medycznych i naukowych. O zwykłych udogodnieniach mieszkaniowych nie wspomniawszy – jak choćby kanalizacja! Powszechna kanalizacja dostępna dla każdego mieszkańca! Michalina zmarszczyła brwi, podniosła wyżej szybę w samochodzie – z zewnątrz napływał bowiem cierpki, kwaśnawy smród, coś jak ścieki płynące wzdłuż drogi wymieszane z łajnem konia. To miasto da się uratować. Tu jeszcze będzie pięknie, jeszcze będzie się dobrze żyło ludziom, bez względu na ich pochodzenie, nawet jeśli są prostymi robotnikami. To tylko kwestia czasu, być może najbliższych lat. Bo najważniejsze jest to, że jesteśmy na właściwej drodze, myślała Starska. Dbamy o siebie nawzajem, o nasze otoczenie, o nasze cele i nastawienie. Dlatego tak ważne jest kształtowanie właściwych postaw, wpajanie odpowiednich wartości, chęć pracy i zaangażowanie. Ludzie chcą żyć lepiej i będą żyć lepiej. Już niedługo. Sztuka w tym pomoże, plakaty, obrazy, rysunki, hasła. One wskazują ludziom drogę.

– To tutaj – powiedział Wysmyk, po czym skręcili w bramę.

Michalina tak się zamyśliła, tyle dobrego widziała oczami wyobraźni, te wszystkie piękne gmachy i uśmiechnięte rodziny na balkonach wśród

kwiatów, że nie zauważyła, dokąd dojechali. Podróż zdała jej się krótsza, niż faktycznie była.

Wysmyk zaparkował, wysiedli oboje, a stopy Michaliny obute w delikatne czółenka na słupku zatopiły się w błocie. Przed nią wznosił się potężny, majestatyczny budynek w stylu podmiejskich willi, o solidnych grubych murach, czerwonej dachówce, pociągłych oknach i ryzalitach, zdobieniach kolumnowych, z trójkątnym tympanonem. Całość była ładnie zachowana. Tylko że w zapadłej dziurze, w chaszczach, z dala od głównej drogi. Gdzieś pomiędzy Łodzią a Zgierzem, dokładniej nie potrafiłaby określić, wszakże drugą część podróży spędziła, śniąc na jawie o przyszłej socrealistycznej Łodzi.

– Pójdziemy od razu do gabinetu kierownik – zdecydowała Michalina
– Muszą nam powiedzieć, kto jest autorem tej pracy. Wręczymy mu pierwszą nagrodę!

Kiedy otwierali drzwi do sieni, Michalinie zdało się, że ktoś mignął jej tuż za drzwiami, ktoś wcześniej przycajony, kto widział, że się zbliżają, ale nie chciał, aby go zauważyli.

Pewnie dzieci. Na pewno dzieci. Bawią się w chowanego, pomyślała Starska.

*

Nie był to sierociniec prowadzony przez siostry zakonne, tak jak to często bywało tuż po wojnie, tylko niedawno utworzona, w pełni świecka placówka państwowa. Wysmyk w milczeniu poprowadził Michalinę do lewego skrzydła, gdzie mieścił się gabinet kierowniczkii. Przy okazji mogła przekonać się, że wytyczne dotyczące obrazów zostały tu wzorowo zastosowane. Na ścianach w korytarzu wisiały bowiem stosowne portrety. Jeden przedstawiał Stalina, drugi zaś Bieruta. Między fotografiami rozciągała się wielobarwna wystawa dziecięcych prac. Rozmachem i kolorystyką przyćmiła obu szacownych dygnitarzy, obrońców pokoju na świecie i budowniczych nowej Polski, których portrety powieszono obok. Było widać, że dzieci mieszkające w tym domu mają dużo zajęć plastycznych. To bardzo dobrze, uznała Michalina. Nie była na oficjalnej wizytacji, ale gdyby musiała odhaczyć w raporcie wykonanie w tym domu propagandowych wytycznych, zaznaczyłaby stosowną rubrykę z wysoką oceną.

Z ciekawością podeszła do gazetki ściennej i odczytała napisy przyklejone szpilkami do materiału. Największy głosił: „Pielęgnowujemy ogród kwiatowy – relacja dzieci starszych”. Było też kilka rysunków roślinek z opisami. Obok ktoś opowiadał o akcji wspólnego sprzątnięcia podwórka. Zatem sporo tu się działo. W pozytywnym sensie. Wyglądało na to, że wychowankowie są otoczeni należytą opieką. Dalej przypięto wycinek z gazety poświęcony Januszowi Korczakowi. „Idee korczakowskie wobec wyzwań powojennej codzienności” – głosił tytuł. Michalina nie interesowała się pedagogiką, więc nie miała pojęcia, na czym te idee miałyby polegać. Pomyślała, że chętnie by ten artykuł przeczytała, gdyby miała czas. Może pójdzie do biblioteki i pożyczy coś na ten temat... Idea wychowania młodzieży coraz bardziej ją pociągała. Wychowania w duchu socjalizmu, rzecz jasna. Muszę jednak sprawdzić, co to są te idee korczakowskie, pomyślała, żeby się nie okazało, że to jakieś wywrotowe kapitalistyczne wymysły.

Tymczasem doszli do gabinetu kierowniczkowej, przed którym stali smętnie dwaj chudzi i przyszczaci nastolatki. Zza zamkniętych drzwi dobiegały odgłosy awantury, w której prym wiodł podniesiony głos kobiety lub chłopięcy w trakcie mutacji – tego Michalina nie była pewna. Potem dało się słyszeć trzaśnięcie, może ktoś głośno zamknął szafkę. Chłopcy stojący przed gabinetem mieli harde, ale tajemnicze miny. Przeskrobali coś, czy wręcz przeciwnie? Trudno było orzec.

Michalina omiotła ich surowym spojrzeniem. Trzeba budzić respekt. Wszyscy wkoło powinni wiedzieć, że oto przybyła ważna delegacja z samego urzędu wojewódzkiego! Nie zamierzała czekać przed drzwiami na swoją kolej jak byle uczeń. Zamierzała śmiało wkroczyć do środka. Nie zdążyła jednak wprowadzić zamiaru w czyn, bo w tym momencie drzwi się otworzyły i z gabinetu wyszło dwóch piętnastolatków. Obrzucili nienawistnym spojrzeniem tych, którzy stali pod ścianą. Drzwi za nimi trzasnęły głucho, pewnie przez przeciąg. Następnie ruszyli w stronę schodów na piętro, człapiąc niemrawo. Wysmyk powstrzymał ich gestem i otworzył drzwi, na których wisiała tabliczka z nazwiskiem kierowniczkowej.

Najpierw do środka wkroczyła Michalina, pewnym siebie krokiem i z uśmiechem na ustach, a za nią podążył Wysmyk, ściskając oburącz mosiężny puchar z sierpem i młotem.

– Witajcie, obywatelko Konopacka – rzekła Michalina uroczystym głosem. – Moje nazwisko Starska. Michalina Starska. Jestem z komitetu.

Celowo zawiesiła głos, nie zdradzając od razu, z jakiego powodu przyszli. Ten sposób prezentacji niezmiennie robił wrażenie na osobach, z którymi przychodziło jej rozmawiać w sprawach służbowych. Kreowało to w rozmówcy poczucie niepewności co do celu wizyty i jej możliwych skutków. Taka wizyta mogła przecież potencjalnie dotyczyć wszystkiego i pociągać za sobą przeróżne sankcje. Z przesłuchaniem i więzieniem włącznie. W reakcji ludzie często wpadali w popłoch, drżały im ręce, głos zamierał w gardle, pot wstępował na czoło. Bardziej opanowani kamienieli i wzmagali czujność.

Tutaj czekała ją niespodzianka.

Na wprost drzwi, za wielkim drewnianym biurkiem wyłożonym zielonym sukniem siedziała drobna kobieta o stalowych oczach i pomarszczonej twarzy. Patrzyła przenikliwie na gości, oczekując wyjaśnień. Michalinę nieco zbiło to z tropu. Gdzieś uleciała jej wystudiowana pewność siebie. Poczwała się jak mała dziewczynka, którą zaraz czeka lanie, a do głowy napływały jej niedorzeczne myśli, łącznie z tą, by odwrócić się na pięcie i uciec bez słowa. Coś jej się przypomniało i nie było to miłe wspomnienie. Ani trochę.

– Dzień dobry. Teresa Konopacka – przedstawiła się kierowniczką.

Na szczęście Michalina szybko wzięła się w garść. Tyle razy wypowiadała te formułki, tak często przemawiała na spotkaniach kolektywów, sesjach, zjazdach i zebraniach partyjnych, że znała to wszystko na pamięć. Chwilowy spadek pewności siebie okazał się niegroźny.

– Przyszliśmy wręczyć nagrodę za najlepszą pracę w konkursie plastycznym – oznajmiła.

Kierowniczka uśmiechnęła się ciepło i wstała zza biurka.

– Och, tak. Oczywiście... Bardzo mi miło.

Teraz stała przed nimi urocza starsza pani, wymarzona babcia dla wszystkich dzieci.

Michalina znów doznała uczucia dziwnego skrępowania, zdało jej się, że zna tę kobietę, ale nie mogła sobie przypomnieć skąd. Drobna dłoń

staruszki okazała się przyjemnie ciepła i zaskakująco silna, a uścisk zdecydowany. Michalina miała ochotę wyszarpnąć dłoń. Dawno powinna przejąć inicjatywę w rozmowie i zarządzać biegiem wypadków.

– Proszę spocząć... – rzekła Konopacka z uśmiechem.

Emanował z niej leniwy spokój, który udzielał się zebranych. Wysmyk poczuł się jak u swojej ulubionej ciotki Józki w Wyszku, ale wytrenowany przez lata służby, czekał, aż pierwsza usiądzie Michalina, której było zdecydowanie nieswojo i w ogóle trochę się zagubiła. Dziwne dla niej było i niepokojące, czuć na sobie wzrok tej niezwyklej kobiety. Niby przyjemnie, ale... Trzeba to zakończyć jak najszybciej.

– Mamy mało czasu – przybrała najbardziej oficjalny ton, na jaki było ją stać. – Obowiązki wzywają.

Postanowiła zrezygnować z oficjalnej części wystąpienia. Tym razem obędzie się bez wręczania nagród w obecności całego personelu i podopiecznych, obędzie się bez przemówienia i górnolotnych słów o odbudowie kraju w duchu socjalistycznej wspólnoty. Choć taka uroczystość stanowiła właśnie sedno podobnych konkursów, a przemówienia niosły wysoką wartość wychowawczą, społeczną i propagandową.

Zamiast tego wyjęła z szarej koperty pracę i delikatnie wzięła ją między palce. Położyła pracę przed dyrektorem domu dziecka.

– Oto zwycięski rysunek.

Najchętniej wcale by tej pracy na tym etapie nikomu nie pokazywała. A już zwłaszcza tej dziwnej staruszce o przenikliwym spojrzeniu, która w jednej chwili przypominała jej diabła wcielonego, a za chwilę uosobienie dobroci, niczym srebrnowłosego anioła w aureoli.

– Rzeczywiście, piękne... – przyznała cicho kierowniczką.

Jej twarz znów nie wyrażała żadnych emocji. Spojrzała na Michalinę, jakby się nad czymś zastanawiała. Nic jednak nie powiedziała i przez chwilę znów panowała krępująca cisza.

Wtedy Wysmyk postanowił wesprzeć szefową. Nie był wszakże niemową, a poza tym zgłódniał. Odciągnęła go przecież od obiadu, kazała jechać przez pół Łodzi... Kobiety to pokręcone są.

– Szukamy autora tego rysunku – wyjaśnił. – Ktoś to byle jak podpisał... Ale na pewno ktoś od was. Sam byłem go tutaj odebrać.

Kierowniczka założyła okulary w grubych oprawkach i pochyliła się nad pracą. To były rysunki ołówkiem na papierze, a konkretnie na odwrocie kartek ze starego ściennego kalendarza, nomen omen – na 1939 rok. Ta konkretnie pochodziła z sierpnia.

Rysunki przedstawiały ludzi, prawdopodobnie rodzinę: kobietę i mężczyznę w średnim wieku oraz dzieci: około dziesięcioletnią dziewczynkę i małego chłopca, może dwuletniego. Rysunek miał doprawdy magiczną siłę przyciągania, bo z jednej strony był prosty technicznie, a z drugiej - tak prawdziwy, wręcz idealny. Rodzice obejmowali dzieci, które patrzyły na nich z miłością. Na drugim planie stali dziadkowie – starsza pani miała tradycyjną chustę na głowie, a staruszek twarz poraną zmarszczkami. Młody autor rysunku zadbał też o tło – znajdowała się na nim typowa wiejska chałupa. Pozostałe rysunki przedstawiały te same osoby w innych konfiguracjach i pozach, a także kilka innych, zapewne również nieprzypadkowych.

Na odwrocie pracy kierowniczka znalazła same inicjały. Do tego nieczytelne. Jakby... JA? Co za głupoty! Ktoś, kto oddał tę pracę, najwyraźniej umiał malować, ale nie potrafił się podpisać. Wiedziała, kto to. Oczywiście, że wiedziała. Co to tego nie miała żadnych wątpliwości. Chodziło o dziewczynkę, którą miesiąc wcześniej przyjęto na specjalną prośbę domu dziecka w Kaliszu.

– Wie pani, kto jest autorem? – spytała Michalina.

Kierowniczka spuściła wzrok i westchnęła.

– Chodźcie za mną.

*

– Czy to sieroty wojenne? – spytała Michalina z głupia frant, kiedy przechodzili obok sali z najmłodszymi dziećmi.

Że też coś ją podkusiło, by zadawać niepotrzebne pytania. Wyszła na ignorantkę. Niemowlę zza ściany nie mogło być sierotą wojenną, bo wojna przecież się skończyła, zanim się urodziło.

Wysmyk westchnął. Jak widać, jego wymagająca, perfekcyjna i pracowita przełożona zajmowała się naprawdę jedynie plakatem,

rysunkiem i obrazem socrealistycznym mającym na celu kształtowanie postaw światopoglądowych w procesie odbudowy państwa. I nic innego jej nie interesowało. Nic, co pochodziło ze zwykłego świata, dalekiego od podniosłych haseł, pozowanych fotografii i teoretycznych rozważań.

Ten cholerny miedziany puchar z sierpem i młotem, ciężki jak sto diabłów, nieporęczny i brzydki, coraz bardziej wrzynał mu się w dłoń. Odcisków po nim dostanie, gorszych niż po przekopaniu rowów. Wysmyk to był prosty chłop, gdzie mu tam do sztuki, obrazów, dzieł, malunków, współczesnych czy przedwojennych, dla niego to *wsio rawno*. Cokolwiek by one przedstawiały.

Właściwie można powiedzieć, że on sam był sierotą wojenną, bo mu ojca zabili w trzydziestym dziewiątym, na samym początku wojny, a matkę stracił tuż przed wyzwoleniem, kiedy przypadkowy Niemiec przypadkowo ją zastrzelił. No i został Wysmyk Józek, lat dwadzieścia dwa, sam z trójką młodszego rodzeństwa. O! Z ośmioletnim obecnie Staszkiem, dziesięcioletnią Mańką i Stefcia, dwunastolatką. Zadbał o to, by rodzeństwo nie trafiło do żadnego domu dziecka. Nawet do podłódzkiego klasztoru u klarysek w Łagiewnikach. Po jego trupie! W tym celu wystarał się o dobrą pracę, mieszkanie, szkołę dla Stefcia i Mani... Zuch dziewczyny, świetnie sobie radziły i jeszcze się młodszym Staszkiem opiekowały.

Więc kiedy jego szalona szefowa, Michalina Starska, maniaczka sztuki malarskiej, zadała to niefortunne pytanie ignorantki „Czy to sieroty wojenne?”, Wysmyk miał ochotę walnąć ją miedzianym odlewem sierpa z młotem, który musiał nosić podczas całego długiego pobytu w tym zaiste szczególnym domu dziecka.

– To jest dom sierot społecznych – wyjaśniła kierowniczką cicho. – Rodzice większości tych dzieci odbywają karę więzienia.

Jej szarosrebrne oczy przeszyły Michalinę na wylot.

Dom sierot społecznych. Starska wiedziała, co to znaczy. Słyszała o tym. Właściwie powinna wiedzieć więcej, piastując tak wysokie stanowisko państwowe. Nie tylko dlatego, że zajmowała się kształtowaniem właściwych postaw obywatelskich i budowaniem morale ludności w powojennym chaosie, ale przede wszystkim dlatego, że to właśnie tym dzieciom należało poświęcić najwięcej czasu, energii i środków, by naprowadzić je na właściwą drogę. Należało podjąć

dotatkowy wysiłek, by ukształtować w nich właściwe postawy. Wychowankowie tego przytułku nie mieli możliwości wynieść właściwych postaw z domu, ponieważ ich rodzice byli przestępcami.

Michalina zamierzała nadrobić małe niedopatrzenie i przyjrzeć się tej instytucji. Zorganizujemy pogadanki, spotkania, kolejne konkursy, postanowiła. Można te dzieci wysłać na obóz na przykład nad jeziora... Przygotować dla nich program zajęć wychowawczych... One wymagają szczególnej uwagi. Ale to już prędzej zadanie wydziału szkolnictwa, a nie wydziału sztuki. Niemniej jednak trzeba się temu przyjrzeć. A przede wszystkim odnaleźć młodego autora rysunku i sprawić, by przysłużył się narodowej sprawie swoim talentem plastycznym.

*

Poszli w stronę wyjścia, gdzie w schowku pod schodami siedziała mała dziewczynka.

– Poczekam w samochodzie – powiedział Wysmyk taktownie.

Michalina została sama. Pochyliła się nad dziewczynką, która mogła mieć z dziesięć lat.

– Co robisz? Dlaczego tu siedzisz? – Tylko te pytania przyszły Michalinie do głowy.

Mała wzruszyła ramionami i popatrzyła na nią swoimi dużymi błękitnymi oczami.

– To twoje rysunki?

Pokazała pracę, którą wyciągnęła z teczki.

– Pani mnie stąd zabierze, prawda? – zapytała dziewczynka.

Michalina zamarła z półotwartą teczką w dłoniach. Ta krótka chwila zdawała się trwać wiecznie.

– Zabierze mnie pani – powtórzyło dziecko.

Michalina przymknęła oczy i wzięła krótki, szybki oddech. Już wiedziała, że ta mała ma rację. Odtąd będą nierozłączne. Nagła decyzja, impuls chwili.

Z trudem przychodziło jej wypowiedzenie każdego kolejnego słowa. W gardle jej wyschło, a głos brzmiał obco, kiedy poprosiła:

– Wyjdź spod tych schodów...

Podeszła do schowka i wyciągnęła rękę do dziewczynki, ale poczuła się niezręcznie i szybko rękę cofnęła. Dziecko jednak wyszło. Teraz zdawało się jeszcze bardziej mizerne i chudziutkie.

– Dlaczego chcesz, żebym cię zabrała? – zapytała ledwo słyszalnym szeptem Michalina.

Mała wzruszyła ramionami, co miało zapewne znaczyć: „Ot, tak, po prostu”.

– Masz jakąś rodzinę?

Głupie pytanie. A niby dlaczego trafiła do tej przechowalni zwanej domem dziecka?

Mała pokręciła głową.

Przez chwilę panowała cisza, która wrzynała się Michalinie w mózg. Starska przymknęła oczy. Coś jakby piasek wszedł jej pod powieki i utrudniał mruganie.

– Twoje prace są piękne. Masz talent – powiedziała.

Spojrzała na rysunek. Proste delikatne cieniowanie, łagodna i miękka kreska. Pełna wycucia, troski i... miłości? Michalina wzdrygnęła się na to porównanie, które przyszło jej do głowy. Magia tego rysunku była niezaprzeczalna. Miał w sobie lekkość, szczerłość i autentyzm. Przyciągał wzrok, hipnotyzował i kusił tym wszystkim, co istotne w sztuce – treścią, przekazem, wykonaniem, prawdą, a przede wszystkim talentem twórcy.

– To twoja rodzina? – zapytała, starając się ukryć emocje.

Dziewczynka skinęła głową, zagryzając przy tym wargi.

Michalina dalej przeglądała prace i też miała ochotę zagryźć sobie wargi.

Na Michalinę naparły wspomnienia. Przypomniała sobie, jak przed wojną zginął jej mały braciszek. Władzio miał tylko siedem lat i ten straszny los nie powinien go spotkać. To nie był czas na umieranie.

Mieszkali w jednej izbie na poddaszu walącej się kamienicy przy ulicy Brzezińskiej w Łodzi. Dlatego matka wysłała dzieci na wieś, do

bogatego dworu hrabiego Junoszy-Tarnowskiego, gdzie ochmistrzynią była jej ciotka. Michalina miała raptem piętnaście lat, ale przyjęto ją jako pomywaczkę. Władzio był słabego zdrowia, ciągle kaszłał, mówiło się, że świeże wiejskie powietrze mu pomoże. I rzeczywiście, początkowo było bardzo dobrze, spali z Michaliną na miękkiej słomie w szopie, mały biegał po polach, radosny i pełen energii. Pomagał wypasać owce z gospodarstwa należącego do dworu, robił też przy sianokosach. Odzyskał zdrowie, a na jego dotąd bladej twarzyczce pojawiały się rumieńce. Michalina przeszła tam prawdziwą lekcję życia, ale też była szczęśliwa.

Wszystko stało się tak szybko i bezsensownie. Pamięta, jak biegła przez pola, kiedy powiedziano jej, że Władzio nie żyje. Nie mogła uwierzyć, że to prawda. Władzio utonął podczas głupiej wyprawy łódką w hrabiowskim stawie. Hrabia zorganizował polowanie, potem łowienie ryb, zaprosił innych ziemian z okolic Zgierza i Ozorkowa. Pili dużo wina i biesiadowali. Były ogniska, obfite jedzenie, znoszone z kuchni przez kucharki i ciotkę Michaliny. Kilka ustrzelonych zajęcy i jedna sarna, młoda zresztą i bez większej wartości mięsnej, jak to określił jeden z myśliwych. A potem pijacka wyprawa łódkami po stawie. Jak Władzio znalazł się w tej łódce? Czy sam wsiadł, korzystając z tego, że panowie hrabiowie byli pijani, bo imponowali mu już wcześniej i lubił kręcić się obok nich? Czy też może zaprosili go do siebie, żeby im butelki podczas rejsu trzymał oraz zabawiał tańcem i śpiewem jak mały klaun, bo to też lubił przy nich robić? Tego Michalina się nie dowiedziała. Fakt był taki, że łódka z Władkiem przewróciła się i wszyscy szanowni podróżni wpadli do wody, bez względu na to, czy hrabia, czy naganiacz, wszyscy równo polecili pod wodę i zmoczyli sobie tyłki. I wszyscy z tej wody wyszli o własnych siłach, poza jej Władziem. Przypomniała sobie to teraz, patrząc w głębokie i smutne oczy małej Basi.

Musiała zabrać tę dziewczynkę do domu. Nie mogła postąpić inaczej.

Wtedy w korytarzu pojawiła się kierowniczką.

– O, tu pani jest, szukałam pani... – zwróciła się do Michaliny. – Chciałam przy okazji prosić, żeby zabrała pani te sprawozdania do urzędu...

Spojrzała uważnie na Michalinę, a potem na Basię. Pani z urzędu oraz dziewczynka z domu dziecka w Kaliszu stały na korytarzu naprzeciwko

siebie, a między nimi panowało trudne do określenia napięcie.

– Muszę z panią porozmawiać na osobności. – Michalina odchrząknęła nerwowo.

Zaprowadziły Basię do świetlicy, w której dzieci wspólnie szykowały dekoracje ścienne.

– Dołącz do grupy – poleciła kierowniczką dziewczynce.

Później przeszły do gabinetu.

– To sprawa wagi państwowej – powiedziała Michalina. – Co wiemy o rodzinie tego dziecka?

Kierowniczka przystanąła w połowie drogi między drzwiami a biurkiem. Nie spodobało jej się to pytanie. Urzędniczka z komitetu wyglądała jednak na nieprzejednaną.

Starsza pani sięgnęła więc do szuflady. Trzęsła jej się ręka, gdy wyszukiwała odpowiednią teczkę. Intuicja podpowiadała jej, że musi być ostrożna. Nie powinna też wykazywać się zbyt daleko idącą wiedzą. Przejrzała dokumenty pobieżnie, zresztą nie zawierały najbardziej czułych danych.

– Basię przeniesiono z placówki w Kaliszu, o co poproszono dla jej dobra. Rodzice nie żyją. Próby odnalezienia dalszej rodziny nie przyniosły rezultatu. – Głos kierowniczki zadrżał, a może Michalinie tylko się zdawało. – Ojciec był żołnierzem... Armii Krajowej. Tu jest adnotacja, że zmarł. – Zamknęła teczkę z hukiem. – Tyle wiem.

Dokumenty Basi zaginęły podczas wojny. Tak jak to się często zdarzało, były teraz nie do odtworzenia. W Michalinie buzowały emocje, oddychała ciężko, a zadziwienie mieszało się z radością. Jeszcze niedawno kompletnie nedorzeczna myśl, że może wziąć do siebie tę dziewczynkę, nabrała sensu. No i przede wszystkim – ta mała nie jest zwyczajną dziewczynką. Ta mała ma talent plastyczny, którego tak uparcie szukała Michalina. I to być może napędzało Michalinę do działania. W tych murach mała Basia nie otrzymała stosownej edukacji. Nikt nie będzie rozwijał jej wyjątkowego talentu. Czowała więc, że jest usprawiedliwiona w swoich zamiarach i działa nie tylko dla dobra Basi, ale też dla dobra narodu. To był bardziej rozumowy, logiczny aspekt tej sprawy. Inny aspekt skrywał się głęboko w jej sercu, ukryty i prawie zapomniany. Pierwotny, rozpaczliwy i smutny. Straszny i jednocześnie

prawdziwy. Czuła się winna, że nie uratowała Władzia. Kiedy tamci poszli na tę łódkę, ona przechadzała się po pokojach hrabiostwa i podziwiała dzieła sztuki.

Dziewczynka nie chciała mówić o swojej rodzinie. Kręciła głową, nerwowo podrygiwała na krześle. Ani kierowniczką, ani Michaliną nie miały serca męczyć jej dalej. W razie jakichkolwiek problemów, czyli sprzeciwu dyrektorki, albo nadmiernych formalności, Michalina była gotowa sięgnąć po standardowe argumenty osoby wysoko postawionej. Wystarczyło postraszyć konsekwencjami administracyjnymi – na początek. Zapowiedzieć częstsze wizytacje i dokładniejsze sprawdzenie dokumentacji. Ze szczególnym naciskiem na zbadanie przeszłości pracowników placówki. Zaraz by się okazało, że kierowniczką lub inną pracownicą działały podczas wojny w AK albo w ruchu oporu, a teraz usiłują to ukryć. I gdyby sprawie bliżej się przyjrzeć, toby wyszło szydło z worka i była podstawa do wyciągnięcia surowych konsekwencji. Albo można wszystko było rozegrać inaczej, bardziej bezpośrednio i w sumie prościej – powiedzieć mianowicie, że kontrola placówki pod kątem wypełnienia wytycznych propagandowych wypadła niekorzystnie. A następnie zapowiedzieć represje – oczywiście nieokreślone jeszcze, ale z pewnością dotkliwe i rzutujące na przyszłość całej instytucji.

Kierowniczką patrzyła w szare oczy Michaliny, teraz już zimne i pełne chłodnej kalkulacji. Może zobaczyła w nich te groźby. Może pragnęła spokoju. Może wierzyła w to, że ma oto przed sobą cudem odnalezioną krewne, a Michalina należycie wywiąże się z nowej roli. Poza tym, a może przede wszystkim – Basia najwyraźniej cieszyła się z perspektywy zamieszkania z nową opiekunką.

– Musimy wypełnić formularze.

– Oczywiście.

– Formalny wniosek...

– Dobrze.

Żadna z nich nie chciała kłopotów.

Kierowniczką podała Michalinie oświadczenie do podpisania i – na jej żądanie – teczkę z dokumentami dotyczącymi Basi. Zdążyła pobieżnie je przejrzeć, ale już na pierwszy rzut oka było widać, że ojciec miał

niewłaściwą przeszłość. Lakoniczną notatkę o jego śmierci dopisano niechlujnie na dole formularza.

*

Następnego dnia Michalina opowie współpracownikom, że przypadkiem odnalazła zaginioną w ZSRR córkę zmarłej przyjaciółki. Opowie też o swoim nieżyjącym mężu Andrieju, jak to on ją szanował i jaki był wspaniały, ale nie zdążyli dochować się dzieci. Bo gdyby Andriej żył, z pewnością mieliby gromadkę i wspólnie stworzyli wzorową socjalistyczną komórkę rodzinną...

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, że zamierzasz wziąć tę dziewczynkę?
– zapytał z wyrzutem major Gołabek.

– Bo to moje życie! – oznajmiła energicznie. – A tobie nic do tego. Pamiętasz, jak się umawialiśmy? Dajemy sobie wolność.

Major do tej pory uważał Michalinę za twardogłową służbistkę, skupioną na idei socjalizmu w sposób, który był wymagany i dobrze rokował co do jej przyszłej kariery. Potrafiła własnoręcznie zdierać uszkodzone plakaty i pomazane przez element reakcyjny obwieszczenia. Przesiadywała w pracy do późna, poprawiając sprawozdania i nadzorując wykonanie prac. Była niewątpliwie zdolna do wielu poświęceń. Ale coś takiego? Kolekcjonowanie dzieci? Tego major się nie spodziewał.

Przecież ona nie zna się na dzieciach, więc jak niby to sobie wyobraża?

Poza tym, myślał o ostatniej aferze z Krotoszyńskim, zdolnym młodym wykładowcą szkoły dla kadr, gdzie major wykładał przedmioty wojskowe. Krotoszyński miał potencjał i inteligencję. Mógł daleko zajść. Ale prawdopodobnie donikąd nie zajdzie, bo ktoś doniósł na ostatnim zebraniu kolektywu, że przed wojną ojciec Krotoszyńskiego był sanacyjnym policjantem. Stanowiło to karygodne niedopatrzenie działu kadr. Jednak w początkowym okresie nie sprawdzano współpracowników dokładnie, nie było na to czasu ani warunków. W komitecie cieszyli się, jeśli w ogóle kogoś znaleźli do pracy, a już szczególnie brakowało wykwalifikowanych wykładowców gotowych szkolić nowe kadry. Poza tym większość energii świeżo utworzonych władz szła na walkę z resztkami reakcyjnego podziemia.

Należało się zastanowić, co zrobić z Krotoszyńskim. Jako element niepewny światopoglądowo nie mógł dalej wykładać w szkole dla kadr. Trzeba chłopakowi zapewnić przeniesienie, może do jakiejś małej szkoły w okolicach Białegostoku. Oby tylko na tym się to skończyło. Szkoda chłopaka, miał autentyczny zapał do pracy i świetne pomysły. A do tego nie pił i skończył szkołę wojskową przed wojną. Ale takie jest życie. Są sprawy ważne i ważniejsze. Major miał nadzieję, że władze nie zaczną teraz brać pod lupę przeszłości pracowników i śledzić poczynania osób takich jak on. Bo wtedy miałby kłopoty.

Sam miał pewien rodzinny problem, o którym nikomu nie zamierzał mówić. Tkwiło to w nim jak zadra. Chodziło o ojca majora, starego Alfreda Gołąbka, który mieszkał w rozlatującej się chałupie w centrum najbiedniejszej części Bałut. Na domiar złego Alfred był nieznośnym starym dziadygą, który upierał się, że nie ma już syna, i regularnie odmawiał jakiegokolwiek pomocy, praktycznie przymierając głodem. Nie popierał bowiem kariery zawodowej Antoniego. Otwarcie krytykował drogę, którą obrał syn jeszcze przed wojną.

Może to wynikało z młodzieńczego buntu młodego Gołąbka, że wszystko robił inaczej niż ojciec. Wstąpił do nielegalnej Komunistycznej Partii Robotniczej Polski potajemnie, bo wiedział, że ojciec tego nie pochwała. Przestał chodzić do kościoła, chociaż ojciec był zagorzałym katolikiem, a także wybrał karierę wojskową, chociaż Alfred marzył o tym, by syn przejął po nim warsztat snycerski. Antoni wszystko robił na przekór ojcu, który miał rzeczywiście trudny charakter. Był uparty, zasadniczy, surowy. Lubił narzucać swoją wolę, nie znosił sprzeciwu. Matka Antoniego zmarła na gruźlicę, gdy chłopiec miał pięć lat, więc wychowanie syna spadło na barki Alfreda. Gdy chłopak chodził na manifestacje KPRP w latach dwudziestych, stary pukał się w głowę i mówił, że nic dobrego z tego nie wyniknie. Alfred sięgał czasem po gazetki znoszone do domu przez syna i otwarcie z nich kpił.

- Młody jesteś to i głupi! Może ci przejdzie i zmądrzejesz.
- Dla ojca to robię, żeby ojcu było lepiej – tłumaczył.
- Mnie jest dobrze, ja pomocy nie potrzebuję. A z tego komunizmu nic dobrego nie będzie, popamiętasz moje słowa!

Alfred wyśmiewał zaangażowanie syna, a im zapalczywiej próbował wybić mu je z głowy, tym większy był entuzjizm młodego.

Kiedy chłopaka aresztowali za działalność spiskową na początku lat trzydziestych, ojciec naprawdę się o niego bał. Poszedł do aresztu, by tłumaczyć, że smarkacz nie wie, co robi, że wpadł w złe towarzystwo, ale on jeszcze go wychowa, jeszcze mu przetłumaczy, co jest dobre, a co nie. Udało mu się wyciągnąć syna z aresztu, choć Antoni wyszedł na wolność wściekły i z pochmurną miną. Ot, młodość. Gdy dowiedzieli się potem, że aresztowanych wsadzono do więzienia o zaostrzonym rygorze, a niektórych wywieziono do Berezy, syn poczuł wdzięczność do ojca. Nie powiedział tego wprost, ale zrozumiał, że staremu na swój sposób na nim zależy. To była pierwsza cenna lekcja, jaką otrzymał, zarówno na temat ojcowskiej miłości, jak i na temat miłości do komunizmu.

Drugą cenną lekcję otrzymał wiele lat później, już w trakcie wojny. Sprawiała, że młody Gołąbek znienawidził komunistów. Zabili mu Zosię. Jego wspaniałą, mądrą i piękną Zosię, z którą chciał się ożenić i mieć z nią dzieci. Dobrą, łagodną, ciepłą kobietę, jedyną taką na świecie. Wtedy major przeszedł na drugą stronę barykady. Nadal oficjalnie był komunistą, oficerem ludowego wojska i aktywnym działaczem w strukturach nowej władzy. Zaplanował zemstę, chociaż tak wolał tego nie nazywać. To była bardziej konieczność, potrzeba. A nawet, jak zaczynał sądzić, obowiązek. Dodatkowo w pewnym sensie to zjednoczyło go z ojcem, bo nagle, o dziwo, tworzyli wspólny front, chociaż stary o tym nie wiedział. Major chciał go chronić i nie powiedział mu, że odtąd działa w ramach komunistycznej organizacji, ale także przeciwko niej, jako tajny współpracownik tak zwanej reakcji.

Z początku bawiło go to, że musi udawać. Był z siebie dumny, że się „nawrócił”. Ogromna złość, która w nim narosła, napędzała go do działania i tłumiała jakikolwiek lęk. Dzięki temu major czuł się właściwie niezniszczalny, nie bał się ryzyka i pozwalał sobie na wiele, nie wahając się przed niczym. Nawiązał współpracę z ludźmi z dawnego AK i został ich informatorem. Składał im raporty i donosy, część tych informacji miała trafić w ręce przedstawicieli zachodnich władz. Taki był plan, który jednak z pewnych względów miał nigdy się nie ziścić.

W pierwszej połowie czterdziestego piątego roku major jednak głównie się śmiał. W duszy, do siebie. Pielęgnował w sobie słodkie poczucie mocy, że oto wykiwa ich wszystkich, pokona ten system. Na zebraniach siedział z poważną miną, przytakiwał prelegentom, wykazywał inicjatywę, wyrażał aprobatę i angażował się w dyskusje.

Sam wielokrotnie przemawiał, napawając się brzmieniem własnego głosu, którego zebrani słuchali z atencją i zrozumieniem. Zaangażował się w budowę szkoły dla kadr, werbował nowych pracowników i pracował nad doskonaleniem ich umiejętności. Bywały dni, kiedy tak wczuwał się w swoją rolę, że zapominał, po której stoi stronie. Pił na zakrapianych kolacjach u Kapuśniaka, przyjmował z otwartymi rękoma delegacje komitetu centralnego, których członkowie z kolei wcześniej przyjmowali podobne delegacje z Moskwy. Wszędzie czuł się dobrze, był lubiany i szanowany. Słuchano go i wykonywano jego rozkazy, a przełożeni patrzyli na jego poczynania z uznaniem. Panował nad sobą w sytuacjach, które mogły się wydać kłopotliwe. Na przykład ze szczerą przyjemnością zabawiał radzieckich oficerów rozmową podczas imprez. Zapominał nawet, że być może to któryś z nich pozbawił jego ukochaną życia, albo jego kolega, brat lub sąsiad. I chociaż te radzieckie chłopaki zdawały się miłe, ot, pryszczate młodziki z cienkim wąsikiem, to nie mógł zapomnieć, że ktoś taki pozbawił życia jedyną kobietę, którą on pokochał.

Ale niektórzy byli w porządku, niektórych dało się polubić. Choćby Wania, głupi jak but, ale wesoły. Uśmiechnięty od ucha do ucha prosty chłopak z północy ZSRR, który opowiadał o swojej babuszce, pokazując po pijaku jej zdjęcie. Albo Pietia, młody filozof w okrągłych okularkach z cienkimi oprawkami. Ten to był pełen zapału i dobrych chęci. Wcale nie chciał tu przyjeżdżać, ale zakochał się w Polce i bardzo chciał zostać. Pracowity był i zaangażowany, chciał się wykazać. Na tyłach budynku przy Anstadta organizował biura. Sympatyczny gość. Był też ich przełożony – major Sołokin – jowialny, wesoły człowiek, pozytywnie nastawiony do życia i ludzi. To dzięki niemu błyskawicznie wyposażono dom dziecka przy Krajowej, kiedy skrzyknął ludzi i zorganizował samochody, żeby przewieźć tam meble i sprzęty domowe. Jego barczyste chłopaki wносиły to wszystko po kamiennych schodach do budynku.

Takie sprawy też były i tacy ludzie. Pomimo swojej złości i zgorzknienia, major to zauważał. Szybko jednak wracał do dawnego myślenia, w którym nie było miejsca na dylematy. Miał swoją misję, zadanie do wykonania. To było najważniejsze.

Natomiast ojciec na stare lata spokorniał. Nie narzucał swojej woli, nie czepiał się już i choć nadal pomstował na komunistów, to nigdy publicznie. Na szczęście ani przed wojną, ani w jej trakcie nigdzie

oficjalnie nie działał, w żadnych niewłaściwych obecnie światopoglądowo ugrupowaniach, więc formalnie pozostał czysty. Stary Gołąbek był mocny tylko w gębie. Dużo gadał, niewiele zrobił.

Dlatego oficjalna wersja dla Michaliny i innych była taka, że major nie ma rodziny. To do pewnego momentu wystarczało i nie wzbudzało podejrzeń.

Dopóki nie okazało się, że z ojcem dzieje się coś złego. Starszy pan zaniedbał się bardziej niż zwykle, prawie nie jadł. Wychudł i leżał bez życia. Trudno mu było się skupić, zapominał słowa. Gołąbek wezwał lekarza, który orzekł, że fizycznie wszystko z Alfredem jest w porządku. Nie zdiagnozował żadnej nagłej, ostrej choroby w rodzaju tyfusu, dezynterii czy grypy. Powiedział tylko, że staruszkowi przydałoby się wyjść na świeże powietrze. Izba, w której leżał, była zatechła i zawilgocona. A to zdrowiu nie sprzyja – dodał. Poleciał sanatoria, które nowa władza miała zamiar uruchomić już w najbliższe wakacje, a miały to być letnie miejsca wypoczynku dla takich osób jak Alfred Gołąbek – starszych, schorowanych, zmęczonych ciężką pracą dawnych robotników i rzemieślników.

Tymczasem Michalina chodziła po pokoju jak nakręcona. Opowiadała o nowych wytycznych, o walce z podziemiem, o tym, że należy tępić kapitalistycznych szkodników. Major nie miał ochoty tego słuchać, więc tylko udawał, że nadąża za jej słowami.

– W urzędzie to docenią. Będę stanowić socjalistyczny przykład. – Michalina zbierała ze stołu dokumenty i pakowała je do teczek. – We współpracy z wydziałem szkolnictwa zamierzam wdrożyć programy upowszechniania socjalistycznych wartości poprzez sztukę. Dziewczynka nie przeszkodzi mi w pracy, a nawet mi w niej pomoże... Będę więcej wiedzieć o dzieciach, to będę lepiej pracować.

Major westchnął. Wiedział, co Michalina chciała w tej chwili usłyszeć.

– Trzymam kciuki za powodzenie twojej misji – powiedział.

ROZDZIAŁ 7

TERAZ

DOROTA

– Znów do ojca? – zdziwiła się Zofia, kiedy w progu zobaczyła córkę.

Dorota przez ostatnie lata bywała w rodzinnym domu raz na pół roku, a teraz niemal co drugi dzień. Chociaż to w sumie miłe, skonstatowała matka.

– A co, nie ma go? – domyśliła się Dorota.

– Owszem. Wejdz. Poczekasz.

Zofia spodziewała się klienta od protezy, więc otworzyła córce drzwi z pudełkiem masy dentystycznej w ręku. Zdarzało się jej lepić odlewy na blacie w ich prywatnej kuchni, i tak najwyraźniej było też i tym razem.

Dorota postanowiła poczekać na ojca w jego piwnicznej jaskini. Kiedyś lubiła go tam odwiedzać, bo Radomir miał na półkach mnóstwo interesujących ją książek z dziedziny filozofii. Po wyprowadzce rzadko tam bywała, a teraz to miejsce nagle wydało jej się obce i ponure. Inne niż to, które zapamiętała i do którego wchodziła jako mała dziewczynka, by usiąść tacie na kolanach.

Wychwyciła dziwny zapach, który meandrował w powietrzu. Zmarszczyła brwi. Śmierdziało papierosami, których przecież ojciec nie palił od lat! Czyżby wrócił do śmiercionośnego nałogu? Po tym, gdy jego własny ojciec, a dziadek Doroty, zmarł na raka płuc? Zdenerwowała się, wachała dalej sprzęty, przyłożyła nawet nos do pluszowego fotela w odcieniu butelkowej zieleni, w którym zwykł przesiadywać jej ojciec w chwilach relaksu nad wzbogacającą filozoficzną lekturą. Fuknęła ze złością, fotel był bowiem przesiąknięty papierosowym dymem. I co gorsza, obawiała się, że ojciec nie wypalił jednego papierosa, tylko musiał tu regularnie kopcić.

Czyżby matka nic nie wiedziała?, zastanawiała się Dorota. W sumie mogła nie wiedzieć, bo ojciec palił przy otwartym piwnicznym okienku, które wychodziło na tyły domu. A poza tym matka często sama

produkowała w swoim dentystycznym minilaboratorium wiązkę silnych zapachów czy wręcz smrodów z rozmaitych odczynników chemicznych służących do wyrobu protez.

Dorota martwiła się o swojego staruszka. Była z niego tak dumna, gdy rzucił palenie. Wydawało się, że już do nałogu nie wróci... Już miała biec na górę, by porozmawiać z matką o tym problemie, gdy w progu piwnicy stanął Radomir, wyraźnie zmieszany obecnością córki. Był też zmęczony, jakiś taki niechlujny, kołnierz koszuli miał wykrzywiony, a blezer krzywo włożony. To do niego niepodobne, bo zawsze zwracał na takie sprawy uwagę, był wręcz pedantem, jeśli chodzi o wygląd.

Dorota postanowiła odłożyć temat nałogu na później. Najpierw wypadało się przywitać.

– Cześć – powiedziała. – Przyszłam w sprawie dokumentów.

– Domyśliłem się.

– Chciałam zaczekać w salonie, ale mama klei te swoje protezy... – Wzniosła oczy na sufit, jakby prosząc niebiosy o cierpliwość.

– Rozumiem. Siadaj.

– Więc co odkryłeś? Pochwal się. – Usiłowała wprowadzić miły nastrój, bezskutecznie. Ojciec wyglądał na smutnego.

Usiedli wspólnie nad dokumentami.

– Ale ci się sprawa trafiła... – westchnął Radomir.

– Wiem, i zdradzę ci, że się tego nie spodziewałam. Ale co już się stało, to się nie odstanie.

– Dokładnie! – potwierdził ochoczo.

Mówili do siebie jakimiś dziwnymi półsłówkami.

– Tato, co się dzieje? – Dorota spojrzała mu w twarz z niepokojem.

Usiadł za biurkiem, jej wskazał fotel.

– Ty palisz? – spytała.

Nie zareagował.

– Wyczuwam tu papierosy. Wróciłeś do nałogu?! – podniosła głos. – Masz jakieś kłopoty? Martwię się o ciebie...

Westchnął. Splótł ręce pod brodą i oparł łokcie na biurku, uśmiechając się ciepło.

– Ech, to tylko jeden mały papierosek dziś rano... – rzekł przekornym tonem. – Naprawdę nie chcę was smucić swoją osobą i postępowaniem...

– Dlaczego? Coś się wydarzyło? Coś ze zdrowiem? – przestraszyła się.

– E... nie... – Machnął ręką. – Wszyscy na pokładzie są zdrowi! A twoja matka to wręcz kwitnąca jest, nie wiem, czy zauważyłaś... Pełna wigoru nawet bardziej niż dotąd...

– Owszem. Nie da się tego przeoczyć...

Siły witalne Zofii były nie do okiełznania. W tej kwestii nic się w domu nie zmieniło.

Dorota poczuła ulgę. Może ten papieros był faktycznie tylko pojedynczym incydentem.

– No dobra. Zatem co jeszcze wyczytałeś w tych aktach? – Nachyliła się nad biurkiem, a on zapalił lampkę, chociaż w pomieszczeniu nie było ciemno.

– Jest tu kilka donosów, kilka notatek z tak zwanych obserwacji służbowych, to pewnie wiesz, bo są po polsku... – zaczął. – Jest kilka kserokopii sprawozdań radzieckich dostojników na temat tworzenia szkoły dla kadr... – wymieniał, przeglądając dokumenty. – Jest odręczna notatka o jakimś Antonim Gołąbku, o jego przeszłości przed wojną, wspomniany jest także jego ojciec Alfred. Ktoś prowadził dokładną i stałą obserwację tych ludzi. Jest też wewnętrzna notatka poświęcona napadowi na posterunek milicji w Pabianicach oraz lista osób przetrzymywanych w areszcie śledczym w latach 1945–1946. Zaznaczę, że nie przeczytałem wszystkiego – chrząknął. – Przyznam też, że moja znajomość rosyjskiego okazała się gorsza, niż sądziłem. Jeśli potrzebujesz tych dokumentów do pracy, powinnaś je dać profesjonalistom do tłumaczenia.

– Oczywiście. Zrobię to, zanim usiądę do pisania.

Zajrzał do swoich notatek.

– Masz tu kilku głównych bohaterów, ale to już wiesz. Michalina Starska. Najpierw pracownica wydziału propagandy w Komitecie

wojewódzkim, potem szeregowy pracownik wydziału szkolnictwa. Może widziałaś, bo to jest po polsku. Wniosek o przeniesienie, który sama napisała.

– Przeniesienie?

– Tak. Z wydziału propagandy do wydziału szkolnictwa. Umotywowany tym, że opieka nad wojenną sierotą zbliżyła ją do zagadnień szkolnictwa. Swoją drogą, ktoś zadał sobie sporo trudu, by wygrzebać te dokumenty – zauważył Radomir.

– To faktycznie ciekawe. Ktoś wykonał za mnie większość roboty. Trzeba to tylko teraz zebrać do kupy. I co tam jeszcze ciekawego widzisz?

Radomir skupił się na najważniejszych dokumentach.

– Michalina Starska była kochanką majora Antoniego Gołąbka. Teczka zawiera liczne notatki z obserwacji obojga.

Wszystko, co mówił jej tata, pokrywało się z efektami jej dotychczasowych badań.

– To te po rosyjsku?

– Tak. Wygląda na to, że ich śledzono. Pewnie Rosjanie. Albo jest też inna możliwość – zawahał się.

– Jaka?

– Te notatki miały trafić w ręce Rosjan i dlatego napisano je po rosyjsku.

Przeglądali dalej papiery.

– Jest wzmianka o tym, że Michalina Starska organizowała konkurs na pracę plastyczną, który wygrała ta dziewczynka, Barbara Strzelczyk. Informacje o tym są szczątkowe. Ale zapewne można pogrzebać głębiej, to dziecko było z jakiejś placówki oświatowo-wychowawczej. Większość tego, o czym ci tu mówię, pochodzi z tak zwanych donosów, które kilka osób wytrwale pisało w związku ze Starską i Gołąbką.

– Kto pisał te donosy?

– Na przykład niejaka Krystyna Balcer – odczytał ojciec. – Ona się przynajmniej podpisała, a niektóre notatki pozostały anonimowe.

Donosiła na Michalinę. Kilka innych osób na Gołąbka.

Nachylili się nad dokumentami.

– O, tu masz jeden z donosów. *Ja również jestem matką samodzielnie wychowującą małą córkę i nie prowadzam się z nią po urzędzie. Umiem o Magdę zadbać. Moja praca na tym nie traci.* Krystyna Balcer. Tak czy inaczej, ci ludzie podpadli władzy. I zapewne spotkała ich za to kara – podsumował Radomir.

– Wiem. Boję się pomyśleć, co się z nimi stało.

– Mogło być różnie. Myślałem raczej o tym, że trafili do więzienia.

– Nie ma o tym wzmianki w teczkach Starskiej i Gołąbka.

– Możliwe, że jeszcze nie dotarliśmy do najważniejszych teczek.

To, co mówił ojciec, przerażało Dorotę i smuciło zarazem. Tamtej władzy łatwo było podpaść, a konsekwencje dotyczyły wtedy całe otoczenie tej osoby. Inwigilowano i męczono jej rodzinę i bliskich, wsadzano do aresztów i do ubeckich katowni, skąd mało kto wychodził o własnych siłach. Opresyjny system zwalczał każdego, kto miał czelność myśleć inaczej, niż chciała władza. Represje mogły spotkać nawet tych, którzy byli wcześniej gorliwymi wyznawcami ideologii, jak Starska. Co przytrafiło się dumnej Michalinie i dlaczego podpadła – tego Dorota jeszcze nie wiedziała. To mogło być wszystko. Zastanawiała się, kiedy nastąpił moment, w którym oddana orędowniczka propagandy państwowej utraciła zaufanie państwa.

Dorota przypominała sobie rozmowę z Łucją. Oraz to, co Langer mówił na początku.

– Spotkałam Łucję. Powiedziała mi, że w willi po Scheerach była po wojnie strzelanina. Już o to pytałam, ale... Czy są o tym wzmianki w tych dokumentach? – spytała.

Ojciec zmrużył oczy z namysłem.

– Nie zauważyłem.

Odwrócił wzrok. Zapadła cisza. Minęła długa chwila, zanim ponownie się odezwał.

– Będziesz musiała zawnioskować o wydanie dalszych akt. Tu są sygnatury. Okres oczekiwania wynosi około czterech miesięcy.

– Wiem. To długo.

– Niestety. Tyle to trwa. – Wzruszył ramionami. – I nie jest to procedura dla każdego. Musisz być zstępnym w linii prostej osób, o których akta prosisz – wyrecytował szybko. – Czyli akta muszą dotyczyć twojego ojca lub dziadka. Chyba że prowadzisz badania naukowe.

Dorota odniosła wrażenie, że ojciec doskonale wiedział, jak to wygląda. Mówił to wszystko z perspektywy osoby, która sama przeszła przez te procedury. Ta myśl uderzyła w nią nagle i była zaskakująca. Nigdy o tych sprawach nie rozmawiali.

– Zatem złożę wniosek – mruknęła. – Co tam jeszcze jest napisane?

Radomir westchnął.

– Wygląda na to, że komuś zależało na tym, żeby tę sprawę zatuszować. – Pokiwał głową w zadumie. – To już wszystko, co tam wyczytałem.

*

Po rozmowie z ojcem Dorotę ogarnęły złe przeczucia. Przepelniał ją nieokreślony lęk. Obawiała się, że jej staruszek ma jakieś problemy. Znikał z domu, zaczął palić... Czasem zachowywał się dziwnie, unikał odpowiedzi na niektóre pytania... Zadzwoiła do Filipa. Postanowiła wykorzystać fakt, że jest policjantem. Powiedziała w skrócie, o co chodzi.

– Wpadaj, zapraszam – zaoferował Filip.

Potem uwijał się jak w ukropie, starając się ogarnąć lekki w swoim mniemaniu nieład, który nie wiedzieć kiedy opanował jego mieszkanie. Sprzątanie wyglądało mniej więcej tak, że Filip wywalał brudy z blatów wprost do worka na śmieci, a górę ubrań z krzesła upchnął jednym rzutem w szafie, gdzie zresztą znajdowała się już podobna sarta z poprzedniej ekspresowej akcji porządkowej. Zdążył dosłownie w ostatniej chwili. Dorota właśnie wcisnęła dzwonek, kiedy ostatnim celnym strzałem umieścił porzrzucone buty na dole szafy w przedpokoju.

– W czym mogę pomóc? – Otworzył Dorocie drzwi i szarmanckim gestem zaprosił ją do środka.

Niestety, dopiero teraz zdał sobie sprawę, że zapomniał uprzątnąć z półki przy wejściu stertę czasopism poświęconych odchudzaniu. Ostatnio namiętnie je czytywał, a każdą nowinkę z branży od razu wypróbowywał na sobie. W łazience miał składowisko suplementów na utratę wagi. Wstydził się tego, ale cóż zrobić – jego dążenie do uzyskania szczupłej sylwetki było przepotężne. Standardowe metody odchudzania nie przynosiły efektów. Na szczęście Dorota nie zwróciła uwagi na jego sekretną kolekcję.

– Wybacz, że przychodzę z tym do ciebie, ale jesteś jedynym znanym mi policjantem – zaczęła, kiedy usiedli w salonie. – Może ty czegoś się dowiesz.

Mieszkanie Filipa było większe od tego, które ona wynajmowała. Miało aż dwa osobne pokoje i oddzielną kuchnię. Luksusowo! Wszystko dzięki mieszkaniu po ciotce, które okazało się sporo warte, bo chociaż małe, za to w świetnej lokalizacji. Sprzedał stare i kupił to nowe, większe.

Kątem oka zauważył na parapecie resztkę niedojedzonego sernika, którym się przed chwilą raczył. Co za pech! Tyle mówił o swoim zdrowym odżywianiu, taki był z siebie dumny, ale wyszło sztydło z worka, a właściwie sernik na parapecie. Chyba gorzej niż trup w szafie. Ale znów mu się upiekło, Dorota nic nie zauważyła, zaabsorbowana tematem, z którym do niego przyszła.

– Jak wiesz, prowadzę dochodzenie na temat starej wili – zaczęła. – Sprawa trochę się komplikuje, bo nie mogę dostać dostępu do akt. Da się coś z tym zrobić?

– W jakim sensie?

– No, policja. Czy w danych policji można by znaleźć jakąś osobę? Śledzę pewnych ludzi z przeszłości i oni mi w pewnym momencie znikają z rejestrów, do których mam dostęp.

– Musiałbym bliżej poznać sprawę... – zawahał się.

Nie chciał mówić jej wprost, że on przez kilka lat był tylko zwykłym krawężnikiem. Nie miał dostępu do ważnych akt, do ciekawych spraw i do tego wszystkiego, z czym kojarzy się policja i o czym pewnie myślała Dorota, idąc do niego. On mógł co najwyżej rejestr mandatów drogowych pooglądać, i to też nie byłoby proste.

Ale bardzo chciał jej pomóc. Chciał z nią przebywać, rozmawiać, spędzać z nią czas. Posmutniał. Wydawał się zupełnie nieodpowiednim facetem dla takiej wspaniałej dziewczyny. W sprawach sercowych był okropnie nieśmiały. Totalnie niedzisiejszy.

Zacząła mu opowiadać o swoich bohaterach. O tym, że w pewnym momencie ślad po nich zaginął. O Christine Langer. Zapytała, czy można prześledzić losy kogoś mieszkającego za granicą.

– To nie jest proste – orzekł Filip. – Nie zajmuję się takimi sprawami. Ale jeśli chcesz, mogę popytać kolegów... Musiałbym się przygotować.

– Bo wiesz, dostałam mnóstwo dokumentów od mojego zleceniodawcy. Mam zebrać to, mówiąc kolokwialnie, do kupy. Żeby wyszła z tego opowieść. I niestety brakuje mi pewnych informacji, a na wypis akt w tej sprawie będę długo czekać. Teraz, kiedy sama próbuję się w tym zorientować, widzę, że tego nie da się ot tak zgromadzić.

– Pytałaś tego całego Langerera, skąd to wszystko ma? – zapytał Filip.

– Tak, ponoć od prywatnego detektywa.

– Może napijesz się kawy? Albo herbaty? – zreflektował się, że powinien Dorotę odpowiednio ugościć.

Ona jednak myślami była już daleko. Coś jej się przypomniało. Coś, co ktoś kiedyś powiedział. To chyba było ważne...

– Co mówiłeś? Dzięki. Chętnie napiję się kawy.

Filip zaraz przyniósł z kuchni bogatą kolekcję kaw i dodatków.

– Którą sobie życzysz?

– Nie wiedziałam, że jesteś takim smakoszem. – Spojrzała na niego z uznaniem i wybrała pierwszą z brzegu, jako że nie znała się na kawach.

– Przyrządzę ci ze spienioną pianką – zaproponował. – Lubisz?

– Z pianką?

Nie spodziewała się po nim takiej finezji.

– A co, wolisz z samym cynamonem?

Chciałby, żeby została u niego jak najdłużej, dlatego zaparzyłby jej nawet garnek kawy!

– Wszystko mi pasuje. Może być z pianką i cynamonem.

– Świetnie! Zaraz przyniosę.

Przez chwilę krzątał się przy ekspresie, a Dorota delektowała się smakowitym aromatem.

– Moja ciotka, która jak wiesz, mnie wychowała, uwielbiała kawę – opowiadał. – To dla niej nauczyłem się robić te cuda. Zawsze o jedenastej pijała swój napar. Potem, gdy nie miała już siły, to ja parzyłem dla niej kawę. Nasza mała tradycja...

To był wciąż bolesny temat, ciocia bowiem niedawno zmarła.

– To musiało być dla ciebie trudne, wychowywać się bez rodziców... – odważyła się powiedzieć.

Wyszło naturalnie. A poza tym, w historii, którą na zlecenie Langer'a miała napisać, jedną z głównych ról odgrywała pewna mała dziewczynka, która również wychowywała się bez rodziców. Zdało jej się, że Filip drgnął, słysząc jej pytanie, a potem jego plecy lekko się usztywniły.

Zaraz jednak odwrócił się do niej, niosąc przygotowaną kawę. Pachniała wręcz zabójczo i wyglądała elegancko, jak w najlepszej kawiarni.

– No cóż, nie myślałem o tym w ten sposób – odpowiedział. – Najważniejsze, że miałem ciocię. To jej zawdzięczam wszystko. Dzięki niej mam raczej fajne wspomnienia z dzieciństwa. – Postawił filiżanki na stole przed Dorotą. – Voilà!

Wrócił do kuchni po łyżeczki.

– Wygląda ekstra! – zachwyciła się Dorota. – Dzięki!

Od razu spróbowała.

– Pycha!

Uśmiechnął się nieśmiało, usiadł obok niej i również upił kilka łyków naparu.

– Wracając do twojego pytania – powiedział. – To jest skomplikowane, ale nie aż tak. Kurczę, wiesz, że ja się nad tym wcześniej nie zastanawiałem?

Autentycznie zabiła mu ćwieka tym pytaniem o życie bez rodziców. Żałowała, że w ogóle poruszyła ten temat.

– Nie chciałam wprawić cię w zakłopotanie. Przepraszam...

– Spoko – zapewnił, ale widziała, że mina trochę mu zrzędła.

Przez chwilę w ciszy delektowali się kawą. Miło im się tak siedziało.

Po raz kolejny pomyślała, że sama ma wielkie szczęście w życiu i tego nie docenia. Jest zdrowa, młoda, ma fajnych rodziców, miała świetnych dziadków i liczną ekipę mniej lub bardziej sympatycznych ciotek. Jakby wygrała los na loterii. Urodziła się po wojnie, ominęły ją puste sklepowe półki w poprzednim ustroju, nikogo w rodzinie nie prześladowano, nie musi żyć w skrajnym ubóstwie i ma ciekawą pracę. Inni nie mieli tyle szczęścia, jak choćby bohaterowie tej historii pisanej na zlecenie Langerera albo Filip, niezwykle utalentowany twórca wybornych kaw. I oni wszyscy musieli jakoś żyć, dzielnie stawiali czoło przeciwnościom losu. Odtąd postanowiła mniej marudzić, mniej narzekać. Korzystać z życia, z tego, co jej dało, i okazywać wdzięczność za łaskawość losu.

Wypiła kawę, podziękowała i wróciła do siebie. Spotkanie z Filipem nie mogło jej wyjść z głowy. Spojrzała na sąsiada z zupełnie innej perspektywy. Obiecał, że popyta kolegów, zorientuje się w możliwościach, jakie daje praca w policji. Czyli miała powód, by dalej się z Filipem spotykać. I chyba tego przede wszystkim chciała!

Zadziwiona tym nagłym odkryciem, długo nie mogła tej nocy zasnąć.

Filip nie dał rady dłużej walczyć. Sięgnął po sernik stojący na parapecie. Naprawdę nie potrafił odmówić sobie małego smakowitego kawałka. Słodycz rozpływała mu się w ustach. Poczul ulgę i spokój. Myślał o Dorocie, że ona bardziej polubi go szczupłego. Była to niemądra myśl, ale właśnie takie rozumowanie wbiło się w jego czaszkę zaklętą mantrą. Długo ze sobą walczył i jedno pozostawało bez zmian, mimo licznych wysiłków i cierpień: nadal potrzebował słodczy jak powietrza. Nie mógł bez nich żyć.

Dlatego załatwił sobie te zachwalane w reklamach kolorowe pigułki o długiej chemicznej nazwie. Był to silny i niebezpieczny środek rzekomo wspomagający odchudzanie, który miał sprawić, że Filip odzyska smukłą sylwetkę szybko i bez wysiłku. Widział zdjęcia „przed i po” zamieszczone na profilu producenta. Na jednym było widać

ciapowatego, niedźwiedziowatego chłopaka obrośniętego obrzydliwą tkanką tłuszczową, która oplatała jego ciało jak opona. Zdjęcie po przemianie przedstawiało natomiast umięśnione szczupłe ciało, a chłopak wyglądał zdrowo i radośnie. Tego właśnie pragnął dla siebie Filip. Skoro tamtemu się udało, to mnie też się uda, pomyślał. I będę mógł jeść to, co wszyscy. Przeszanę tyć od samego patrzenia na słodczye, rozmarzył się, po czym zadowolony z siebie połknął pierwszą kolorową pigułkę i popił ją wodą.

LANGER

Zadzwonił jego telefon. Drgnął, widząc na wyświetlaczu nazwisko gospodyni, która opiekowała się jego domem. Odebrał z nadzieją, że Christine wróciła. Pojawiło się nieprzyjemne ukłucie lęku, gdzieś z tyłu głowy i szyi, czuł, jak go oplata i mrozi do szpiku kości. Annaliese nigdy nie dzwoniła bez przyczyny.

– Coś się stało? – zapytał pospiesznie.

– Wszystko w porządku – uspokoiła go Annaliese. – Tylko że sprzątając strych, znalazłam nowy obraz pana żony. Inny niż poprzednie. Pomyślałam, że chciałby pan wiedzieć.

Langer odetchnął. To nie była ani dobra, ani zła wiadomość.

– Co przedstawia?

– Więzienie – odparła lekko zmieszana gospodyni.

– Więzienie?

– Tak. Kraty, ciemna noc. Smutny obraz, zresztą jak wszystkie pańskiej żony.

– Proszę wysłać mi zdjęcie.

– Oczywiście.

Langer zanotował sobie w pamięci, żeby pilnie zadzwonić do detektywa Kurta i zdać mu relację.

– Przyszła jakaś poczta? Listy? Korespondencja?

– Głównie rachunki. Dwa z banku, jeden biznesowy – wyliczała Annaliese. – No i paczka od pana Kurta.

– Dziękuję pani.

Natychmiast wyciągnął telefon i zadzwonił do Kurta, by powiedzieć mu o więzieniu na obrazach Christine.

I to był przełom.

Kurt twierdził, że to jedna z ciekawszych spraw, jakie ostatnio prowadził. A także jedna z trudniejszych. Regularnie zdawał raporty Langerowi, zależnie od tego, gdzie obaj przebywali – osobiście, mailowo lub telefonicznie.

Prawda objawiała się stopniowo. Najpierw Kurt odkrył, że Christine została adoptowana. Zabrano ją z domu dziecka niedługo po narodzinach. Adoptyjni rodzice żyli dostatnio, a do szczęścia brakowało im tylko dziecka. Zapewnili przybranej córce miłość, rodzinę i dom. Zginęli w katastrofie lotniczej, kiedy Christine miała dwadzieścia lat. Langer nie zdążył ich poznać.

Czy wiedziała, że była dzieckiem adoptowanym? Nic na to nie wskazywało. Ale Langer nie mógł być tego pewien, bowiem ostatnie wydarzenia dowiodły ponad wszelką wątpliwość, że niczego, co było związane z Christine, nie mógł wziąć za pewnik. Jego żona okazała się jedną wielką zagadką.

Dzięki dalszemu dochodzeniu Kurta dowiedział się, że adoptyjni rodzice Christine nie byli powiązani z Polską, a sama Christine przed rokiem dwutysięcznym nigdy Polski nie odwiedzała. W aktach adopcyjnych, które wydobył dla niego prywatny detektyw, napisano, że matka zrzekła się Christine, odmawiając podania swojej tożsamości. Adoptyjni rodzice byli ludźmi wykształconymi, prowadzili liczne fundacje działające na rzecz pokrzywdzonych przez los. Opowiadała mu o tym, a w jej opowieściach nie wyczuwał fałszywych nut. Christine niczego nie brakowało, skończyła renomowaną akademię sztuki w Paryżu, podróżowała po świecie i doceniała jego piękno. W tym momencie życiowym ją spotkał. Młoda, radosna i pełną energii. Nic nie wróżyło późniejszych problemów.

W ostatnich latach kilka razy odwiedziła Polskę. Udawało jej się to ukryć przede wszystkim dlatego, że oboje byli w ciągłych zawodowych rozjazdach. Prowadzili mało tradycyjny tryb życia i dawali sobie wiele swobody.

Do głowy by mu nie przyszło, by śledzić poczynania Christine. Teraz też czuł się niezręcznie, prowadząc swoje dochodzenie. Tyle że tym razem było to podyktowane dobrem jego pięknej żony. Tak to sobie tłumaczył. Chociaż często łapał się na myśleniu, że dziwnie tak kroczyć jej śladami z przeszłości, odnajdywać hotele, w których nocowała, stacje kolejowe, z których korzystała, miejsca, które odwiedziła.

W Polsce Christine była trzy razy i to niedawno. W Warszawie i Łodzi. Wyobrażał sobie, że musiała czuć się samotna i zagubiona w tych wielkich, obcych sobie miastach. Mówiła dobrze po polsku, ale nadal miała twardy akcent. Początkowo myślał, że może chciała pozwiedzać bliski jego sercu kraj. Szybko jednak odrzucił tę opcję. Gdyby tak było, dlaczego nie mogli pojechać do Polski razem? Detektyw wysnuł hipotezę, że Christine pojechała szukać swoich korzeni. W instytucji adopcyjnej utajniono tożsamość rodziców biologicznych, ale Langer zaczął podejrzewać, że byli Polakami. Być może postanowiła ich poszukać. Były to jednak czyste spekulacje.

Potem dowiedział się, że jeździła w tajemnicy przed nim także do Monachium. Po co regularnie przemierzała czterysta kilometrów, spędzała około czterech godzin w samochodzie lub pociągu? Czy chodziło o jakieś wydarzenia na tamtejszym uniwersytecie? Albo o wizytę w Wyższej Szkole Telewizji i Filmu? Może zwabiło ją Muzeum Sztuki Egipskiej? Może kolekcja sztuki nowoczesnej w Nowej Pinakotece albo zbiory starszego malarstwa zgromadzone w Starej? Czy może coroczne targi mody? Detektywowi sporo czasu zajęło odkrycie prawdziwego celu jej monachijskich podróży. Pomógł w tym ostatnio odnaleziony obraz. Sprzymierzeńcem okazała się technika i postępująca komputeryzacja. A także środki finansowe, których Langer nie szczędził.

Był w szoku, kiedy poznał prawdę. Langer szedł Piotrkowską, wracał z archiwum na placu Wolności, kiedy zadzwonił Kurt.

– Panie Langer, ja już wszystko wiem – powiedział.

Langer przystanął. Serce zaczęło mu mocniej bić, poczuł przypływ adrenaliny.

– Wiem, po co pańska żona jeździła do Monachium.

Pod Langerem ugięły się nogi. Na szczęście obok stała słynna ławeczka Tuwima i akurat była wolna. Opadł ciężko na siedzisko,

przyciskając telefon mocniej do ucha, jakby chciał zatrzymać przepływ informacji. Ton Kurta nie wróżył radosnych wieści.

Początkowo trudno mu było uwierzyć w to, co opowiada detektyw. Dwa razy dopytywał, czy są to sprawdzone informacje.

– Jest pan pewien?

– Absolutnie.

Jak się okazało, powodem, dla którego Christine jeździła do Monachium, były wizyty w więzieniu Stadelheim. Był to jeden z największych zakładów karnych w Niemczech, gdzie wyrok odsiadywali zarówno polityczni, jak i pospolici przestępcy.

Więzienie miało bogatą i przerażającą historię. Za Trzeciej Rzeszy w Stadelheim wykonywano wyroki śmierci na wrogach politycznych oraz członkach niemieckiego ruchu oporu. Ścięto tam między innymi konspiratorów z organizacji Biała Róża. A także zastrzelono Ernsta Röhma, przywódcę nazistowskich bojówek SA, który zbyt mocno uniezależnił się od Führera.

– W ciągu ostatnich dziesięciu lat Christine była w Stadelheim ponad trzydzieści razy – dodał detektyw.

– Ile? – Langer zatkąło.

– Ponad trzydzieści. Średnio raz na kwartał. Dokładną rozpiskę wyślę panu mailem.

Jak on mógł nie zauważyć, że raz na trzy miesiące jego żona wizytowała więzienie oddalone o prawie czterysta kilometrów od ich domu? Langer miał ochotę gorzko się zaśmiać do siebie, jakim był głupcem. Miał wrażenie, że jedynie odlany z brązu Julian Tuwim, siedzący nieruchomo na ławeczce obok niego, byłby w stanie go zrozumieć.

– Wie pan, kogo odwiedzała Christine w Stadelheim? – Starł się, żeby to pytanie zabrzmiało obojętnie, ale nie mógł powstrzymać drżenia głosu.

– Tak.

– Zatem słucham.

– Na razie zbieram informacje – W głosie detektywa dało się słyszeć wahanie. – Muszę to jeszcze potwierdzić, ale... wygląda na to, że ta więźniarka jest jej biologiczną matką. Wyślę panu zaraz skan tego, co odkryłem. Kiedy będzie pan w München?

Langerowi ze wzburzenia serce biło coraz szybciej.

– Ona tam jest, prawda? – spytał. – W Monachium. Znalazł ją pan.

– Tak. Znalazłem. Spokojnie. Nic jej nie jest. Mieszka w hotelu niedaleko więzienia.

W słuchawce na chwilę zapanowała cisza.

– Już wysłałem skan – poinformował go Kurt. – Doczyta pan sobie szczegóły.

Po czym streścił mu sytuację. Langer wysłuchał go w osłupieniu. Zaklął siarczyście po polsku. A potem się roześmiał. Nie wierzył, że to się dzieje naprawdę.

– Już tam jadę – podjął decyzję. – Najszybciej jak się da.

ROZDZIAŁ 8

KIEDYŚ

Dziewczynka miała jasnoblękitne oczy jak przejrzysta woda morska. Rączki chudziutkie, delikatne, do tego długą łabędzią szyję i włosy w kolorze pszenicy z rudawymi refleksami. Z wyglądu była niepozorna i łatwo zniknęłaby w tłumie.

– To twój pokój. – Michalina poprowadziła Basię do pomieszczenia w głębi.

Okno wychodziło na podwórze i niewielki zaniedbany ogród. Pokój był w pełni wyposażony, Michalina bowiem już wcześniej zgromadziła tu trofejne sprzęty z zasobów brygad, które nadzorował Gołąbek. Obok łóżka – solidnego, drewnianego, z miękkim czystym materacem i kompletem nieużywanych, gruntownie wytrzepanych koców – stało wygodne biurko. Michalina zadbała o to, by sprowadzić dla Basi sztalugi i przybory malarskie. Resztą postanowiła zająć się później, bowiem nie wiedziała, czego jeszcze może potrzebować ta mała dziewczynka.

Basia postawiła swoją małą walizeczkę obok biurka i przysiadła na brzegu łóżka. Patrzyła na Michalinę wielkimi oczami. Niełatwe życie nauczyło ją dotąd, że trzeba mieć się na baczności i lepiej ufać ludziom mniej niż bardziej. Jednak ta dziwna pani, która niespodziewanie zgodziła się zostać jej cicią, sprawiała wrażenie bardziej zagubionej od Basi. Robiła jakieś podchody, uniki i zabiegi, jakby nie wiedziała, jak się zachować. Wtaszczyła właśnie do pokoju wielką torbę z jakimiś rzeczami i niebawem na łóżku wylądowała góra ubrań. W oczach Basi, która od lat miała jedną sukienkę, stos rzeczy zgromadzonych przez Michalinę był bajecznie bogaty.

Michalina wzięła część rzeczy z darów amerykańskich, a część z magazynów Gołąbka, czyli były to dobra skonfiskowane bądź złupione przy okazji jego rozlicznych akcji w terenie. Jemu i jego brygadzie zależało głównie na urządzeniach i sprzęcie, ale Michalina uczuliła majora, że rzeczy codziennego użytku mogą być przydatne w stopniu nie mniejszym niż maszyny fabryczne i rolnicze. Powinien je zbierać i kolekcjonować dla dobra nie tylko urzędu, ale samych mieszkańców odradzającej się nowej Łodzi.

– Przymierz – zachęciła Basię. – Nie byłam pewna, jaki nosisz rozmiar. Jeśli nie pasują, pójdziemy do krawcowej przerobić. Nie bój się – dodała. – Teraz już będzie ci tylko dobrze.

Przymknęła oczy. Chciałaby móc powiedzieć to zdanie także do samej siebie. Właśnie zdała sobie sprawę, jak bardzo jest zmęczona. I jak bardzo samotna. Uświadomiła sobie, że wierzy w rzeczy, które nie są prawdą. Ta wiara dawała jej siłę do życia. Inaczej nie dałaby rady wstać codziennie rano.

A teraz na łóżku przed nią siedziała dziewczynka. To dziecko z pewnością miało bolesne doświadczenia, których ona nie potrafi zrozumieć. Ogrom cierpienia i bólu, którym poddano ludzi w ciągu ostatnich lat, był tak przytłaczający, że wielu z nich wpadło w skrajny marazm, kiedy minęło bezpośrednie zagrożenie. Teoretycznie zdrowe, sprawne osoby, które nie straciły na wojnie rąk, nóg ani oczu czy uszu, okazywały się w czasie pokoju niezdolne do życia w społeczeństwie. Zdaniem Michaliny takie reakcje świadczyły o słabości charakteru. To były z natury mniej odporne, nadwrażliwe jednostki, podatne na załamania nerwowe. Michalina z jednej strony rozumiała, że takie osoby mogły istnieć, z drugiej zaś strony nie ceniła ich wysoko. Sama wiedziała po sobie, że można przetrwać wiele i nadal zachować umiejętność racjonalnego myślenia oraz zdolność działania w zgodzie z logiką. Była dumna z siły swojego charakteru i zdawało jej się, że wie, jak należy podobną siłę wyrobić u innej osoby. Do teraz.

Dziewczynka wzięła pierwszą z brzegu sukienkę i położyła ją sobie na kolanach.

– Ta ci się podoba? – spytała Michalina.

Mała pokiwała głową. Starska zostawiła ją samą, żeby mogła się przebrać. Delikatnie zamknęła za sobą drzwi i poszła na paluszkach do swojej sypialni, gdzie nasłuchiwała odgłosów budynku. Cienie za drzwiami pokoju Basi pokazywały ruch, najwyraźniej dziewczynka wstała i naciągała nową sukienkę. Michalina wyteżyła słuch. Dobiegł ją odgłos skrzypiącej podłogi. Pomyślała, że to niesamowite wrażenie, mieszkać z kimś. Wcześniej jedynie Gołębek tu bywał, najczęściej w nocy, rzadko w dzień. Teraz nawet powietrze było w domu jakieś pełniejsze i bardziej ludzkie.

Zastanawiała się, gdzie Basia przystąpi do wykonywania swojego pierwszego rysunku. Tutaj czy w urzędzie. W urzędzie byłoby to prostsze logistycznie. Michalina miałaby ją stale na oku, gdyby miała pracowała w jej gabinecie. Poza tym w urzędzie są wszelkie pomoce plastyczne, farby, ołówki, papiery... No i wzorcowe prace.

Weszła do kuchni w poszukiwaniu jedzenia, które mogłaby podać na kolację. W tym celu kupiła wcześniej chleb, najlepszy jaki tylko się dało. Otworzyła szafkę przy piecu kaflowym. Niestety, trzymała tam jedynie cukier, kilka kilogramowych opakowań, dary od pewnego dygnitarza partyjnego. Znalazła też starą kawę plujkę i całkiem dobrą prawdziwą herbatę, też zdobyczną. W wiadrze obok pieca stały ziemniaki, które należały do towarzyszki sąsiadki, gdyż dzieliła kuchnię z innymi lokatorami. Ziemniaki lekko już nadgniły i pachniały pleśnią.

Co tu dużo mówić, Michalina nie żywiła się zdrowo. Doczesne sprawy, takie jak gotowanie obiadu czy aprowizacja, stanowiły dla niej obszar nieznany. Jadła marnie i mało, najczęściej na szybko w tymczasowej stołówce dla urzędników. Teraz żałowała, że nie zabrała dla Basi choćby jakiegoś placka ziemniaczanego z jadalni. Mieszkanie z dziewczynką okazywało się trudniejsze, niż sądziła. Będzie musiała temu zaradzić. Najlepiej sprowadzi tu jakąś babę ze wsi.

Tak rozmyślając, przeszukiwała kredens. Znalazła w nim kilka paczek wojskowych konserw i stare przetwory. Byle ogórki w occie, choćby zleżałe, obecnie stanowiły nie lada skarb. Dalej stała butelka jakiegoś trunku – to pewno jej szanowna pijąca sąsiadka zachomikowała bimber. Michalina powstrzymała rosnącą chęć, by się napić. Mocno, z gwinta, po męsku. Tak jak pijał jej ślubny Andriej w czasach, kiedy jeszcze nie gryzł gleby z kulką w czaszce. I tak jak pijał chłop jej matki, na Bałutach lata temu, i jego kumple, i jej wujkowie, po tym, jak ich wywalili z manufaktury. Michalina, kochana, powtarzała sobie kiedyś, ty nie weźmiesz już ani razu do ust alkoholu. A-ni-ra-zu. Teraz mogła się tylko gorzko śmiać z tamtych solennych obietnic.

Skrzypnęły zawiasy kuchennych drzwi i w progu stanęła Basia. Michalina drgnęła i odstawiła butelkę na miejsce, po czym wyjęła z szafki słoje z ogórkami, czyli pierwsze, co wpadło jej w ręce.

Dziewczynka stała przed nią w pełnym rynsztunku, w przesadnie strojnej sukience w czerwone grochy z białym kołnierzykiem. Na nogach

miała eleganckie czarne buty na niewysokim słupku. Uśmiechała się nieśmiało.

Michalina westchnęła z ulgą. Zeszło z niej to całe nieprzyjemne napięcie i z braku lepszego pomysłu podała Basi słoje z ogórkami, a Basia wyciągnęła do Michaliny rękę, w której trzymała jakieś fatałaszki. Tym samym obie jednocześnie wyciągnęły do siebie ręce, zaraz jednak obie te ręce cofnęły.

– Wyglądasz prześlicznie! – Michalina się rozpromieniła.

Dziewczynka odpowiedziała jej równie promiennym uśmiechem. Michalina stwierdziła ze zdziwieniem, że pozwoliła sobie na szczerą i spontaniczny uśmiech. Było to zupełnie nowe odczucie po tysiącach wymuszonych i udawanych grymasów pseudozadowolenia, do których zmuszała się w pracy.

– Przepraszam, nie mam nic innego. – Wzniosła przepraszająco wzrok ku górze. – Następnym razem zorganizuję lepsze jedzenie.

Zjadły chleb, zagryzając ogórkami. Kobieta w zgrzebnym szarym kostiumie i dziewczynka wystrojona w wyjściową sukienkę z białego muślinu, która kiedyś należała do kogoś, kto miał mniej szczęścia; one dwie między wiadrem z nadpsutymi ziemniakami i kredensem kryjącym zapasy bimbru. Zawiązało się między nimi porozumienie, choć na razie wątłe i kulawe, to jednak obopólne.

*

Michalina posadziła lekko oszołomioną Basię w sekretariacie, gdzie dziewczynką zachwycił się zatrudniony tam żeński personel. Sama tymczasem poszła do swojego gabinetu, gdzie powietrze było przesiąknięte zapachem farb i terpentyny, książek i atramentu, starego drewna i siermiężnej pasty do podłóg. Wokół biurka stały porozkładane płótna, kilka z nich jeszcze na blejtramacach, część leżała na ziemi. Same bohomy, pokraczne pseudodzieła Krystyny Balcer. Michalina fuknęła i zamaszystym ruchem popchnęła z obrzydzeniem oparte o ścianę prace. Płótna rąbnęły z hukiem o ziemię swojej rzekomej protegowanej. Rozsypały się jak domek z kart, jak wór z makulaturą, i poleciały tam, gdzie ich miejsce, na sam dół, na najniższy poziom jakiegokolwiek sztuki. Michalina miała ochotę rozdeptać wypociny Kryśki.

Szał twórczy. To jest to, za czym tęskniła i czego jej brakowało. Spojrzała na swoje ręce, niezdolne do tworzenia. Dlaczego los był tak okrutny i poskąpił jej talentu? Dlaczego musi swoje śmiałe plany i pomysły chować głęboko w głowie, bo nie może ich przekuć w czyn? Drogi losie, jesteś niesprawiedliwy. Zamykasz tak wrażliwą artystycznie duszę, jak moja, w tak niedoskonałym ciele, pomyślała z goryczą. Dajesz, losie, potrzebę tworzenia i miłość do sztuki osobie, która nie ma narzędzi, by tę miłość spełnić. Czyż nie taka jest rola człowieka na tym świecie? Podążać drogą swojej wyśnionej miłości? Dlaczego ta potrzeba została mi zabrana?

Myśli pędziły i były coraz śmielsze, coraz bardziej barwne. Widziała wspaniały, wielki i naprawdę artystycznie przygotowany obraz Stalina witającego zwykłych ludzi. Widziała uśmiechy na prawdziwych, pełnych nadziei twarzach, widziała ruch i emocje. Szczęście, miłość i sztukę. Dla dobra ogółu.

Taki obraz namaluje jej Basia. Musi to dla niej zrobić. Jest do tego zdolna – co do tego Michalina była przekonana. To będzie wielkie odkrycie, mała Basia i jej niezwykły talent. W samej Moskwie dowiedzą się, że socjalistyczna Polska ma prawdziwych artystów! Och, Michalina głęboko w to wierzyła, a serce biło jej mocniej i na policzkach rozkwitły szkarłatne wypieki.

Zakręciło się jej w głowie od tych myśli. Z wrażenia opadła na krzesło. Oddychała ciężko, a jej czoło pokryło się potem. Nic dziwnego, że w pierwszej chwili nie usłyszała, jak ktoś puka do drzwi jej gabinetu.

To była Basia. Michalina otrząsnęła się z artystycznych emocji i przybrała łagodny wyraz twarzy.

– Chodź, siadaj – zaprosiła ją gestem.

Dziewczynka niepewnie usiadła na brzegu krzesła.

Michalina nie przywykła do dzieci. Nie wiedziała, co mówić, jak mówić i jak z nimi postępować. A poza tym, nie potrafiła się teraz skupić na niczym innym, jak tylko na pracach plastycznych. Wyjęła z teczki te udane. Może w ten sposób nawiąże kontakt z małą.

– Zobacz, jakie piękne. – Pokazała Basi.

Plakaty przedstawiały uśmiechnięte kobiety w kolorowych chustach, zbierające kopki siana. Wesole kolory, jasne barwy, słońce i radość były

z obrazów. Postacie ludzkie ukazano w ruchu, a perspektywa, choć linearna, nadawała też obrazowi głębi.

– Przypominają rysunki, które pokazałaś mi w domu dziecka. Te, które narysowałaś. – Michalina się uśmiechnęła. – Gdzie uczyłaś się rysować?

Dziewczynka wzruszyła ramionami. Michalina odłożyła prace na bok i spojrzała małej w oczy. Obawiała się pytać o szczegóły, temat wydał się trudny, więc przeszła do kolejnego.

– Tego potrzebują ludzie...

Utkwiła wzrok w kolejnej pracy, na której uśmiechniętego Stalina otaczała gromadka dzieci. Te prace wymazywały z jej głowy niechciane wspomnienia. Szast-prast i po bólu. Cudowne odrodzenie nowych idei na spalonej jałowej ziemi. Ludzie zasługują na to, co dobre. Na spokój, na nadzieję, na budowanie, tworzenie, rozwój... Zadaniem Michaliny jest im to uświadomić, pokazać i zachęcić do ufego spoglądania w przyszłość. Lepszą, naszą i dobrą.

Znów popadała w zadumę i nawet się nie zorientowała, że wypowiada swoje myśli na głos. Poderwała się z krzesła, przechyliła przez biurko i chwyciła Basię za ramiona, patrząc na nią żarliwie.

– Teraz będzie już tylko dobrze! Nie można wiecznie cierpieć! Po prostu żyjmy! Rozumiesz to, prawda?! – wykrzyknęła uduchowionym głosem i potrząsnęła zdumioną dziewczynką.

Po chwili oprzytomniała i puściła ją. Mała patrzyła na Starską oszołomiona i odsunęła się z krzesłem na bezpieczny dystans.

– Przepraszam! Poniosło mnie. Dziecko, ty widzisz, jakie tu są możliwości, jaka tu jest misja?!

Basia przede wszystkim pragnęła spokoju. Ze wszech miar i pod każdym względem, bo jej życie dotąd nie było proste. Jednak nie była już pewna, czy sierociniec, chociaż go nie cierpiała, nie byłby jednak lepszym miejscem do życia na najbliższe lata niż to, co oferowała ta dziwna, lekko szalona kobieta. W bidulach, w których spędziła ostatnie miesiące, dzieci krzyczały przez sen, biegały w panice, uderzały głowami w ściany, chowały się po szafach...

Michalina mamrotała pod nosem swoją mantrę.

– Stworzymy takie obrazy, prawda? Ja cię nauczę, ja ci pokażę. Ja cię wyślę do szkoły, do najlepszej szkoły. Zobacz... – Przeglądała kolejne prace.

Basia siedziała sztywno, splatając nerwowo palce na kolanach.

– Oto mój plan. – Michalina podała Basi rysunek wyciągnięty z teczki.
– Zobacz, to jest towarzysz Stalin. Moją ambicją jest stworzyć wielkie dzieło. Towarzysz Stalin i dzieci całego świata. Wkoło. Całe rzesze. I ich rodzice, mamusie i tatusiowe. Szczęśliwi. Jak sądzisz? Albo, jeśli wolisz, może być lud pracujący wkoło towarzysza Stalina. Taki projekt też posiadam. To będzie wielkie dzieło, chcę, żeby sławiło przede wszystkim nasze osiągnięcia! Chcę, aby nasz urząd podarował to dzieło towarzyszowi Stalinowi na urodziny. To ma być symbol naszego zaangażowania, wdzięczności i wiary w przyszłość...

Dopiero po dłuższej przemowie zreflektowała się, że mówi do dziecka, a nie do jednego ze swoich podwładnych. Zamknęła teczkę.

– Co o tym sądzisz? – zwróciła się do Basi. – Czyż to nie piękne idee?

Dziewczynka patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami. Michalina złożyła to na karb nieśmiałości i niedoświadczenia małej.

– Dobrze. Nie chcę cię męczyć. Naprawdę – pocieszyła dziecko tonem dobrej cioci. – Najpierw pójdziesz do normalnej szkoły, nadrobisz zaległości, bliżej się poznamy... W międzyczasie będziesz szkolić rysunek... I może coś mi namalujesz. Od czego chciałabyś zacząć? Prosta wiejska scena rodzajowa przy płonach? Praca na roli? Jeśli nie lubisz maszyn, nie musisz zaczynać od maszyn.

Basia spuściła wzrok.

– Pani za dużo się po mnie spodziewa... – szepnęła. – Ja... Ja...

Biedna, zahukana mała, pomyślała Michalina z żalem. Zapuszczone rozwojowo dziecko, które nie wierzy w siebie. Wyprowadzimy ją z tego. Wyciągniemy z dołów. Praca u podstaw to nasze motto.

Musiała wracać do swoich obowiązków, dlatego wstała i skierowała się do drzwi. Postanowiła znaleźć kogoś do pomocy przy opiece nad Basią, najlepiej niezdatną do innej pracy kobietę ze wsi, która wychowała już z tuzin własnych dzieci, a ponadto załatwi im jedzenie od gospodarza i zajmie się dziewczynką, kiedy Michalina będzie w pracy.

– No dobrze – powiedziała. – Zostań tutaj. Ja niedługo wrócę. Gdybyś chciała porysować, tu masz przybory.

Podaała dziecku ołówki i kredki, po czym wysła.

Basia została sama. Usiadła na ławie, przyciągnęła kolana do piersi i objęła je ramionami. Znów opanowała ją ta wewnętrzna pustka, która sprawiała, że dziewczynka dryfowała myślami jakby na niewidzialnej chmurze. Nierealistyczne uczucie odcięcia od świata truło jej czasem głowę, czego nie cierpiała i czego chciała się z całych sił pozbyć, gdyby tylko było to możliwe. Miała niespełna jedenaście lat, a z powodu wychudzenia wyglądała na znacznie młodszą. Mentalnie i psychicznie zaś była dorosłą osobą, jeśli nie staruszką. Dzieci w trudnych czasach dojrzewają szybciej. Basia również musiała wydorośleć przedwcześnie. Zastanawiała się, jak ma powiedzieć tej pani, która zabrała ją z domu dziecka, że to wcale nie są jej rysunki. Stanowiły piękną, a jednocześnie straszną pamiątkę, stając się, o ironio, przepustką Basi do wolności. Rysunki wykonała inna dziewczynka, której już na tym świecie nie było.

Następnego dnia Basia została przyjęta do szkoły, do której uczęszczały dzieci urzędników państwowych. Była to jedna z pierwszych placówek edukacyjnych w pełni odtworzonych po wojnie, mieszcząca się w pięknym pożydowskim gmachu dawnego zgrupowania kupców, blisko ważnych urzędów i świeżo powstających miejsc użyteczności publicznej.

Do tej samej szkoły chodziła też córka Kryśki Balcer, więc Michalina miała okazję spotykać nielubianą pracownicę także po pracy, kiedy odbierały dzieci. Najczęściej widywały się w korytarzu i wymieniały ze sobą parę grzecznościowych zwrotów. Omijała Kryskę szerokim łukiem, często udawała, że jej nie widzi. Początkowo była zaskoczona, że tamta ma dziecko, ale Kryśka wyjaśniła jej na boku, że to tylko córka zmarłego brata, którą czasem się opiekuje, a Michalina nie dochodziła prawdy. Kryśce chyba zależało na tym, żeby nikt nie wiedział o tym dziecku. Raz czy dwa na widok Michaliny wykrzyknęła na cały korytarz: „Dzień dobry, towarzyszeko Starska”, lub „Dobry wieczór, pani Michalino!”. Zapewne chciała, żeby nauczycielki wiedziały, jaką ma wysoko postawioną znajomą, choć niby skąd miały wiedzieć, jaką funkcję w urzędzie sprawuje Michalina.

Dziecku, po które przychodziła Kryśka, Michalina nie miała okazji dokładniej się przyjrzeć. Dziewczynka zawsze stała gdzieś z boku, w ciemnym korytarzu, albo za matką, a włosy miała najczęściej potargane, więc zasłaniały jej twarz. Ze dwa razy Michalina była świadkiem, jak Kryśka dowiadywała się, że jej dziecka nie ma, bo opuściło samowolnie budynek przed zakończeniem lekcji. Wypadała wtedy ze szkoły w nerwach, wściekła i czerwona na twarzy.

– Znasz tę dziewczynkę ze szkoły? – spytała Michalina Basię.

– Słabo. Ona chodzi swoimi ścieżkami – odparła dziewczynka.

Tak czy inaczej, dla nich wszystkich zaczęło się nowe życie. Pełne codziennych wyzwań, nauki, wysiłku i pracy. A także kontaktów z dziećmi, nauczycielami i rodzicami. Świat wracał na swoje dawne tory. Powoli do rzeczywistości wkraczała tak zwana normalność, niedostępna dla nich przez ostatnie lata. Ale jakże atrakcyjna! Powoli doceniała ją Michalina, chociaż wieczorami padała na łóżko wymęczona ogromem wrażeń; doceniała to także Basia, która zdążyła polubić uporządkowany i stały plan każdego dnia.

I tak toczyło się to życie powoli, i jak się zdaje, spokojnie. Oby trwało tak jak najdłużej.

*

– Zobacz, jakie to ładne! – Michalina uniosła wełniany dziewczęcy płaszczyk w pepitkę i przyłożyła materiał do policzka.

Wyczuła ulotną woń czyjejś skóry, a może włosów kogoś, do kogo wcześniej należał płaszczyk. Szybko odsunęła materiał od twarzy.

– Trzeba to oddać do prania! – fuknęła. – Skąd to wzięłeś?

Major Gołąbek szykował się właśnie na uroczystą kolację z partyjnymi dygnitarzami z Moskwy. Zakładał swoją najlepszą koszulę, którą dał wcześniej do prasowania specjalnie na tę okazję. Chociaż wszyscy wiedzieli o ich związku, tym razem miał iść na przyjęcie bez Michaliny. Jej to nawet pasowało, bo miała na wieczór inne plany – czekało ją spotkanie z kobietą ze wsi, która odtąd miała jej doradzać w sprawie wychowania Basi i zapewniać stały dopływ produktów żywnościowych prosto od gospodarza z podłódzkich Łagiewnik.

Major puścił mimo uszu pytanie o pochodzenie płaszczyka, zresztą wyczuwała, że odpowiedź mogłaby być niewygodna. Wiadomo, skąd wziął – z jakiegoś mieszkania porzuconego przez bogatych Niemców lub Żydów. Prawdopodobnie dawna właścicielka płaszczyka spoczywa już w ziemi i nie są jej potrzebne żadne doczesne rzeczy. Albo też jej rodzina została aresztowana już po wojnie i musiała szybko opuścić mieszkanie.

– Trzeba jeszcze znaleźć Basi kilka zimowych swetrów i dać do skrócenia lżejsze wiosenne sukienki – snuła praktyczne rozważania Michalina.

Z pietyzmem składała ubrania dziewczynki w równe rzędy.

– Sukienki powinny być skromniejsze. – Pełnym dezaprobaty spojrzeniem obrzuciła stosik pstrokatych fatałaszków w różne wzory. – Basia chodzi do partyjnej szkoły i musi wyglądać schludnie. Lepiej, żeby nie rzucała się w oczy bogatym strojem.

Major nie miał dobrego humoru, a uwagi Michaliny jeszcze bardziej go irytowały. Chociaż tak naprawdę to zirytował go ojciec, który chyba do reszty tracił zmysły, bo tego ranka oznajmił synowi, że zamierza dołączyć do leśnych band pod Zgierzem. Major był bliski wyznania ojcu, że to daremny trud – sam bowiem współpracuje z leśnym AK spod Zgierza. Miał też ochotę dodać, że planują akcję odbicia żołnierzy z aresztu w Pabianicach. Niechby stary wreszcie był z niego dumny. Niechby zamknął ten swój niegolony i niewyparzony dziób. Ale nie mógł ojcu tego powiedzieć. Nikomu nie mógł. Czasem myślał, że sam przed sobą to ukrywał. Tak było bezpieczniej. Dla wszystkich.

A teraz na dodatek Michalina truła mu o jakichś dziecięcych fatałaszkach. Zebrało jej się na dobroczynność. Matką być się zachciało.

– Daję ci to, co jest – mruknął. – W mieszkaniach, gdzie to znalazłem, nie mieszkała biedota.

I przeszedł do innego pokoju.

– Rozumiem, przepraszam... – powiedziała Michalina pojednawczo, ale jej przeprosiny odbiły się od pleców majora.

Tknęło ją przecucie, więc poszła za nim.

– Zaraz, czy ty się może obawiasz, że chcę zatrudnić... pomoc domową? – zapytała.

Wydawało jej się, że trafiła w sedno.

– Wiesz chociaż, co to za kobieta? Ufasz jej? Jest pewna światopoglądowo? – dopytywał.

Odpowiedź i tak niewiele mogła zmienić. Kobieta przyjdzie i już.

– Niech mi tu modłów przypadkiem nie odprawia. I żadnych świętych obrazków! – syknął.

Michalina wyduła usta.

– Za kogo ty mnie masz? – prychnęła. – Jestem żelazna Michalina, pamiętasz? Nie dam sobie w kaszę dmuchać! Nie dam się podejść!

Major potakiwał i demonstrował spokój. Przecież już się stało. Będzie, co ma być. Najważniejsza zasada to nie pokazać, że coś cię niepokoi i nie wykonywać żadnych gwałtownych ruchów.

Teraz też, podczas przygotowań do uroczystego obiadu z moskiewską delegacją, major musiał zachować niewzruszony spokój. Choć to spotkanie nie wróżyło nic dobrego i już wiedział w skrócie, z czym mogło się wiązać. Nie tylko dla niego, ale też dla całego urzędu i całej Polski. Przygotowania do referendum szły pełną parą. Tajne instrukcje mówiły wyraźnie, kto ma to referendum wygrać i jakie mają być wyniki.

Tymczasem na środku ich kuchni jego dotąd opanowana kochanka, która służalczo wykonywała założenia planu nowego państwa, emocjonowała się dziewczęcymi fatałazkami i błędnie oceniała sytuację, a tym samym traciła swoje dotychczasowe wyczucie i ostrożność.

– Och, mój drogi, nie mów mi, że jesteś zazdrosny o Basię?! – wyszeptała zalotnym tonem ta odmieniona kobieta, której nie poznawał i której właśnie zaczynał się bać. – Stąd ta ponura mina? Jesteś zazdrosny, że spędzam z nią czas?

Przymknął oczy. Trochę się pogubił. Michalina w wersji domowej matrony zdawała się bardziej zaślepiona i niebezpieczna niż jako służbistka pozbawiona prywatnego życia.

Nowe zarządzenia z Moskwy, które będzie musiał po dzisiejszym spotkaniu zacząć egzekwować, napełniały go tym ciężkim, podskórnym niepokojem. Na domiar złego zbliżała się akcja odbicia sześciu ich chłopaków z aresztu w Pabianicach. Jeśli przy okazji wpadnie major, pociągnie za sobą do więzienia wszystkich – Michalinę, tę ich kobietę ze wsi, jej rodzinę, nawet przygarniętą dziewczynkę. Tylko stary zapewne by się ucieszył, myślał major z sarkazmem. Alfred przeczytałby któregoś dnia w gazecie, że schwytano zdrajców, w tym majora Gołąbka, jego syna marnotrawnego, lat czterdzieści trzy, zasłużonego pracownika Urzędu Bezpieczeństwa i wykładowcę szkoły dla kadr, który okazał się przebrzydłym, ohydny zdrajcą narodu polskiego na usługach reakcji kapitalistycznej.

Zebrał się w sobie i powoli podszedł do Michaliny, która nadal ścisnęła w rękach czerwony dziewczęcy płaszcz. Pocałował ją delikatnie w czoło.

– Nic się nie bój. Nie jestem zazdrosny. Dla mnie zawsze będziesz najważniejsza.

Po czym swoim zwyczajem niemal bezgłośnie się ulotnił.

ROZDZIAŁ 9

TERAZ

DOROTA

– Odkryłaś coś nowego? – zapytał ojciec, kiedy spotkali się w sprawie o kryptonimie „Christine”, jak nazwali dochodzenie, które prowadziła Dorota.

Dalej szukała informacji o tym, co się wydarzyło w willi. Chciała dowiedzieć się, o jakiej strzelaninie wspominali Langer i ciotka Łucja. Zdążyła przejrzeć wiele akt i skóra jej cierpła od tych opisów. Bito, zabijano, torturowano, śledzono, prześladowano. Niektóre akta były wstrząsające.

– To były potwory w ludzkiej skórze... – podsumowała z niedowierzaniem, że człowiek zdolny jest zgotować drugiemu taki los.

– Niekoniecznie. To byli często zwykli, prości ludzie – odparł jej ojciec.

– Im głębiej w to wchodzę, tym trudniej mi w to uwierzyć.

Radomir chciał coś mądrego powiedzieć, ale największa nawet mądrość filozofów by nie starczyła, by opisać jego przemyślenia.

– Czytam o napadach na milicjantów – wymamrotała Dorota słabym głosem, przeglądając akta w laptopie. – Tu jest o tym, że wybebeszono dwóch młodych chłopaków z milicji i powieszono ich na rzeźnickich hakach. Dobrze, że żyjemy w innych czasach. Że to nas nie dotyczy...

Z tym Radomir również nie mógł się zgodzić. Zwłaszcza po tym, co przeczytał w aktach od Langer. Ta sprawa była związana z ich rodziną w sposób bezpośredni. Wciąż nie wymyślił, jak ma to powiedzieć córce.

– No nie wiem... – Spojrzał na Dorotę znad okularów.

Odsunęła od siebie laptop.

– Jak to?

– Mam tu kilka rzeczy na myśli – zaczął. – Pamiętasz, że ostatnio często wychodziłem?

– Owszem... – Zmarszczyła brwi. – Umawiałeś się ze mną, ale nie było cię w domu...

– Chodziłem na cmentarz naprawiać nagrobek dziadków.

– Co się stało? Zniszczył się?

– Sam się nie zniszczył. Ktoś go zdewastował.

– Ktoś zdewastował nagrobek dziadków? – Dorota myślała, że się przesłyszała.

Ojciec tymczasem smutno pokiwał głową.

– Zgadza się.

– Jak to? Dlaczego? – dopytywała wzburzona.

– Ktoś w złości pomazał ich pomnik sprejem. I to nie pierwszy raz. Szkoda gadać...

Poczuł się nagle zmęczony, ale skoro już zebrał się na szczerłość, to musiał być szczerzy do końca.

– Wybacz, że wcześniej o tym nie mówiłem, ale chciałem ten cmentarz najpierw sam ogarnąć.

Zapadła cisza. On zbierał odwagę, a ona usiłowała się skupić.

– Zacznę od początku – powiedział w końcu. – Mówisz, że to dawne sprawy są, że nas nie dotyczą. I ja też tak myślałem. Bo to rzeczywiście dawno temu było i rzeczywiście mało kto o tym pamięta. Prawda jednak jest taka, że jesteśmy w to wszyscy zaangażowani. Skoro znowu naprawiam ten nagrobek... Otóż, twoi dziadkowie... to znaczy moi rodzice... pracowali w aparacie państwowym na początku komunizmu.

– Dziadek Jurek i babcia Hela?!

– Tak.

– To niemożliwe!

– Dlaczego? – spytał Radomir łagodnie. – To byli zwykli ludzie. Musieli zarabiać na życie. I pracowali akurat tam.

Dorota nie mogła się otrząsnąć z szoku. Przecież to byli przemili emeryci, zakochani w swojej jedynej wnuczce.

– Co tam robili? – wydusiła przez zaciśnięte gardło.

Radomir westchnął.

– Babcia pracowała jako maszynistka, to znaczy sekretarka w urzędzie, a dziadek jako szeregowy pracownik powiatowy. Niespełna dwa lata to trwało. Potem się pobrali, babcia zrezygnowała z pracy, a dziadek postanowił wrócić do wyuczonego zawodu i został kolejjarzem, jak wiesz...

– Dlaczego nigdy o tym nie mówili?

Radomir wzruszył ramionami.

– Nie mieli się czym chwalić. Zresztą, sami chcieli o tym zapomnieć.

Słuchała go w otępieniu. I z tego zrobiono jakąś cholerną tajemnicę! I po co? W imię czego? Bardziej chyba szokował ją dysonans, który w niej powstał na skutek wysłuchania tych rewelacji. Bo jak miała pogodzić obraz kochanych, miłych dziadków, który zachowała w pamięci, z tym nowym, na którym dziadek przypomina majora Gołąbka, a babcia Michalinę Starską. To było bardzo trudne.

– Mama wie?

– Wie. Ale znasz ją, ona nie przywiązuje do takich rzeczy wagi. Lubiła moich rodziców, szanowała ich. Nie miało dla niej znaczenia, że na początku drogi życiowej, kiedy mieli po dwadzieścia lat, pracowali w służbach państwowych.

Dorota nie była pewna, czy mogłaby to powiedzieć o sobie. Bo dla niej to miało znaczenie. Zwłaszcza po tych wszystkich okropieństwach, których się naczytała.

– Problem tak naprawdę powstał ostatnio. – Radomir wbił smutny wzrok w swoje dłonie. – Ktoś niszczy nagrobek. Wypisuje na nim obelżywe słowa.

Nie zdołał tych słów wymówić. Nie przeszły mu przez gardło. Wyjął telefon i pokazał córce zdjęcie. Zdążyła przeczytać tylko „Suka z UB”. Odwróciła wzrok.

– To straszne... – Czowała, jak narasta w niej złość. – Zgłosiłeś to na policji?

Machnął ręką.

– Ech, tam. Kto będzie szukał jakichś wandalii...

– Ależ tato, nie można tego tak zostawić! – wykrzyknęła.

Radomir pustym wzrokiem patrzył za okno.

– Naprawiłem nagrobek. Już nie ma śladu...

Dorocie zrobiło się żal ojca. Podeszła i mocno go objęła.

– Bardzo mi przykro, tato. Jeśli to się powtórzy, powiedz mi, proszę. Pomogę ci. Nie chcę, żebyś był z tym sam.

Popatrzył na nią z wdzięcznością.

– A co do dziadków – ciągnęła – dla mnie zawsze pozostaną wspaniałymi ludźmi. Wiem, że nie można pochopnie oceniać. Świat nie jest czarno-biały. To były inne czasy, nikt nie wie, jak sam by postąpił.

Radomir poczuł ulgę. Za to ją kochał, swoją małą dziewczynkę, tak ufną i pozytywnie nastawioną do świata. To był sukces jego i Zofii, że tak córkę wychowali, nie obarczając jej problemami, których w tej rodzinie nie brakowało. Dawali jej swój czas i uwagę, zapewniali miłość i zrozumienie, i to teraz procentowało. Dorota wyrosła na piękną i odważną kobietę, która nie bała się wyzwań i śmiało szła przez życie.

– Kocham cię, córuś – powiedział. – Jesteś wspaniała.

– Och, tatku! Ja ciebie też kocham! – Podeszła i cmoknęła go w policzek.

Wtedy pomyślał, że powie jej wszystko. Bo do tej pory sporo zataił. Na przykład to, że w aktach od Langerera był dokument o napadzie na dom pod lasem. To, co tam przeczytał, było gorsze niż zniszczenie nagrobka jego rodziców. W opisie zdarzenia znalazł bowiem nazwisko swojego ojca. Nie było mowy o pomyłce. Jego ojciec wraz z kilkoma innymi szeregowymi brał w tamtej akcji udział po stronie Urzędu Bezpieczeństwa. To on szedł na dom pod lasem z bronią w rękach. Rzeczywiście, krótko popracował w urzędzie, szybko przestało mu się to podobać, to prawda. Ale przez chwilę jednak wspierał aparat terroru. Istniał wyraźny dowód, że co najmniej raz brał udział w akcji zbrojnej, w której zginęli ludzie. I mógł się do ich śmierci przyczynić.

Już miał opowiedzieć o tym córce, na fali spontanicznej szczerości. Bo w sumie czemu nie teraz, skoro już otworzyli puszkę Pandory. Ale w tym momencie na półpiętrze pojawiła się Zofia, cała w skowronkach, ze świeżo natapirowanymi włosami, w śmiałym makijażu.

– Radomir! Dorcia! – zawołała. – Ciotki przyszły. Chodźcie na górę!

Zatem nie powie Dorocie wszystkiego. Nie tym razem. Chociaż w sumie po co? Czy ta wiedza komuś pomoże? Musiał jeszcze dogłębnie to przemyśleć. Na pewno będzie lepsza okazja, żeby pogadać z Dorotą.

Dorota wróciła do domu i próbowała dojść do siebie po rewelacjach ojca. By zająć czymś umysł, zaczęła szukać w internecie informacji o dziewczynce, którą wzięła do siebie Michalina. Pomyślała, że postara się to dziecko odnaleźć, a przynajmniej poznać jego losy. Niestety, osób, które nazywały się Barbara Strzelczyk, było kilkanaście, a sądząc po fotografiach, wszystkie urodziły się grubo po 1950 roku. Ta droga prowadziła donikąd. Umieściła zatem stosowny wpis na Facebooku o tym, że szuka dziewczynki sprzed lat.

Następnie ponownie przejrzała fotografie z teczki od Langerera. Przedstawiały osoby, które teraz umiała zidentyfikować. Była tam Michalina Starska, szczupła kobieta w średnim wieku, był starszy pan, zapewne ojciec majora Gołąbka. Była też dziewczynka, mniej więcej dziesięcioletnia. Wyglądało na to, że dobrze im się razem mieszało. Zdjęcia wykonano z ukrycia, ale fotografowane osoby zachowywały się swobodnie, pewnie nie zdawały sobie sprawy, że ktoś je obserwował. Zostały uchwycone podczas codziennych czynności – przygotowywania posiłku, pielęgnacji ogrodu, odpoczynku przy stole. Dorota wyobrażała sobie, że wiedli zwykłe, spokojne życie ludzi, którzy na przekór wszystkiemu postanowili stworzyć namiastkę rodziny.

Co się z nimi stało? Czy wszyscy zginęli w strzelaninie, którą przemilczano w aktach, a którą pamiętała ciotka Łucja? Czy ktoś przeżył? Może ta mała dziewczynka, Basia Strzelczyk? To były okropne rozważania, zwłaszcza po tym, co powiedział jej ojciec o dziadkach. Jeszcze po drugiej w nocy, nie mogąc z nerwów spać, niespokojnie krążyła po kuchni. Po raz pierwszy zastanawiała się, czy chce kontynuować dochodzenie. Intuicja mówiła jej, że grzebanie w przeszłości może doprowadzić do niepożądanych odkryć. Może rację miały osoby, które radziły jej, żeby w tym nie grzebała. Może należało tę sprawę zostawić.

Wreszcie usnęła, niespokojnie przewracając się na łóżku. Była czwarta nad ranem.

Dzień wstał za wcześnie. Dorota zupełnie się nie wyspała, nadal wstrząśnięta rozmową z ojcem. Potrzebowała się zrelaksować, oczyścić umysł, duszę i serce. W tym celu umówiła się z Filipem na jogging. Na szczęście miał popołudniową zmianę i zastała go w domu, kiedy zadzwoniła z propozycją wspólnego biegu.

Od razu zauważył, że jest milcząca. Dawała też bardziej czadu z ćwiczeniami. Wręcz nie mógł jej dogonić. Pędziła przed siebie jak szalona.

– Coś się stało? – spytał z troską.

– Ech, nic takiego. – Usiłowała go zbyć. – Nie wyspałam się i tyle.

– To może chcesz już wrócić do domu?

– Biegnijmy. To mi dobrze zrobi. – Znów wyrwała do przodu, więc pobiegł za nią.

Po kilku minutach zasapani przysiedli na ławce w lasku Okręglik. Było to urokliwe miejsce, jednak podczas wojny miały tu miejsce tragiczne wydarzenia. W tym lasku pod Zgierzem naziści rozstrzelali tysiące Polaków, w tym setki dzieci. Kości ofiar odnaleziono niedawno. Spoczęły w symbolicznym grobie, na którym wzniesiono pomnik. Znajdował się jakieś trzysta metrów w głębi lasu za ich plecami.

– I jak, lepiej ci? – spytał Filip.

– Tak, dzięki! – wydyszała. – Naprawdę potrzebowałam tego biegu. Super, że dotrzymałeś mi towarzystwa.

– A jak dochodzenie? – Spojrzał na nią badawczo.

Lekceważąco machnęła ręką.

– Lepiej nie pytaj. Do luftu. Utknęłam w martwym punkcie. Terminy mi płyną, a nadal nie wiem, co się stało w tamtym domu. Akta niedostępne, w teczce Langera ani słowa o strzelaninie... Chyba trafiłam na mur... – Kopnęła ze złością kamień. Poleciał daleko pod drzewo po drugiej stronie ścieżki. – A ty masz coś nowego w sprawie? – zapytała z nadzieją.

– Jeszcze nie, ale poprosiłem o pomoc chłopaków z odpowiedniego działu.

Miał ochotę ją objąć. Odgarnął kosmyk włosów z jej twarzy.

– Teraz skupiam się na szukaniu informacji o dziewczynce, z którą mieszkała Michalina Starska – powiedziała Dorota. – Langer uważa, że to najważniejszy trop. Poza tym dziewczynka jest jedyną osobą z tamtej grupy, która może jeszcze żyć... Ale nic nie znalazłam. Jakby rozpułyła się w powietrzu.

– Jak ona się nazywała?

– Barbara Strzelczyk. W internecie jest pełno osób o tym nazwisku. Szkopuł w tym, że żadna z nich nie skończyła sześćdziesiątki! – zaśmiała się ponuro. – Szukałam pół nocy. To ślepa uliczka. – Potarła oczy. Nadal czuła się niewyspana. – Barbara ma teraz ponad siedemdziesiąt lat. I zapewne zmieniła nazwisko, bo wyszła za mąż.

– To możliwe – przytaknął.

Zastanawiał się nad opcjami, którymi mógł ewentualnie dysponować, gdyby poprosił o przysługę kolegów z pracy.

– Mogę poszukać czegoś u nas... – zaproponował.

– Mógłbyś? Naprawdę!? – Podskoczyła z radości.

– Jasne. Żaden problem – uśmiechnął się, mrugnął do niej porozumiewawczo i zapytał żartobliwie: – A co będę z tego miał?

Komicznie przy tym wyglądał, bo kilka liści wpadło mu za kołnierz, a jeden utknął na czubku głowy. Zdjęła go delikatnie. Dmuchnęła, a listek pofrunął.

Zaczęli się ganiać, ona odskoczyła, a on ruszył za nią.

– Złap mnie! – zawołała.

Pobiegli w głąb lasu, który był tu jasny i przejrzysty, a poszycie pokrywał miękki mech.

Zdyszani padli na kępkę wysokich traw na polanie. No, a potem to już się potoczyło, spontanicznie i relaksująco. Oboje bardzo tego potrzebowali.

*

Filip był totalnie zaskoczony, że sprawy przybrały taki obrót – szybko, naturalnie i radośnie. Ziściło się jego skryte marzenie. Posiadł tę piękną, zachwycającą dziewczynę! I to w jakże romantycznych okolicznościach,

na poszyciu z mchu, wśród szumiących drzew, na łonie dzikiej wiosennej przyrody. Patrzyli potem długo w niebo, leżąc obok siebie, obserwowali obłoczki chmur leniwie przepływające wysoko w przestworzach. Co dziwne, żadne z nich się nie spieszyło, by z rumieńcem wstydu umknąć czym prędzej do domu. Cieszyli się chwilą. Smakowali ją, napawali się spokojną ciszą, która nastąpiła po ich namiętnym i czułym zbliżeniu. Przemoczyli od rosy ubrania, ale to nie miało znaczenia. Zdawali się nie czuć chłodu.

– Och, było mi tak dobrze... – westchnęła, wstając, po czym przeciągnęła się i ziewnęła.

– Mnie też – odparł.

– Ale pora wracać – powiedziała z żalem.

– Tak – przyznał.

Słońce wyszło zza drzew, a oni szli w jego stronę, odgarniając gałęzie i mrużąc oczy.

Chwilo, trwaj, pomyślała ona.

Chwilo, trwaj, pomyślał on.

Pewnie z perspektywy czasu spojrzą na tę akcję z mniejszym entuzjazmem, ale na razie wszystkie chwytły były dozwolone. Wszystko było wolno. I to było takie piękne.

Dzień później Filip przystąpił do poszukiwania informacji o Christine Langer, Basi Strzelczyk i Michalinie Starskiej.

Tak jak to sobie umyślił, szukał w danych zagranicznych. Nie wiedział, skąd taki pomysł przyszedł mu do głowy. No i znalazł. Z pomocą przyjaciół z policji.

Całkiem sporo tego było. A informacje okazały się zaskakujące. To raczej pomyłka, pomyślał Filip. Fałszywy trop. Tak, z pewnością. Bo to przecież nie może być prawda.

ROZDZIAŁ 10

KIEDYŚ

Od kiedy zamieszkała z Basią, a potem jeszcze doszła Stanisława ze wsi Skotniki, która regularnie u nich bywała, Michalina poznała nowe odcienie codziennego życia. Z panią Stasią rozmawiały o wszystkim i o niczym, jak to dwie kobiety, a nowa znajoma okazała się pleciugą, jakich mało. Dobrze chociaż, że gadała o samych pierdołach, przynajmniej zdaniem Michaliny, niczym przekupka z bazaru, a to o jedzeniu, a to o ziarnie dla kur, a to o swojej sąsiadce, która inaczej gotuje zalewajkę, a to o tym, że nie będzie jeść sałaty do obiadu.

– Pani, a co ja, krowa jestem, żeby to zielsko żreć? – powtarzała, ilekroć Michalina próbowała ją przekonać do jarzynowej.

Stanisława była niska, korpulentna, zawsze okutana chustą i w tej samej, długiej do ziemi, pogniecionej spódnicy, z nieśmiertelnym fartuchem na rozłożystych biodrach. Ledwie skończyła pięćdziesiątkę, a wyglądała na starszą o dwadzieścia lat. Miała twarz pomarszczoną niczym jesienne jabłko, które zbyt długo leżało na chłodnej ziemi.

Dwaj z jej trzech synów służyli nowej Polsce w mundurach – jeden w MO, drugi w służbach bezpieczeństwa. Trzeci został na gospodarstwie. W każdym razie wszyscy byli prawidłowo ukształtowani ideologicznie i działali w jednej drużynie. Stanisława była z nich dumna i opowiadała o ich dzieciństwie ze szczerą matczyną radością. O współczesnych czasach nie mówiła. „Boć to wiesz, panie, z kim masz do czynienia?”, mawiała. A nuż ktoś zacznie o coś podejrzewać i doniesie?

– A co łoni tero robiom, to nie wim dokładnie, obywatelko – ucinała w ten sposób wszelkie pytania. – Ale dobre rzeczy łoni robiom, dobre. Odbudujem ten kraj!

Po czym szła sprawiać kurczaka, opalać mu skórę, by zniknęły resztki pierza, i obcinać kuper. Opary parującego wrzątku i zapachy wędzonego kurzego tyłka były w stanie przesłonić każde dyskusje i oczyścić umysł.

Natomiast o dziecięcych przygodach synów opowiadała bez oporów. Michalina z zainteresowaniem, zmieszonym ze zdziwieniem, słuchała

historii o podartych portkach, wchodzeniu na drzewa i ganianiu za dziewczynami. O wyprawach nad rzekę, o tym, że Janek zabrał Frankowi gacie i brat paradował przez wieś opasany gałęzią... O tym, jak kozy wypuścili, rozrabiaki, i potem ich zagonić do obory się nie dało, i nie wiadomo, kto w tej przygodzie głupszy, kozy czy synowie – tak opowiadała Stanisława, a oczy jej się przy tym śmiały i było widać, że kocha tych swoich chłopaków na zabój, tak jak tylko matka kochać potrafi.

Michalina po okresie początkowej nieufności polubiła słowotok wiejskiej gaduły. Sama takiego życia nie znała. Bo chociaż w mieście i na wsi bywała przed wojną podobna bieda, to wieś miała łąki, las, przestrzeń i oddech, które oprócz ciężkiej pracy dawały też wytchnienie. W oparach fabrycznych dymów w bałuckich famułach robotniczej biedoty jakość życia była znacznie gorsza.

Tymczasem Stanisława miała też sporo do powiedzenia o wychowaniu dziewcząt, gdyż była też matką trzech córek. Wszystkie już poszły na swoje, jedna za kowala z pobliskiej wsi, druga aż na Śląsk wybyła, ziemię odzyskane we Wrocławiu wraz ze swoim ślubnym kolonizować, trzecia, Helcia, do samej Łodzi pojechała, by się kształcić i wybrała liceum pedagogiczne! Och, Stanisława była dumna z córki i gorliwie ją wspierała. Chce dziewczyna spełniać marzenia, to niech spełnia! Helcia pierwsza z rodziny zapisała się do PPR.

– To dobre, że się teraz kształcić można – wychwalała nowe czasy Stanisława.

Regularnie odwiedzała Helcię w Łodzi na stacji. Kto wie, czy nie dlatego zdecydowała się pomagać Michalinie w prowadzeniu domu, żeby dzięki temu częściej wpadać do córki, a to z prowiantem, a to z dobrą radą.

Michalina odwdzięczała się Stanisławie rozmową. Opowiadała o swoim zmarłym mężu Andrieju. Same cuda. Piękny, dobry, troskliwy mąż. Szkoda, że go Niemcy pod Stalingradem zabili. Andriej był aniołem. To był najpiękniejszy okres mojego życia!, powtarzała Michalina jak mantrę.

No i wprowadzała ją Stanisława w sprawy wychowawcze, delikatne i dziewczęce. Dziwując się przy tym sekretnie, że taka wielka pani, uczona i wysoko postawiona, sama już w wieku średnim, więc zapewne

doświadczona przez życie, tak mało o tym życiu wie, o jego codziennym, normalnym biegu, domowym i praktycznym.

Tylko major Gołębek był niezadowolony z pojawienia się Stanisławy. Uważał wprowadzanie do ich układu kolejnej nowej osoby za kiepski pomysł. Zwłaszcza w sytuacji, kiedy oboje z Michaliną mieli sporo do ukrycia.

*

W urzędzie trwały przygotowania do referendum. Delegaci i instruktorzy lubili przyjeżdżać bez zapowiedzi, ale tym razem urząd powiadomiono wcześniej o ich wizycie. Kapuśniak wysłał stosowną depezę. Cokolwiek złego można sądzić o towarzyszu Kapuśniaku, tym razem spisał się na medal.

Delegacja miała dostarczyć szczegółowe wytyczne, sporządzić raport oraz przeszkolić pracowników. Kapuśniak przyjechał wcześniej, dwoił się i troił, żeby wszystkiego dopilnować. Był dumny i zaangażowany. Wypinał pierś, chodził z wysoko uniesioną głową. Nawiązał w Moskwie stosowne znajomości, które mogły zaprocentować w przyszłości. Został doceniony jako pracownik i towarzysz. W jego teczkach personalnych zapisano: „politycznie dojrzały i samodzielny, całkowicie oddany partii”. Chwalono go za wysoki poziom ideologiczny oraz talent do pracy w propagandzie i agitacji politycznej.

– Dawać tutaj ten portret! – grzmiał do pracowników sekretariatu.

Stał na korytarzu przed drzwiami i wskazywał pustą ścianę.

– Sprzątnąć te papiery! – Wyrzucił stos teczek z półotwartej szafki na podłogę.

– Co się tak patrzy? – Przystanął przed sekretarką. – Ja dla waszego dobra! Tu nie byle kto przyjedzie, sam towarzysz Sołokin z delegacją. Musimy im pokazać, że jesteśmy godnymi partnerami. Obywatelce Gumińskiej też powinno na tym zależeć.

Michalina patrzyła na niego z niesmakiem. Obłeśny grubas, z wywalonym bebechem, którego nawet galowy mundur nie był w stanie opakować. Rozemocjonowany i pełen niezdrowego poruszenia jak pijak w pierwszej fazie, który dorwał się do wódki i zdążył wypić pierwsze kieliszki. Znała ten stan. Jej mąż był identyczny. Wszyscy oni tacy byli. Andriej nie żył od wielu lat, ale pamiętała, że najgorszy był w tej

podchmielonej, rozanielonej fazie podpicia, kiedy stroił gładkie miny, oczy mu błyszczały i wygadywał piękne, miękkie rosyjskie słówka. Wydawał się sobie taki błyskotliwy.

Wróciła do swojego gabinetu. Zamknęła drzwi, po czym oparła się plecami o framugę, jakby chciała zasłonić sobą wejście.

Niestety, spokój trwał krótko. Zaraz zajrzała do niej sekretarka.

– Towarzysz Kapuśniak prosi was do siebie, obywatelko – oznajmiła z satysfakcją.

To nie mogło oznaczać niczego dobrego.

*

Kapuśniak siedział za wielkim, bogato rzeźbionym biurkiem w komitecie. To było jego biuro i miał prawo wybrać sobie biurko, z czego skwapliwie skorzystał. A trzeba przyznać, że gust miał iście barokowy lub też dworskowo-szlachecki. Ilekroć Michalina wchodziła do niego, by coś załatwić, ledwo powstrzymywała grymas odrazy. Może nawet nie tyle na widok biurka, ile na widok zasiadającego za nim Kapuśniaka. Wyglądał karykaturalnie. Jego prząsna, chłopska fizjonomia i ten ozdobny, inteligencki mebel.

– Wezwałem towarzyszkę, by omówić ostatnie wytyczne. – Swoim zwyczajem cmoknął i mlasnął.

Michalina nie miała ochoty wysłuchiwać tego starego buca, a poza tym czekało ją mnóstwo roboty, bo seria nowych plakatów na temat udanych plonów czekała na odbiór w dziale rysowników. Musiała pilnie skontrolować prace nad kolejnym projektem, którego tematem przewodnim były rysunki sławiące świeżo wznowioną polską żeglugę rzeczną.

– Ależ, towarzyszu, jutro jest posiedzenie wydziału kultury komitetu... Wtedy...

– Właśnie! – Kapuśniak klasnął pokazowo w swoje czerwone łapska. – Właśnie dlatego muszę z obywatelką porozmawiać teraz. – Chrząknął, a na jego twarzy wykwitło coś w rodzaju dumy bądź wyższości. Michalina nienawidziła tego człowieka. Chociaż pewnie podobnie zachowywała się wobec własnych podwładnych.

– Słucham. – Wyjęła z torebki notatnik i ołówek, z którymi nigdy się nie rozstawała.

– Notatki zrobi później. Jutro będą protokoły. – Kapuśniak uniósł rękę.
– Teraz słucha.

Michalina zastygła i posłusznie odłożyła przybory. Wyglądało na to, że zaraz dostanie reprimendę. Tylko nie wiedziała za co, bo jej dział był zawsze świetnie przygotowany i wysoce produktywny.

– Zauważyliśmy, towarzyszeko, pewną tendencję w aktywnościach i pracach podejmowanych przez wydział, któremu towarzyszeko przewodzi. – Kapuśniak splótł ręce i oparł łokcie na biurku.

Przybrał mentorski ton. Michalina z łatwością przewidziała jego dalszą taktykę, bo sama ją często stosowała. Najpierw piękne słówka i przymilanie się, potem kopniak w tyłek. Momentalnie się spięła, ale nie takie rzeczy przychodziło jej znosić. Uodporniła się. Zawsze może zmusić swój zespół do szybszej pracy. Poza tym teraz, kiedy ma Basię, może tworzyć dzieła, które zachwycą samą moskiewską górę. Dlatego kolejne słowa Kapuśniaka zbiły ją z tropu.

– Otóż, towarzyszeko. Cenimy towarzyszeki wkład w budowanie socjalizmu w Polsce. Uważamy towarzyszekę za lojalnego i oddanego pracownika i jesteśmy z pracy towarzyszeki bardzo zadowoleni. Jednak zauważamy w pracach wydziału pewną tendencję, która wzbudza nasz niepokój.

Chociaż Kapuśniak mówił miękkim i ociekającym słodyczą głosem, po plecach przeszedł jej zimny dreszcz. Oby tylko nie chodziło o trofiejne obrazy... Przecież dotąd przymykano oko na jej skłonność do sztuki przedwojennej. Teraz zaczęła się bać, że może chodzić o jej sekretną kolekcję. Że oni chcą, aby ją komuś oddała, na przykład wysłała do Moskwy... Lęk zaczął ją paraliżować. Na razie zbiory znajdowały się w domu Gołąbka pod Łodzią, a Gołąbek to była ważna persona. Nikt nie śmie tknąć towarzysza majora.

– Towarzystwo zbladła – zauważył Kapuśniak litościwie. – Towarzystwo się nie boi! My nic złego nie chcemy od towarzyszeki! – Wykrzywił usta w tym swoim obleśnym szerokim uśmiechu. – Wszystko jest zasadniczo w porządku. Już wyjaśniam, o co chodzi... To tylko jeden drobny szczegół...

Mina dobrodusznego Dziadka Mroza nie schodziła mu z twarzy. Michalinę dotknęła myśl, że Kapuśniak nie był taki głupi, na jakiego wyglądał. Może faktycznie nie przez przypadek zrobił karierę w Komitecie. Wojna i przedwojenne represje wobec komunistów, choćby to, że sam Stalin wybił polskich delegatów przedwojennej partii, zdziesiątkowały szeregi działaczy i momentami naprawdę było trudno o rozsądnych pracowników, skoro przy życiu zostali najbardziej wytrwali lub ci, którym dopisało szczęście.

– Prace propagandowe, które wykonuje dział towarzyszek, są oczywiście wspaniałe... – kontynuował Kapuśniak z szerokim uśmiechem. – Zwłaszcza ich liczba jest imponująca! Norma wyrobiona i do tego zauważamy regularne nadwyżki... – Tu wyciągnął jakieś zestawienie w tabeli, czyli faktycznie kontrolował dane.

Kapuśniak to naprawdę nie tylko tępy pijus, skonstratowała Michalina. Zrozumiała, że się co do niego pomyliła. Niedawno jeszcze podejrzewała go o to, że ledwo potrafi czytać.

Przejrzał dane z grobową miną.

– Dwieście plakatów na temat sukcesów polskiej wsi. Bardzo dobrze. Dwieście pięćdziesiąt na temat odbudowy szkolnictwa. Świetnie! Budowa nowych dróg, wspaniale. O referendum trzysta sztuk. Doskonale. Jednak... – Tu podniósł głowę znad kartki. – Za mało, powtarzam, zdecydowanie za mało, zgodnie z nowymi wytycznymi z samej Moskwy oraz z wytycznymi komitetu... produkujecie plakaty o naszych wrogach. Raptem dziesięć o zgniłym kapitalizmie? Trzydzieście o zaplutyh karłach reakcji? Osiem o spekulantach, bumelantach i szkodnikach gospodarczych? To zdecydowanie za mało. Towarzystwo, ja rozumiem, że chcecie chwalić nasz piękny kraj i jego odbudowę, ale towarzyska musi wiedzieć... prawda, że musi? – Puścił do niej oko. – Że bez zniszczenia podłej reakcji i wrogów obecnego ustroju, którzy roznoszą się jak śmiertelne wirusy, budowa nowej Polski nie będzie możliwa!

Oczekiwał odzewu, więc Michalina pokiwała głową. Już przerzuciła się na tryb zadaniowy, który łagodził zbędne myślenie i likwidował niewygodne rozterki. Michalina całą uwagę skupiała teraz na szczegółach, a wzrok utkwiała w kartce z wyliczeniami Kapuśniaka, którą jej podał.

– Rozumiem, towarzyszu – powiedziała tonem osoby gotowej spełniać wszelkie rozkazy. – Nowe wytyczne wdroszę natychmiast.

Trochę siebie samej za to nie lubiła. Może nawet bardziej niż trochę. Za ten służalczy ton i za dysonans, za posłuszeństwo i tłumienie własnych poglądów. I zapłaci za to wieczorem, już wie, że zapłaci. Zmyje to niemiłe uczucie na jeden znany sobie i wielokrotnie już sprawdzony sposób.

Kapuśniak tymczasem przeszedł do konkretów.

– Oto lista tematów i prac do wykonania. Jestem pewien, że obywatelka będzie wiedziała, jak ją odpowiednio zrealizować. Jednak dla porządku przeczytam wstęp. – Odchrząknął i podjął uroczyście: – Walka z wszelkimi antypaństwowymi elementami zanieczyszczającymi nowe państwo polskie i ideologię socjalizmu, w szczególności z przebrzydłymi karłami niemieckiej agentury, z volksdeutschami i innymi sługusami niemieckimi. Dalej, walka ze skrywającymi się na wsi i we folwarkach wrogimi agenturami, które chcą zniszczyć reformę rolną. Dalej, walka z antypaństwowymi elementami, bandami w lasach... Walka z reakcją i zdradzieckimi siłami we wrogich sowieckim wartościom partiach i ugrupowaniach politycznych, które działają na szkodę Polski... Referendum...

Wymieniał dalej, a Michalina w myślach już przydzielała prace poszczególnym członkom zespołu. Liczby, zadania i terminy wirowały jej w głowie. Może podzielią to tematami, a może każdy będzie miał do wykonania prace ze wszystkich kategorii...

Wyszła z gabinetu na miękkich nogach i z lekkim kołowrotkiem w głowie.

*

Potem było tylko gorzej. Tego feralnego dnia Michalina poszła do magazynu na tyłach urzędu, gdzie trafiały przedmioty codziennego użytku wyniesione z przeszukiwanych mieszkań lub skonfiskowane od przesłuchiwanym. Najczęściej rzeczy, które jej nie interesowały, na przykład sprzęt i maszyny. To tam też czasem nieformalnie spotykali się na przerwach pracownicy urzędu. W budynku zajmowanym poprzednio przez gestapo mieściła się obecnie siedziba powstałego w styczniu 1945 roku Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Urząd

dopiero zaczął pełnić funkcję miejsca przesłuchań osób oskarżanych o zdradę państwa. Jeszcze mało kto wiedział, że w przepastnych piwnicach gmachu powstało nowe miejsce kaźni. Michalinie nie przyszłoby do głowy, co się tam dzieje albo niedługo dzieć będzie. Zresztą szła do tego magazynu tylko po to, żeby poszukać majora Gołąbka, bo jak zwykle gdzieś zniknął. Osoby postronne nie mogły wchodzić na posesję, ale Michalina nie była osobą postronną. Jedno jej zdanie: „Ja do towarzysza Gołąbka”, otwierało wiele furtek. Tak też stało się i tym razem. Już nigdy więcej z własnej woli tam nie poszła.

Nie chodziło jednak o to, że przypadkiem zobaczyła lub usłyszała przesłuchanie, które swoją brutalnością wytrąciło ją z równowagi. Co to, to nie. To, czego stała się mimowolnym świadkiem, było dla niej chyba czymś gorszym i spowodowało większy szok.

Najpierw usłyszała w głębi podwórka gromki śmiech. Coś ją podkusiło, żeby zajrzeć do magazynu. W środku zobaczyła Kapuśniaka, majora Sołokina z Moskwy i paru pomniejszych oficjeli, których znała z widzenia. Byli wśród nich śledczy z Urzędu Bezpieczeństwa. Wkoło nich porozkładano zrabowane z bogatych domów obrazy i inne dzieła sztuki. Kapuśniak stał naprzeciwko dużego obrazu w bogato rzeźbionej ramie, który przedstawiał szlachcica w żupanie. Obraz był autentycznym z osiemnastego wieku.

– Spierdalaj, darmozjadzie! – cedził Kapuśniak i strzykał w szlachcica śliną.

Wtórował mu Sołokin, a szef wydziału rolnictwa, towarzysz Myszkina, nie pozostawał w tyle.

– Giń ty, zapluty bogaczu, co krew ludu pracującego masz na rękach! – bełkotał towarzysz Ariawin, prywatnie wielki miłośnik poezji i domorosły poeta sławiący Stalina.

Całe to towarzystwo chwyciło pozostałe obrazy, a wśród nich dziewiętnastowieczne portrety i scenki rodzajowe. Kopali w nie, któryś chwycił szablę, pewno zdartą z pańskiej ściany. Machał nią i niszczył płótna. Pociął twarz szacownej damy w strojnej sukni z epoki Księstwa Warszawskiego.

– Spierdalać, darmozjady! Teraz rządzą tu my, my! – wrzeszczał szef wydziału przemysłu, prywatnie spokojny mąż i ojciec dwóch synów

oraz czterech córek, dawny robotnik kolejowy rodem ze Zgierza.

Wcześniej zapewne ostro sobie podpili. Mieli czerwone nosy i przekrwione oczy. Deptali resztki obrazów, skakali po nich w szale. Radośni wściekłością, twórczy w swoim niszczeniu. Może Michalinie się zdawało, ale niektórzy mieli czerwień na koszulach, przez co wyglądali, jakby wyszli z rzeźni. Zapewne nie była to czerwień farby malarskiej z niszczonych obrazów, bo dawno już zaschła. Ale co innego mogło to być, jeśli nie farba. Zniszczyli tyle obrazów, tyle cennych dzieł sztuki... Kopali, darli, rzucali, pluli, roznosili w proch dziedzictwo kulturowe przedwojennej Polski.

Miała ochotę rzucić się na nich z gołymi rękoma. Adrenalina buzowała jej w żyłach, napędzała do działania. Była gotowa wejść im pod te szable, byle ratować obrazy, po których skakali. Wtedy ktoś chwycił ją ramieniem od tyłu i przytrzymał w miejscu. Gołąbek. Zakrył jej usta dłonią, żeby przypadkiem nie krzyknęła. Nikt nie mógł zobaczyć jej reakcji, nikt nie mógł się dowiedzieć, że tu była. Odciągnął ją w głąb bramy. Wrywała mu się, kopnęła boleśnie w kostkę, a w końcu skapitulowała. To, że krępował jej ruchy, pomagało Michalinie okiełznać emocje.

Gotowało się w niej, zbierało na wymioty. Nie wróciła tego dnia do biura. Poszła do knajpy na rogu, gdzie zamówiła wódkę i wypijała duszkiem. A następnie napisała kolejne przemówienie, do którego zmusił ją Kapuśniak. Nie była w stanie zrobić tego na trzeźwo.

*

Wieczorem odwołała spotkanie z Gołąbkim. Zamknęła się w sypialni i sięgnęła po butelkę. Nic się już nie liczyło, ani major, ani współlokatorki, ani nawet Basia. Właściwie dopiero po kilku solidnych łykach trunku, który sobie nalała do rzeźbionej szklaneczki (też trofiejna, ładna ręczna robota przedwojennego szklarza), przypomniała sobie, że w domu ma przecież dziewczynkę. Czowała, jak żyły pulsują jej w przegubach, jak serce jej bije, i słyszała swój przerywany oddech. Kilka cholernych łyków i nie mogło być inaczej.

Przez wiele lat całkiem nieźle się trzymała w swojej wstrzemięźliwości, radziła sobie, uciekała w pracę, była ciągle zajęta. Paradoksalnie pomógł jej w tym Andriej, bo samo wspomnienie ich

krótkiego i burzliwego wspólnego życia napawało ją takim obrzydzeniem, że przez długi czas udawało jej się nie pić.

Ale dzisiaj... dzisiaj to wyjątek. Dzisiaj potrzebuję tego, zasłużyłam, po prostu muszę, pomyślała. Ta cierpka ciecz wypłucze mi z głowy wszelkie bzdurne myśli.

Mężczyźni mogą pić, Kapuśniak może chlać i Gołąbek czasem, jak się zdaje, całkiem otwarcie chodzi podпиты, co nikogo nie dziwi i nie wywołuje protestów. Kobiety socjalistyczne mogą dorównywać mężczyznom, i często im dorównują – przypomniała sobie serię plakatów kobiet na traktorach, które sama w swoim dziale wyprodukowała, ku chwale ojczyzny i ku równouprawnieniu w duchu socjalistycznym. Jednak jedno się nie zmieniło. Kobietom nie wypada pić.

Obywatelka kierownik Michalina Starska mogła sobie pozwolić na wiele, mogła żyć bez ślubu z majorem Gołąbkim, mogła kraść zabytki i przemykać na to oko, mogła zabierać dowolne dzieci z domu dziecka w dowolnej chwili... Jednak nie mogła pozwolić sobie na publiczne rozkoszowanie się swoim nałogiem, było nie było, typowym dla rodzaju ludzkiego. Który to nałóg zresztą w znacznym stopniu do tej pory ujarzmiła.

Rzeczywistość zaczęła tracić kontury.

Rozległo się pukanie do drzwi. Rozbiegane myśli Michaliny wplątały się w nieco bardziej zborną siatkę. Umysł odzyskał resztki trzeźwości. Szklanki nie chciało jej się już odstawić. Stara i ładna wygląda jak szklaneczka od whisky. Wewnątrz nadal trochę płynu, barwa lekko herbaciana, bo to naturalny bimbler od baby ze wsi.

– Basia? – mówi nie swoim głosem, gardłowym, bardziej męskim, zachrypniętym. Nadal przez zamknięte drzwi. Przypomina sobie o dziewczynce.

Basia wchodzi. Jej oczy od razu widzą szklaneczkę. Nie jest to dobre dla dziecka, widzieć opiekuna z alkoholem. Cóż, stało się. Michalina nie rumieni się ani nie kryje. Michalina wstaje, Michalina idzie. Odstawia szklankę tak po prostu na stolik.

– Chciałam ugotować te ziemniaki, co są w wiadrze na dole. Mogę? – pyta dziewczynka.

– Tak – odpowiada Michalina.

Basia wychodzi, a Michalina czuje, jak napiera na nią całe powietrze w pokoju. Potrzebuje jeszcze tylko sekundy, by oprzytomnieć.

– Poczekaj, już idę. – Zbiega po schodach za Basią.

Za chwilę zrani się w palec, obierając ziemniaki, ale uda im się, niebawem ugotują swój pierwszy wspólny obiad.

Rankiem Michalina z takim samym entuzjazmem jak zawsze ruszy do pracy przy tworzeniu nowej Polski.

*

Przetrwać pomagały jej sprawy życia codziennego, które toczyły się coraz dalej od urzędu. Wcześniej nie pomyślałaby, że będą ją ciekawić spożywcze zakupy albo porządkowanie kuchni po ugotowaniu obiadu. Odbierała Basię ze szkoły, chodziła na zebrania dla rodziców, zupełnie tak, jakby tym rodzicem była. Poznała inne matki, zwykłe kobiety, które miały na głowie wiele sprawunków i rozmawiały o błahych zdaniem Michaliny sprawach, jak prace domowe dzieci i planowanie szkolnej potańcówki. Chwaliły swoje fryzury, polecały sobie fryzjerów, zapraszały nawzajem na podwieczorki. Ot, zwykłe życie.

Michalina nie czuła się ostatnio w urzędzie tak dobrze jak wcześniej. Na spotkaniach milczała i była nieobecna myślami. Zdawała sobie sprawę, że spadek jej entuzjazmu zostanie prędzej czy później zauważony. Pocięszała się, że to chwilowe – zła pora roku, niedobra pogoda, negatywne fluidy w powietrzu. Nie zmuszała podopiecznej do malowania. Porzuciła pomysł stworzenia przy jej udziale obrazu Stalina. Po scenie w magazynie nie mogła patrzeć na te powykrzywiane radzieckie mordy na zdjęciach i plakatach. Czuła wszechogarniającą niechęć. Szykowała treść przemówień bez przekonania. Coraz ostrzej strofowała protegowaną Kapuśniaka, Kryskę Balcer. Raz nawet rzuciła jej nieudaną pracę w ścianę. Było to nieodpowiedzialne, zdawała sobie z tego sprawę, ale nie mogła się powstrzymać.

Współorganizowała wznowienie działalności Towarzystwa Uniwersytetów Robotniczych w ramach akcji szerzenia kultury oraz pracy wychowawczo-oświatowej. Trwała akcja rozszerzania sieci bibliotek oraz tworzenia kursów samokształceniowych. Powstawał Centralny Robotniczy Dom Kultury i Teatr Powszechny. Koordynowała

też powstawanie oddziału łódzkiego Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Organizowała otwarcie Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych. Świątowano nadanie przez Rozgłośnie Łódzką pierwszej próbnej audycji za pomocą urządzeń emisyjnych anteny nadawczej odbudowanej przy ulicy Narutowicza 130. Niebawem ukazał się pierwszy numer socjalistycznego tygodnika „Pobudka” pod redakcją Grzegorza Timofiejewa i Zbigniewa Mitznera. Otworzono również Państwowy Instytut Sztuki Teatralnej pod dyrekcją Aleksandra Zelwerowicza.

Potem interesowała ją głównie praca związana ze szkolnictwem. Współtworzyła między innymi kurs aktywu świetlicowego dla kandydatów na kierowników i instruktorów świetlic oraz ognisko metodyczne pracy świetlicowej przy Centralnym Robotniczym Domu Kultury.

Powołano też Ochotniczą Rezerwę Milicji Obywatelskiej, czyli ORMO. Początkowo ORMO miało pomóc milicji w zwalczaniu bandytyzmu i rabunków, potem prowadziło akcję profilaktyki. Michalina wzięła też udział w zebraniu organizacyjnym Oddziału Łódzkiego Społecznego Komitetu Radiofonizacji Kraju. Ta praca dawała jej odrobinę satysfakcji, była bardziej organizacyjna niż światopoglądowa.

Uczestniczyła również w akcji uruchomienia w gmachach szkół powszechnych świetlic dla młodzieży, które oferowały dodatkowe zajęcia dla dzieci. Do jednej z takich świetlic chodziła też Basia, dlatego Michalina siłą rzeczy uwrażliwiła się na potrzeby najmłodszych. Pracowała przez to po nocach, nie dosypiając. Każde z organizowanych przez nią wydarzeń musiało być poprzedzone stosowną uroczystością, podczas której odbywała się edukacyjna pogadanka światopoglądowa. Tym razem to nie Michalina wygłaszała przemowy, ponieważ była odpowiedzialna bardziej za organizację wydarzenia niż za jego treść. Wykazała się organizacyjnie, zatem pozwolono jej wykonywać techniczne zadania. Na jej miejsce w wydziale propagandy było zresztą wielu chętnych. Choćby Krystyna Balcer.

Kryśka nauczyła się przemawiać, była pojętną uczennicą. Sama pisała sobie przemówienia, zyskała poklask i tym razem naprawdę na to zasłużyła. Przechadzała się korytarzami urzędu dumna jak paw, w pozie osoby, której należały się wszelkie honory i zaszczyty. Też zapisała córkę na wszystkie możliwe zajęcia pozaszkolne, dzięki czemu mogła

poświęcać się pracy. Dostała też samodzielny lokal, przestronny, jasny i wyposażony w łazienkę.

Michalina cieszyła się z awansu Krystyny po dwakroć. Po pierwsze, Kryśka była zajęta wygłaszaniem płomiennych przemów na rozmaitych spotkaniach i uroczystościach, więc jej zainteresowanie karierą plastyczną znacząco osłabło. Nie trwoniła już czasu na przekonywanie kogokolwiek, że umie rysować. Po drugie, dzięki temu, że to Kryśka przemawiała, Michalina nie musiała już tego robić. Chociaż Kapuśniak był lekko niezadowolony. Albo się tylko droczył, tak to sobie tłumaczyła Michalina.

Na domiar złego Gołąbek ciągle gdzieś wychodził. Zmienił się ostatnio. Jeszcze bardziej zamknął w sobie. Zdarzało mu się burknąć coś do niej niegrzecznie. Nigdy nie mówił, gdzie idzie, a ona go nie kontrolowała. Znikał na całe tygodnie. Czasem zastanawiała się tak na serio, co on w tej swojej pracy robi. Akcje operacyjne gnały go w różne zakątki kraju, od Zakopanego po Gdańsk.

Raz przyszedł w środku nocy ranny, z kulą w ramieniu. Chciał to ukryć, ale zobaczyła na poduszce krew. Powiedział, że się zranił w pracy, że to nic takiego. Nie chciał jej pokazać rany. Michalina wyjęła mu kulę własnymi rękami. Użyła metalowych szczypiec, zdezynfekowanych we wrzątku, po czym zwymiotowała do wiadra przy kafłowej kuchni. Była na niego zła, że nie chciał wezwać lekarza lub choćby felczera. Ranę przemyła wódką. Gołąbek wbił zęby w poduszkę. Założyła prowizoryczny opatrunek. On się pocił, trząsł jak w gorączce. Potem zasnął, a sen miał płytki i niespokojny. Rzucił się we śnie i coś mówił. Michalina oka nie zmrużyła, bała się, że zbudzi Basię. Tamtego ranka musiała odwołać Stanisławę. Nie zadawała mu pytań, sądziła, że został postrzelony przez bandytów z lasu. Nawet gdyby prawda była inna, Michalina wolałaby jej nie znać. Miała własne problemy. Ale też i radości.

Opieka nad Basią dawała jej niemałą satysfakcję. Staraly się żyć normalnie. Jadły razem śniadania, jechały do centrum, Michalina szła do pracy, a Basia do szkoły... Temat obrazów zszedł na plan dalszy, choć Michalina co jakiś czas pytała, jak się jej podobają lekcje rysunków w świetlicy, na które zapisała dziewczynkę.

– Nie musisz malować teraz. Nie chcę cię zmuszać – powtarzała co jakiś czas.

W domu trzymała jednak farby i kartony, na wypadek gdyby miała nabrała ochoty, by poćwiczyć. Kilka razy zauważyła Basię przy pracy, ale rysunki dziwnym trafem gdzieś ginęły. Michalina tłumaczyła to sobie tym, że dziewczynka przechodzi trudny okres, musi się zaaklimatyzować w nowej szkole, w nowym środowisku, wśród nowych ludzi. Nie poruszały dotąd tematu rodziny Basi. Michalina wiedziała przecież, że jej rodzice nie żyją, a dziewczynka nie ma nikogo bliskiego. Niedaleka przyszłość miała pokazać, że była w błędzie.

ROZDZIAŁ 11

TERAZ

DOROTA

Po ostatnim spotkaniu z Filipem bujała w obłokach i było jej trudno skupić się na pracy. Igraszki w lesie wydawały jej się teraz tak nierealne, że następnego ranka zastanawiała się, czy się jej nie przyśniły. Jedyнным ich potwierdzeniem były liście i gałązki poprzyczepiane do jej ubrania, porzuconego niedbale przy koszu na bieliznę, oraz lekki katar, zapewne od leżakowania na glebie. Czyli stało się. No tak, stało. I było fajnie!

Wstała, przeciągnęła się, nastawiła czajnik. Przypomniała sobie kawę, którą ostatnio uraczył ją Filip. Nie miałyby nic przeciw temu, żeby napić się teraz cappuccino razem z nim. Mieszkali w tym samym bloku. Ale przecież ona zaraz szła do pracy, on zapewne też, każde z nich miało już plany na ten dzień. Może przecież poczekać do wieczora. No, chyba może...

Wyjęła telefon i napisała do niego esemesa.

„Było super!”.

Potem wysłała kolejny.

„Spotkamy się wieczorem?”.

Na odpowiedź nie musiała długo czekać.

„Zapraszam na kawę”.

I dał emotkę uśmiechniętej buzi, która puszcza zawadiacko oczko.

W sprawach sercowych zatem Dorota zaczęła odnosić pewne sukcesy. Gorzej było z zawodowymi. Niemal spóźniła się na umówione spotkanie z Langerem. Było jej trudno się skupić, dlatego wypisała sobie w komórce listę nurtujących ją pytań. Kiedy siedziała w tramwaju jadącym od strony zajezdni Helenówek do centrum, emocje związane z przyjemniejszą częścią życia, czyli wczorajszymi wyczynami na trawie, zaczęły z niej uchodzić. W ich miejsce pojawiły się natomiast mniej przyjemne, związane z tym, że nadal nie wiedziała, co stało się finalnie w willi po Scheerach. Mimo dokładnego przejrzenia wraz

z ojcem teczki Langerera oraz przeszukania internetowych baz, które w tym momencie były dostępne, nie znalazła odpowiedzi na pytanie, kto strzelał w tamtym domu. Ani kto wtedy zginął. Nie znalazła też bezpośredniego powiązania między żoną Langerera a ludźmi, którzy po wojnie zamieszkali w willi. Mogła się tylko domyślać, że mała Basia odgrywała tu pewną rolę, ale jaką, nie miała pojęcia. Czy była matką Christine? Mogła urodzić Christine po czterdziestce. Późno, ale to było możliwe. Dorocie jednak towarzyszyło nieodparte wrażenie, że czegoś ważnego w tej historii nie widzi, że coś jej umyka.

Kiedy patrzyła na terminy prac wyznaczone przez Langerera, mina jej rzedła, bo zdała sobie sprawę, że będzie zmuszona poprosić go o więcej czasu. Poza tym gdzieś z tyłu głowy kołatała jej nieprzyjemna myśl związana z niedawną rozmową z ojcem. Czuła w związku z tym pewien dysonans. Wynikał on z faktu, że dziadkowie i rodzice zataili przed nią prawdę.

Myślała o tym wszystkim w tramwaju wiozącym ją na spotkanie z Langerem w restauracji hotelu Grand. Właśnie mijala miejsce po dawnej synagodze, którą Niemcy wysadzili w powietrze w 1939 roku i po której został pusty narożny plac w alei Kościuszki. Myślała, że wczorajsze wygłupy z Filipem, jak je teraz nazwała, stanowiły efekt uboczny ostatnich wydarzeń w jej życiu, i może w ten sposób usiłowała po prostu poprawić sobie humor. A to byłoby niewłaściwe. Myłące, pewnie przykre. Ech! Westchnęła ciężko.

Langer też był chyba w kiepskim humorze, bo siedział w restauracji hotelowej bardziej posępny niż zwykle. Zamówiła kawę, po czym zreferowała mu większość swoich ustaleń. Mówiła o tym, że ma już zarys historii sprzed lat, że wie, kto mieszkał w tamtym domu, a Michalina Starska wzięła na wychowanie osieroconą dziewczynkę.

– Ta dziewczynka może odgrywać kluczową rolę w naszej historii. Czy wie pan już, jak nazywali się biologiczni rodzice Christine?

Pokręcił głową i bezradnie rozłożył ręce. Zerknęła w swoje notatki.

– Skupiłam się na szukaniu informacji o strzelaniu w willi. Niestety, nic nie ma o tym w pańskich aktach. Złożyłam wniosek do archiwum i czekam, ale to może potrwać nawet cztery miesiące. Chcę ufać, że nasi bohaterowie, czyli Michalina Starska, major Gołąbek oraz Basia Strzelczyk przeżyli, ale to mało prawdopodobne. W każdym razie,

wówczas ślad się po nich urywa. Nadal szukam dziewczynki. Umieściłam stosowne posty na Facebooku, na razie bez odzewu. Dlatego muszę prosić o przedłużenie terminu. Chyba że w historii, którą piszę, pominiemy informacje o strzelaninie.

Langer nagle się ożywił.

– W teczce nie było nic o strzelaninie w tamtym domu? – zdziwił się.

– Nic.

– Jestem pewien, że w teczce znalazła się o tym wzmianka – powiedział Langer i zmarszczył brwi. – Bardzo ogólna, ale była. A także o dziewczynce, która przeżyła strzelaninę. Oraz informacja o dacie zdarzenia i numerze sprawy.

Dorota była zdezorientowana.

– Niczego takiego nie znalazłam... – zmartwiła się.

– Ja teraz badam inny aspekt tej historii – oznajmił Langer. – Domem pod Łodzią miała się zająć pani.

W jego głosie dawało się słyszeć dezaprobatę. Czy to możliwe, że nie zauważyła w dokumentach kartki? Znów naszło ją pewne skojarzenie, które usilnie od siebie odpychała. I nie było to skojarzenie przyjemne.

– Jeszcze raz sprawdzę w dokumentach – obiecała. – Ale jestem pewna, że nie ma tam informacji o tym. Może jest szansa, że taka kartka jest gdzieś u pana?

– Popatrzę.

– Skąd w ogóle ma pan te wszystkie papiery? – Przypomniała sobie pytanie, które chciała mu zadać. – Takich dokumentów nie wydaje się łatwo. Najczęściej trzeba być w prostej linii spokrewnionym z osobą, której dana teczka dotyczy. Sama ciągle trafiam na taki mur. To wszystko zebrał pana niemiecki detektyw?

Langer ociągał się z odpowiedzią. Wspomniał o potężnej mocy pieniądza, który otwiera rozmaite drzwi, niekoniecznie dostępne śmiertelnikom o mniej zasobnym portfelu.

Prawda jednak była taka, że osobą, która dostarczyła Langerowi większości najważniejszych informacji zawartych w teczce, była jego żona. To Christine zbierała te dokumenty, to ona prowadziła swoje

dochodzenie, którego efekty prawie ją zabiły. Na długo przed tym, zanim teczki trafiły w jego ręce, jeździła do Polski po to, żeby je gromadzić.

Christine dowiadywała się prawdy stopniowo, i to właśnie ta prawda pogrążyła ją w niemocy. Długie miesiące, a nawet lata, całkowicie sama znosiła wszystko, przez co przechodzą teraz oni. Langer poczuł wręcz fizyczny ból, kiedy o tym pomyślał. On, silny facet, który na dodatek nie był z tą sprawą związany tak osobiście, jak jego krucha żona, mocno odczuwał konsekwencje grzebania w przeszłości. Też źle sypiał, miał ochotę rzucić to całe dochodzenie, podczas którego odkrywał rzeczy coraz straszniejsze. Ale nie mógł. To wciągnęło go jak wir, jak zdradziecki prąd rzeki, w której można utonąć.

Czy to się kiedyś skończy?, myślał, pocierając zmęczone oczy i patrząc na Dorotę, tę młodą, pełną zapału i dobrych intencji dziewczynę, która siedziała naprzeciwko niego w kawiarni hotelu Grand i miała po prostu napisać pracę na temat jakiejś starej willi. Co mógł teraz powiedzieć? Czy gdyby wiedział, do czego ta historia ich doprowadzi, w ogóle wpadłby na pomysł, żeby jej to zlecić? Następnego dnia leciał do Bazylei, żeby się spotkać z Kurtem. A potem zamierzał pojechać do Monachium.

– Jutro wyjeżdżam – oznajmił. – Muszę uporządkować pewne sprawy w szwajcarskim domu. Dziękuję pani za dotychczasową współpracę. Pieniądze za kolejny okres dostanie pani wcześniej, zanim wyjadę. Odezwę się po powrocie. Po to właśnie chciałem się spotkać.

Dorota patrzyła na niego zaskoczona. Spodziewała się, że będzie cisnął, a wyglądało na to, że był z niej zadowolony. Tym niemniej jednak w jego przemowie wybrzmiało coś, co ją zaniepokoiło. Na szczęście nie musiała się martwić o pieniądze, skoro obiecał kolejny przelew.

– Czy to wpływa na terminy moich prac? – zapytała.

– Być może.

– Mam je przerwać?

– Nie. Proszę kontynuować według planu. I skupić się na dziewczynce i jej losach. Chcę wiedzieć, co wydarzyło się w tamtym domu. Poszukam u siebie w kserokopiach dokumentu, którego nie może pani znaleźć.

Podziękowała mu za spotkanie i wyszła na ulicę. Trochę się w tym wszystkim gubiła. Powinna przeszukać teczkę z dokumentami. Może

informacje o strzelaninie w willi gdzie się zapodziały. W domu ich nie znalazła, zatem na pewno są u taty w gabinecie. Będzie znowu musiała odwiedzić ojca.

*

Skupiła się na szukaniu dalszych informacji o dziecku, które przygarnęła Michalina Starska. Wyobrażała sobie różne scenariusze, ale najbardziej realny wydawał się ten, że mała przeżyła strzelaninę, a potem trafiła za granicę, gdzie po latach została matką Christine Langer. Rozwiązanie zagadki mogło być oczywiście kompletnie inne, ale musiała wybrać jeden główny trop, którego zamierzała się trzymać. A ponadto losy małej Basi stanowiły oś beletrystycznej powieści, która powoli, acz stopniowo nabierała kształtu.

Była to opowieść smutna i trudna, ale też podnosząca na duchu. Przynajmniej tak chciała ją widzieć Dorota. Wydarzenia, które stanowiły tło jej historii, zdawały się niepojęte, gwałtowne, straszne. Ale ona szukała w nich konkretnych losów zwykłych ludzi, którzy organizowali sobie wtedy życie. Chciała spojrzeć na tamtą rzeczywistość tak, jak oni mogli wtedy patrzeć. Gdyby udało jej się odnaleźć świadków tamtych wydarzeń, miałyby szansę bezpośrednio z nimi porozmawiać. Skupić się na jednostce, na konkretach.

Chciała pokazać, że codzienne życie było zwyczajne. A może pod pewnymi względami zaskakująco podobne do życia, jakie mogliby wieść teraz. I dlatego tak zależało jej na prześledzeniu losów Basi. Nawet gdyby okazało się, że nie są powiązane z Christine Langer, że to fałszywy trop, Dorota miałaby swoją historię, bazę dla swojej opowieści.

Przy odrobinie szczęścia mogło się okazać, że Basia żyje i jest nobliwą starszą panią wychowującą wnuki, głaszczącą z czułością kota, wypiekającą pyszne szarlotki. W ten sposób Dorota chciała widzieć zakończenie tej historii.

Zdołała już ustalić, że zanim Basia trafiła do Michaliny, była przenoszona z jednego domu dziecka do drugiego. Musiała mieć dość tych ciągłych przenosin. Na pewno cieszyła się z tego, że znalazła stały dom. Dorota wcześniej umieściła na swoim profilu na Facebooku informację, że poszukuje Basi Strzelczyk, małej dziewczynki, która w 1945 roku trafiła do domu dziecka pod Łodzią. Albo osób, które mogły ją znać.

I wreszcie nastąpił przełom. Skontaktowała się z nią emerytowana nauczycielka, która twierdziła, że znała Basię. Umówiły się na rozmowę w Horteksie. Pani Lucyna bez problemu wskazała dziewczynkę na zdjęciu, które pokazała jej Dorota.

Zadbana i elegancka starsza pani mogła mieć osiemdziesiąt pięć lat, może nawet więcej. Jak na swój wiek była w doskonałej formie. Nosiła lekko staromodny, ale gustowny kapelusik. Była szczuplutka i drobna, a spojrzenie miała przenikliwe i bystre.

Okazało się, że bezpośrednio po wojnie była początkującą nauczycielką w Łodzi, oddelegowaną pilnie do pracy zaraz po ukończeniu liceum pedagogicznego w Piotrkowie Trybunalskim. W 1945 i 1946 roku pracowała w wielu placówkach edukacyjnych, pomagając ogromnej liczbie dzieci i dorosłych nadrobić stracone podczas wojny lata edukacji.

– Po tylu latach pamięta pani tę dziewczynkę... – Dorota nie mogła wyjść z podziwu.

Jednocześnie czujnie oceniała starszą panią, czy aby nie myli osób, wydarzeń i dat.

Pani Lucyna miała jednak bystry wzrok i dobrą pamięć.

– Pamiętam. To było wrażliwe dziecko. Zapadła mi w pamięć ze względu na jedno wydarzenie. Tamten dzień był szczególny. Kiedy wnuk pokazał mi to zdjęcie w komputerze, od razu wiedziałam, o kogo chodzi.

– Opowie mi pani o tym?

– Spróbuję.

KIEDYŚ

Michalina szła korytarzem szkoły, żeby po lekcjach odebrać Basię, a ze ścian patrzyli na nią wielcy tego świata – Stalin, Bierut i Lenin. Gazetkę szkolną wykonano w sposób wzorowy. Powinna pochwalić koleżankę, kierowniczkę wydziału szkolnictwa, za prężne działanie. Michalina szła jednak, nie przyglądając się szczegółom, wiedziała tylko, że mijają ją ludzie, zapewne nauczyciele, pewnie też rodzice, a także uczniowie. Wielu z nich miało tak duże zaległości, że chodzili na zajęcia

w szkole podstawowej, mając po osiemnaście, a nawet dwadzieścia lat. Lekcje trwały od rana do nocy, w ciągu dnia dla dzieci, po południu zaś rozpoczynały się zajęcia wyrównawcze. Najpierw dla dorosłych, którzy nie zdołali skończyć wcześniej żadnej szkoły, potem dla służb państwowych, na przykład milicjantów, którzy musieli umieć pisać i czytać, albo strażaków i niepiśmiennych żołnierzy. Bywało, że nauczyciele kończyli lekcje o dwudziestej drugiej.

Michalina spieszyła się na spotkanie z nauczycielką Basi. Obok niej płynęła rzeka ludzi. Często odnosiła wrażenie, że rozpoznaje niektóre twarze. Ciekawe, kiedy spotkam tu kogoś znajomego z dawnych lat, cudem odnalezionego po wojnie, pomyślała.

Ostatnio widziała, jak na szkolnym korytarzu matka jednej z koleżanek Basi rozpoznała w woźnym przyjaciela z młodości. Były to chwile naznaczone najpierw niedowierzaniem, a potem radością. Ktoś znowu pojawiał się w życiu innych ludzi, którzy sądzili, że zginął podczas wojny. Ludzie wracali z obozów, z robót przymusowych, z zesłania... Często tak zmienieni, że z trudem można było ich rozpoznać.

Nauczycielka Basi właśnie miała lekcję z kilkoma roslymi mężczyznami, których uczyła pisać. Siedzieli w ławkach i pilnie przepisywali do zeszytów jakieś zdania. Młoda kobieta zostawiła ich z tym zadaniem w sali i wyszła na korytarz, by porozmawiać z Michaliną.

– Pani jest matką Basi? – spytała.

– Ciotką. Jej rodzice nie żyją – odparła Michalina bez wahania.

– Rozumiem. Ta mała musiała wiele przejść. – W głosie nauczycielki dawało się słyszeć smutek.

Sama też pewnie sporo przeszła i straciła kogoś bliskiego. Może matkę, ojca albo brata. Była jeszcze bardzo młoda, wyglądała na niewiele starszą od Basi.

– Te dzieci dużo wycierpiały, różne rzeczy się tu zdarzają. – Spojrzała na Michalinę badawczo. – Ale teraz znalazłam to. – Wyjęła z torby zwinięty w kłębek długi kawałek sznura.

Michalinę zatkało. Był to gruby solidny sznurek. Pewnie do wieszania prania. I chyba miał na końcu coś w rodzaju pętli. O ile wzrok jej nie mylił.

– Znalazłam to przy Basi – oznajmiła nauczycielka. – Pomyślałam, że chciałyby pani wiedzieć.

– Tak, oczywiście. Dziękuję za te... informacje – wydukała Michalina.

– W mieście niedawno powstał ośrodek pomocy dla dzieci, które ucierpiały w czasie wojny. Podam pani adres – powiedziała nauczycielka.

– Czy ona... Czy ona coś robiła z tym sznurem? – Michalina nadal nie mogła uwierzyć w to, co zobaczyła.

– Zastałam Basię na poddaszu – odparła nauczycielka drżącym głosem. – Poszłam po nią, bo wiem, że tam lubi się bawić. Sznur leżał u jej stóp, obok otwartej na oścież szafy.

Michalina czuła, że puls jej przyspiesza i robi jej się słabo.

– Spokojnie. Basia jest teraz w świetlicy – zapewniła nauczycielka. – W sali numer dwa są zajęcia z rysunku dla dzieci, ale Basia ich nie lubi. Nie przepada za rysowaniem.

Michalina poderwała się nerwowo. Wymamrotała „dziękuję” i szybko skierowała się w stronę schodów. W rękach ścisnęła sznur, który dała jej nauczycielka. Odnalazła Basię w świetlicy. Dziewczynka siedziała po turecku oparta o ścianę i ze spokojem wpatrywała się w swoich zajętych rysowaniem rówieśników.

*

Michalina nie miała wprawy w rozmawianiu z dziećmi, dlatego wypaliła prosto z mostu.

– Basia! – zawołała z rozpaczą. – Dlaczego? Dziecko!

Szły korytarzem do drzwi wyjściowych. Na ulicy Michalina cisnęła sznur do kosza na śmieci. Palił ją w dłonie. Basia w milczeniu szła obok. Zrobiło jej się żal tej w sumie miłej pani.

– Chciałam go tylko schować – wyjaśniła.

– Obiecuj mi, że nie... że nie będziesz... się tak bawić! – Michalina niemal krzyczała. Głos jej drżał histerycznie. Mocno chwyciła dziecko za rękę.

– Ja też w życiu kogoś straciłam. Nie rób mi tego, Baśka...

– Ja go tylko chciałam schować.

Zatrzymały się, a Michalina spojrzała małej prosto w oczy.

– Jesteś dla mnie ważna.

– Ale ja nie umiem malować – wyznała nagle Basia. – To nie były moje rysunki. – Rozpląkała się.

Michalina podeszła do dziewczynki i bez namysłu wzięła ją w ramiona.

– Wiem. – Głaskała małą po głowie. – Wiem. Ale to nieważne...

Michalinie kilka łez spłynęło po policzkach. Zagryzła wargi, przymknęła oczy i słuchała, jak krew pulsuje jej w żyłach. Trwały w tym nagłym uścisku, a po chwili płakały już obie.

– Rysunki nie były moje – szepnęła Basia. – Tylko Eli. W pierwszym domu dziecka. Mieszkałam z nią w jednym pokoju. Ela źle użyła sznura.

Michalina pomyślała, że to dziecko przeszło przez różne rodzaje piekła.

– Miała talent – szlochała Basia. – To były rysunki Eli. Zabrałam je. Żeby ocalić.

Michalina miała pustkę w głowie.

– Ela nie użyła sznura dobrze – powtórzyła Basia zaskakująco dojrzałym głosem. – Tak się nie robi, jak zrobiła Ela. Ja nie chciałam zostać w tamtym domu. Pani mnie wzięła, ja pani bardzo dziękuję.

Michalina usiłowała powstrzymać łzy. To dziecko mówiło tak prosto, tak logicznie i racjonalnie o rzeczach strasznych. Dotychczasowe problemy Michaliny, a to z Kapuśniakiem, a to z tymi dziełami sztuki, wszystko to zdało jej się nagle błahe i banalne.

– Ja... Ja chciałam tylko schować te wszystkie sznury w szafie – tłumaczyła dziewczynka – Żeby nikt inny nie zrobił tak jak Ela. Zabrałam te sznury i je schowałam.

To było lepsze z wyjaśnień, które Michalina wolała usłyszeć. I w które chciała wierzyć.

– Pani wie, że dobrze chciałam, prawda? – Oczy dziewczynki zaszklily się łzami. – Ale to Ela miała talent. Wzięłam jej rysunki – powtórzyła

z pewną dumą. – One zasługują, żeby je mieć. Pani to rozumie.

Godzinę później siedziały w pokoju Basi. Dziewczynka na skraju łóżka, Michalina na krześle naprzeciwko. Miała wrażenie, że ściany się kurczą, że pokój zaraz je pożre, że zaciśnie się na ich słabych ciałach i je pochłonie.

– Pani jest dobra ciocia. – Dziewczynka patrzyła ufnie na Michalinę. – Dobra ciocia – powtórzyła z przekonaniem i się uśmiechnęła, po czym wzdrygnęła się nerwowo.

– Ja sobie pójdę – oznajmiła. – Nie umiem rysować. Ela umie. To znaczy, umiała. Przepraszam. Ja pani kłopot robię. Pani mnie nie potrzebuje... Ja sobie poradzę sama. Tylko nie oddawajcie mnie z powrotem do domu dziecka.

Michalina nie mogła tego dłużej słuchać.

– Przestań! – zawołała. – Nie zostawię cię dlatego, że nie umiesz rysować! Słyszysz? – Słowa uwięzły jej w gardle, po czym tama puściła. – Nie obchodzi mnie, kto umie rysować, a kto nie. To bez znaczenia... – dziwiła się sama sobie, że to mówi. – Oni i tak nie chcą naszych... rysunków. Nic ich to nie obchodzi! Rysunki Eli są piękne i obiecuję ci, że... że razem odpowiednio o nie zadamy. – Wstała, podeszła do okna, potem znów zwróciła się do Basi: – Zobacz, jaki piękny jest świat. Żyjemy. Tu i teraz. Widzisz to? Nasz stary wymęczony świat nadal jest piękny! Wyjedziemy. Na wieś. Do domu mojego przyjaciela – rozmarzyła się. – To dobry człowiek. Zamieszkamy tam w spokoju i ciszy. Będziemy podziwiać naturę, siedzieć w ogrodzie, pić lemoniadę pod gruszą... Zobacysz. Zostań ze mną, Basiu.

Dziewczynka patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami, a w jej oczach mieniły się różne emocje. Radość, smutek i strach. Wszystko naraz. Słowa były zbędne.

Tej nocy Michalina leżała na łóżku, wpatrując się w sufit. Tyle się ostatnio wydarzyło. Była zmęczona, potrzebowała namiastki normalności. Punktu zaczepienia w tej nowej rzeczywistości. Musiała być odpowiedzialna i musiała zadbać o to dziecko. Właśnie naprawdę poczuła się ciocią. Zamierzała dać tej małej tyle, ile tylko zdoła. Przyszłość była niepewna, ale nie zastanawiała się nad tym.

Kiedy wreszcie nad ranem usnęła, śniło jej się, że stoi na szczycie pokrytej lodem góry. Było zimno i bardzo ślisko. Nie miała czego się chwycić i straciła równowagę. Zsuwała się w dół, świat zawirował, widziała niebo pełne białych obłoków, a potem przepaść. Usiłowała się zatrzymać, wbijała paznokcie w lód, ale na próżno.

Obudziła się zlane potem, a w kącikach oczu zebrały jej się łzy. Otrząsnęła się szybko. Wyskoczyła z pościeli jak z kąpieli we wrzątku. Zimna woda z hydrantu ocuciła ją z resztek upiornego snu. Poszła cichutko do pokoju Basi i położyła się koło niej na łóżku. Wsłuchiwała się w miarowy oddech dziewczynki. Odtąd zamierzała nie spuszczać jej z oczu, zabierać ją do pracy, do biura.

Tam powinna być bezpieczna.

*

Odtąd Basia towarzyszyła jej w biurze. Najczęściej przesiadywała w jej gabinecie, odrabiając lekcje lub czytając książki, które przynosiła jej Michalina. Zabierała dziewczynkę na spotkania egzekutywy, na posiedzenia komitetu i zebrania plenarne. Basia czekała wtedy przed drzwiami, a czasem na sali, gdzieś w kącie, w mało widocznym miejscu.

Poszły raz nawet razem na spontaniczny wiec na Piotrkowskiej.

– Nie zabieraj jej w takie miejsca – ostrzegął Gołąbek, który myślał, że Michalina ciąga za sobą dziewczynkę z wygodnictwa.

Było to zgromadzenie pokojowe. Mieszkańcy Łodzi mieli w tamtym czasie dużo zapału i wiary w przyszłość pod przewodnictwem rodzimej partii robotniczej. Tradycje proletariackie w Łodzi zawsze były silne i ich poblask nadal był widoczny na ulicach. Jednak mimo to na zgromadzeniu mogły pojawić się jakieś elementy reakcyjne, wykorzystujące dla własnych celów pokojowy wiec poparcia dla partii.

– A niby z kim mam ją zostawić, co? Z tobą? – odparła z nagłą złością.
– Basia nie może cały dzień po lekcjach siedzieć nauczycielkom na głowie...

Major wzruszył ramionami. Sam miał coraz większy problem ze swoim ojcem. Sąsiadka doniosła, że Alfred chodzi nocą po ulicy boso i bez palta pomimo chłodu. Gołąbek przeczuwał, że to symptomy poważnej choroby, która niebawem odbierze staruszkowi resztki świadomości. Powinien sprowadzić Alfreda do siebie i sprawować nad

nim opiekę. Ciągłe jednak wyjeżdżał, zajmowały go czynności w terenie, zajęcia w szkole partyjnej, zebrania i akcje agitacyjne. Ostatnio pomagał w organizowaniu zjazdów wojewódzkich. Pracy miał aż nadto... Działał na dwa fronty i jak dotąd odnosił sukcesy, o których jego ojciec nie mógł się dowiedzieć. Dla własnego bezpieczeństwa i dla bezpieczeństwa syna.

Major w rzadkich chwilach nostalgii patrzył z czułością na swojego staruszka, jak szykuje sobie barłóg i przyklepuje resztki siwych włosów do bladej czaszki, i myślał, że to być może jeden z ostatnich momentów, kiedy będzie mógł być z nim szczerzy. Ostatnia chwila na to, by powiedzieć: „Tato, ja działałam dla naszych. My się nie poddamy. Odzyskamy niepodległość. Będziemy walczyć. Nie pozwolimy na to, by nas zagarnęli. I ja biorę w tym udział. Te pagony na moim mundurze ludowego wojska to dla niepoznaki. Ja jestem, tato, z tobą, walczę też dla ciebie”. Póki ojciec cokolwiek kojarzył, miałyby to jeszcze sens. Potem straci na zawsze tę możliwość.

Tymczasem musiał iść do pracy. Tej oficjalnej, wykonywanej pod czerwoną flagą. Jego szef generał Sołokin był tego dnia w fatalnym humorze. Chodziło o ostatni napad bandy na posterunek milicji w Pabianicach, kiedy to zabito dwóch młodych milicjantów.

– Jest zebranie. Idziesz? – zapytał major formalnym tonem. Już zapomniał o Alfredzie. To nie czas na sentymenty. – Tylko nie bierz dziecka. To nie posiedzenie kółka rolniczego. Będzie o napadzie na konwój naszych.

Wiedział, że to spotkanie może być trudne. Sołokin będzie wrzeszczał, a komendant straży składał samokrytykę, że nie upilnował konwoju. Cały urząd od rana tylko o tym mówił.

– Ach, ten napad... – zmartwiła się Michalina. – Biedni nasi. Kto zginął? Chyba ten młody chłopak od dozorczy. Wysmyk mówił, że trzeci jest w stanie krytycznym w szpitalu. Jak tak można? Strzelać bandycko do uczciwych młodych ludzi! – oburzyła się i zaraz przeleżała. – Basia siedzi w sekretariacie! – zawołała. – Idę do niej. Nie powinna tego słuchać. Wy tłumacz mnie na zebraniu, że nie mogłam przyjść. Powiedz, że jestem chora.

Major skinął głową i wyszedł z pokoju. W drodze do auli poczuł ukłucie w klatce piersiowej. Przystanął i kurczowo chwycił się poręczy. Czuł się tak, jakby powietrze napierało na niego z dużą siłą,

przyduszając do ściany. W tym momencie na schody wbiegł towarzysz Kapuśniak.

– Skurwysyny! – zakrzyknął na widok Gołąbka. – Dorwiemy ich, towarzyszu! Już moja w tym głowa. Wybijemy to ścierwo co do jednego.

Gołąbek wyprostował się i puścił poręcz. Kapuśniak przyglądał mu się badawczo.

– Coś błady towarzysz – oznajmił, po czym dodał z porozumiewawczym uśmiechem: – Chyba za dużo się pije, towarzyszu, co? – I puścił do niego oko.

Dalej szli razem po schodach.

– Pić można, towarzyszu. Ja sam lubię – perorował jowialnie Kapuśniak. – O! Ale umiar jakiś być musi. Ojczyzna najważniejsza. Dbajcie o siebie, Gołąbek. Wiecie, jak was cenię. Nie chcę, żebyście mnie zawiedli. Aha, nie wiem, czy towarzysz wie. Krotoszyńskiemu udowodniono współpracę z AK. Wczoraj trafił na 19 Stycznia.

I znów się uśmiechnął. Tym razem z triumfem.

*

Tymczasem w pokoju rysowników panowała nerwowa atmosfera. Odłożono na bok kreślarskie przybory i najnowszy plakat zlecony przez Michalinę. Widniał na nim napis „Tak! Tak! Tak! Wszyscy do urn”. Plakat zachęcał do głosowania podczas przygotowywanego właśnie referendum. Nikt z obecnych nie przejmował się jednak obrazem. Wszyscy pocieszali dziewczynę w eleganckiej sukience z czerwonymi kokardami. Hanka Walusiak szlochała Kryśce w rękaw. Jej sympatia, towarzysz Wojtek Balcer, kuzyn Kryśki, zginął na pabianickim posterunku. Obie dziewczyny zalewały się łzami, a pozostali patrzyli na nie pogrążeni w smutku. Hance makijaż się rozmazał i spływał czarnymi smugami po twarzy. Spotykali się z Wojtkiem dopiero od miesiąca, ale bardzo się polubili. Myślała nawet, że to mogła być prawdziwa miłość. Że nie będzie już więcej szukać rycerza na białym koniu. Miły chłopak był z niego. Pamiętała, jak go pożegnała poprzedniego dnia, kiedy wychodził na nocną zmianę. Nie wiedziała wtedy, że już więcej nie zobaczy go żywego. Gdyby wiedziała, toby go nie puściła. I byłby teraz żywy. Cały i zdrowy. Ale poszedł i bandyta przestrelił mu płuca na tym głupim posterunku.

Kryśka była bardziej opanowana. Ale do cholery, to był jej kuzyn! Dobry chłopak. Swój. To ona załatwiła mu pracę. Cieszył się, bo to było coś pewnego, wreszcie własnego i z przyszłością. I jedyne, co go tam spotkało, to śmierć. Niech ci bandyci zawisną jak najszybciej. Chwyciła płaczącą Hankę w ramiona i mocno przytuliła do piersi. Gdyby ten bandyta z lasu trafił w jej ręce, oberwałaby mu jaja i kazała je zeżreć. Albo poderżnęła gardło. Tak. Krystyna miała wyobraźnię, choć nie umiała jej przelać na papier.

Otarła przyjaciółce łzy i odgarnęła włosy z czoła.

– Oni za to zapłacą – zapewniła. – Zobaczysz. Chodź, pójdziemy do mnie. Nie powinnaś być sama.

Jej córka Magda znów gdzieś przepadła po szkole, co akurat tego dnia było Kryśce na rękę. Pocieszenie Hanki powinno odbywać się na osobności. Dzieci nie powinny tego oglądać, co to tego Kryśka nie miała najmniejszych wątpliwości.

*

Michalinę znów wezwał Kapuśniak. Ręce jej się trzęsły, kiedy stała przed jego gabinetem, więc schowała je do kieszeni szarej trapezowej spódnicy.

Gdzie się podziała twoja pewność siebie, żelazna Michaśko? Gdzie twój zapał, gdzie twoja siła?, zastanawiała się. Czego znów chce ten gbur? Przecież wywiązała się z obowiązków wzorowo. Liczba plakatów szkalujących wrogów systemu rosła z dnia na dzień. Przewyższała zakładane limity. Plakaty były coraz bardziej ostre, zjadliwe i agresywne. Kryśka Balcer może nie umiała rysować, ale odnalazła się w roli twórcy haseł. Również kierowane przez Michalinę inspekcje w terenie dawały świetne wyniki – propaganda w szkołach, ośrodkach wychowawczych i na terenach wiejskich wręcz kwitła. Przygotowania do referendum postępowały zgodnie z wytycznymi. O co więc tym razem chodziło Kapuśniakowi?

Wykonywała kawał roboty w tym urzędzie i zdawała sobie z tego sprawę. Zebrała się na odwagę i zapukała.

– Melduję, towarzyszu, że zleczone plakaty zostały wykonane w najlepszy sposób... Rewiry regularnie wizytuję. Przygotowania do referendum idą pełną parą... – mówiła na jednym wdechu. – Materiały

informacyjne na kolektywy są opracowane... Organizacja pogadanek i uroczystości szkolnych przeszła sprawnie, to zasługa udanej współpracy z wydziałem szkolnictwa i obywatelką Starakową...

– Spokojnie, towarzysko – przerwał jej Kapuśniak. – Problem jest innej natury.

Młasnął i zaczął oglądać sobie paznokcie. Michalina miała sztywny kręgosłup i tak spiętą z nerwów szyję, że nie mogła ruszyć głową. Co tym razem wymyślił? Odczekał chwilę, by dać jej czas do namysłu. Wreszcie spojrzął na nią – jak się jej zdawało – pełnym zrozumienia i współczucia wzrokiem, po czym łaskawie kontynuował wywód.

– Doniesiono mi, że towarzyska zajmuje się w urzędzie głównie dzieckiem. Że tu jakieś dziecko z towarzyską przebywa – perorował. – Tak nie może być, obywatelko – uśmiechnął się jowialnie. Wyglądał teraz jak dobrotliwy dziadek. – Chyba obywatelka się ze mną zgodzi, że miejsce dziecka jest w domu? Co? – Zrobił wymowną pauzę, a Michalinie zaschło w gardle. – No, to skończyliśmy. Kazać nic nie mogę, po dobroci radzę, obywatelko. Teraz może towarzyska iść.

Michalina opuściła gabinet na miękkich nogach. Kiedy schodziła po schodach, miała wrażenie, że za wyłomem korytarza Kryśka Balcer szczyrzy zęby w złośliwym uśmiechu triumfu.

Wyszła na dziedziniec, przymknęła oczy i oparła się plecami o zimny mur. W ustach jej zaschło. Zapra gnęła znaleźć się u Gołąbka. Z Basią. Natychmiast. W domu pod miastem, pełnym ciszy i spokoju. Tak, robi sobie i Basi przeprowadzkę. Idzie lato, piękne i kwitnące. Musi odpocząć. To nie może tak wyglądać. Wszyscy wiedzą, że Gołąbek i Michalina są kochankami. Zrozumieją, kiedy u niego zamieszka.

Następnego dnia poszła do Kapuśniaka. W ręku trzymała stosowne dokumenty.

– Nie będziecie dziś przemawiać, towarzysko? – spytał z udawanym żalem.

– Towarzyszu, napisałam wniosek o przeniesienie do wydziału szkolnictwa na szeregowe stanowisko – wyjaśniła. – Chcę się zająć pracą organizacyjną.

Cmoknął i patrzył na nią chytrze.

– Prośbę swoją motywuję tym, że – jak towarzysz słusznie zauważył – chciałabym poświęcić się bardziej życiu rodzinnemu.

– Żałuję, towarzyszeko, ale rozumiem – zapewnił Kapuśniak. – Przemówienia towarzyski były płomiennie i pełne zaangażowania. Ceniliśmy waszą pracę, towarzyszeko.

Jednak musiał przyznać, że efekty pracy Michaliny, jeśli chodzi o organizację i planowanie wydarzeń kulturalno-naukowych też mogą być imponujące.

I tak to wyszło. Udało jej się niemal bezboleśnie wykręcić z pracy w propagandzie oraz z wygłaszania tych płomiennych przemówień, które coraz bardziej ją męczyły. Od czasu koszarnej sceny w magazynie nie dałaby rady wygłosić pogadanki w sposób, jakiego od niej oczekiwano. Zawładnęła nią niemoc, której nie rozumiała, a może wolała nie rozumieć. Czowała się wypalona, a jednocześnie wolna, radosna i... ludzka. Pełna uczuć i troski o najbliższych.

Stanisława miała zamieszkać z nimi w domu Gołąbka pod Łodzią i opiekować się Basią podczas nieobecności Michaliny. Czekali ich wspólne lato na wsi.

Przeprowadzka była podyktowana także jeszcze inną praktyczną sprawą. Otóż jedna ze współlokatorek Michaliny uprzejmie doniosła partyjnej górze, że po mieszkaniu Michaliny przewija się „podejrzany element” w postaci jakiejś kobiety ze wsi, której gęba się nie zamyka. No i prowiant ze wsi przynosi – donosiła zaniepokojona współlokatorka – którym nie chce się dzielić z wprawdzie małym, ale prężnym i jakże zaangażowanym w pracę socjalistyczną, kolektywem zamieszkującym budynek.

Michalina podejrzewała Starakową, z którą Stanisława nie chciała podzielić się jajami przywiezionymi ze wsi dla Michaliny i Basi. Ba! Nawet nie zgodziła się jej tych jaj sprzedać. I to było nierozsądne posunięcie, jak się okazało. Zresztą i tak prędzej czy później ktoś by doniósł. Za dużo obcych mieszkało tam pod jednym dachem, za dużo obcych chodziło tymi samymi schodami i otwierało tę samą furtkę.

W domu pod lasem miało być inaczej.

ROZDZIAŁ 12

TERAZ

DOROTA

Znów siedziała u ojca w gabinecie i znów pochylali się nad teczkami od Langerera. Mówiła ojcu o tym, że tuż po wojnie w willi po Scheerach mieszkali ludzie tworzący patchworkową rodzinę, którzy starali się żyć normalnie. Dodała, że wciąż nie wie, co dokładnie się tam wydarzyło pewnego wrześnieowego dnia, kiedy w szopie wybuchł pożar, a w domu strzelanina.

– A może nie było żadnej strzelaniny? – rzuciła.

Pomyślała, że fajnie by było móc dopisać do historii Michaliny Starskiej pozytywne zakończenie, jednak pewnie okaże się to mało prawdopodobne.

– Znalazłam informacje o dziewczynce, która zamieszkała z Michaliną – kontynuowała. – Skontaktowała się ze mną emerytowana nauczycielka, wiekowa pani, która uczyła Basię tuż po wojnie. To było biedne dziecko. Straciła na wojnie rodziców, potem przeszła przez kilka domów dziecka. Najpierw w Kaliszu. Tam była świadkiem, jak jej koleżanka z pokoju powiesiła się na sznurze od bielizny...

Kątem oka zobaczyła, że ojciec jest wstrząśnięty. Ta historia również na nim zrobiła wrażenie.

– Potem Basię wzięła z domu dziecka Michalina Starska. Takie adopcje były wtedy częste. Zamieszkały w domu pod Łodzią późną wiosną albo wczesnym latem. Tak wynika ze zdjęć umieszczonych w teczce, a poza tym Starska została wtedy przeniesiona na własną prośbę do innego wydziału – tłumaczyła ojcu. – Wygląda na to, że Michalina nie chciała już pracować w propagandzie. Może zdążyła poznać się na systemie. I nie chciała już brać w tym udziału – snuła domysły. – Tak jak dziadkowie. Jak twoi rodzice.

Ostatnie zdanie zawisło w powietrzu. Dorota liczyła, że Radomir będzie potakiwał, zgadzał się z nią, ale on posępnie milczał.

– Znalazłam podanie Michaliny o przeniesienie. Jest tam podany powód prośby. Wprost napisała, że chce mieć więcej czasu dla dziecka. – Zerknęła na ojca. – Wygląda na to, że naprawdę zżyła się ze swoją podopieczną. Szukam informacji o tej małej. Liczę na to, że jeszcze żyje. Byłaby teraz starszą panią.

Nagle przypomniała sobie, po co właściwie przyszła. Tak się wciągnęła w referowanie ostatnich odkryć, że zapomniała o celu swojej wizyty. Zaczęła przekładać papiery.

– Langer powiedział, że w teczce był dokument dotyczący tej strzelaniny. Ponoć dziewczynka przeżyła. I było tam napisane, kto strzelał.

Radomir aż się skulił w fotelu, jakby dostał cios w brzuch.

– Nie znalazłam tej kartki w teczce ani nie mam jej w domu – ciągnęła Dorota. – Może ty ją widziałeś?

Zastanawiał się, jak rozegrać przedstawienie ze zgubioną kartką, którą sam ukrył, i nagle odnaleźć zgubę, która niby przypadkiem wpadła pod jego biurko. Po krótkim namyśle uznał, że tak właśnie zrobi. Dla dobra ich obojga.

– Poczekaj, niech no spojrzę. – Otwierał jedną szufladę biurka po drugiej. – Może faktycznie się zapodziała...

Wiedział, że to żalosne, takie udawane szukanie kartki, którą własnoręcznie ukrył pod stertą gazet w dolnej szufladzie, obok starej legitymacji partyjnej ojca.

– Podaj mi, proszę, okulary. – Wskazał szafkę obok drzwi, co miało odciągnąć uwagę Doroty.

Wstała i odwróciła się, a wtedy on wsunął pod regał kartkę z opisem strzelaniny. Teatralnym gestem założył okulary, które podała mu córka, i schylił się, by sprawdzić podłogę. Zajrzał pod dywan i komodę. Wytrwale grzebał pod regałem z książkami, a do palców przywarł mu kurz. Nie byłby zdziwiony, gdyby za karę palce pożarł mu jakiś potwór kryjący się pod szafką, choćby szczur. W pewnym metaforycznym sensie tak się właśnie działo. Wreszcie to wyciągnął.

Dorota spojrzała na ojca i już wiedziała. On tej kartki wcale nie zgubił! Odegrał przed nią przedstawienie, które miało jeden cel: znowu chciał

ukryć przed nią prawdę.

*

Czytała rzekomo zagubiony dokument. Zawierał listę funkcjonariuszy państwowych, którzy wzięli udział w strzelaninie. Przecierała oczy ze zdumienia.

– Dobra – podsumowała. – Część znowu jest po rosyjsku. Musisz mi przetłumaczyć.

Radomir westchnął ciężko. To były psychiczne tortury.

Kartka zawierała dane funkcjonariuszy obecnych w willi tamtego dnia. Ktoś napisał ołówkiem numer sprawy w dalszych aktach. Radomir drżącym głosem odczytał treść. W pewnym momencie wymienił nazwisko swojego ojca i jego datę urodzenia.

– Co ty czytasz? – przerwała mu Dorota gorączkowo. – To dziadek...

– Czytam to, co jest tu napisane – wycedził, po czym wziął głęboki oddech. – Twój dziadek był jednym z funkcjonariuszy wysłanych na tę akcję – kontynuował już spokojniej. – Nie został ranny. Wszedł z tego bez szwanku. Tak napisano.

Dorota patrzyła na niego zszokowana.

– To naprawdę on?

– A kto inny? – Radomir znów się uniósł. – Mówiłem ci przecież, że mój ojciec w tamtym czasie pracował w urzędzie.

– Ale nie mówiłeś, że brał udział w takich akcjach...

Pełnym obrzydzenia gestem odsunęła akta.

– Mówiłeś, że dziadek krótko pracował w jakimś biurze. I że miał prostą papierkową robotę! – podniosła głos. – A on biegał z bronią na akcje w terenie.

Radomir chrząknął.

– Wierz mi, dla mnie to też jest zaskoczenie.

Jednak nie wyglądał na zaskoczonego. A scenę szukania kartki odegrał wręcz zawodowo! Dorota w myślach policzyła do dziesięciu, by opanować nerwy.

– Nie wiem, komu mogę ufać! – Rzuciła papiery na biurko, część z nich spadła na podłogę. – Czy ty wiesz, że napisałam już prawie całą powieść? O tym domu, o jego dawnych mieszkańcach, o dzielnych ludziach, którzy starali się żyć normalnie pomimo strasznych czasów. I wyszła fajna, optymistyczna powieść. Jak mam to dalej ciągnąć? Oni się tam wszyscy wystrzelali, a teraz dowiaduję się, że strzelał do nich mój własny dziadek!

– Mówisz, jakby to była moja wina – rzucił Radomir ostrzejszym tonem. – A nie jest. Ja też nie wiedziałem, że dziadek brał udział w takich akcjach...

Spojrzała na ojca łagodniej.

– Masz rację. Zresztą, czy ta wiedza coś zmienia? Zapamiętam dziadka takim, jakim dla mnie był. Fajnym starszym panem, który lubił łowić ryby i gotował pyszną grochówkę.

Zapanowała cisza, ciężka i niewygodna. Każde z nich zastanawiało się, czy zdołają kiedyś zapomnieć o najnowszym rodzinnym odkryciu.

– Pewnie potrzeba więcej czasu, żeby to przemyśleć i zaakceptować – powiedziała w końcu Dorota. – Ale będzie dobrze. Masz rację, to przecież niczego nie zmienia.

Radomir odetchnął z ulgą. Miał mądrą córkę i był z niej dumny. Z pewnym zaskoczeniem zauważył, że w kwestii przeszłości dziadka ona ma prostsze i łagodniejsze podejście niż on. I dobrze, niech młodzież idzie do przodu, a nie ciągle rozdrapuje stare rany i szuka winnych.

– Skończysz tę książkę? – zapytał.

– Nie wiem... – Wzruszyła ramionami. – Zleceniodawca wyjechał. Odkrył coś, co mu się nie spodobało. I nie chodzi o teczki.

– Skoro zaczęłaś, to kontynuuj – poradził jej Radomir.

– To bez sensu, jeśli on nie będzie chciał opłacać moich badań.

– Cofnął dotacje?!

– Nie. Ale czuję, że coś się zmieniło. Bo przestał się odzywać.

– Pewnie ma dużo pracy... – Radomir szukał racjonalnego wytłumaczenia.

– Wydaje mi się, że on już wie, kim byli biologiczni rodzice Christine. Ostatnio wspominał, że na tym właśnie się skupił.

– To chyba dobra wiadomość?

Zaśmiała się z przymusem.

– Być może. Tylko dlaczego mi o tym nie powie? Napisałam mu maila w tej sprawie. Nie odpowiedział. Wysłałam esemesa. Bez odzewu. A telefonu nie odebrał. Dosłownie zapadł się pod ziemię!

– Grunt, że ci płaci – pocieszał córkę Radomir. – A ty rób swoje.

Dorota westchnęła. Niczego już nie była pewna.

Zżyła się z bohaterami tej historii, z władczą Michaliną, z majorem Gołąbkim, jego ojcem, nawet ze Stanisławą. A zwłaszcza z Basią. Wyobrażała sobie ich życie, starała się podążać ich śladami, poznać ich pragnienia, marzenia i sny. Pisała o nich książkę, która była wypadkową jej własnych wyobrażeń oraz historycznych danych. Prawie tę książkę napisała. Ale wciąż nie miała zakończenia. Chciałaby napisać, że nowi mieszkańcy willi żyli razem w pięknym ogrodzie pod gruszą, kochali się i szanowali. Budowali na nowo to, co zniszczyły czas i okoliczności. Bo przecież mogło tak być, prawda?

Niestety tak nie było. Czego dowodem była odnaleziona przez ojca kartka. Teraz Dorotę czekało złożenie kolejnego wniosku o wydanie akt. Miała już przynajmniej numer i nie musiała szukać po omacku. Spodziewała się znaleźć odpowiedź na pytanie, jak przebiegły wydarzenia tamtego dnia. A także, a może przede wszystkim – kto wtedy stracił życie.

ROZDZIAŁ 13

KIEDYŚ

LATO POD GRUSZĄ

Nadeszło gorące i parne lato. Żar lał się z nieba, ale Michalinie to pasowało. Aura sprawiała, że ich przeprowadzka do willi Gołąbka zdawała się nierzeczywista, spowita drgającym od upału powietrzem i nasycona głęboką ciszą, w której dało się słyszeć trzepot motyli skrzydeł. Początkowe plany, by stacjonowali tutaj żołnierze pobierający nauki w pobliskiej szkole partyjnej, nie zostały zrealizowane. Dom okazał się za mały dla większej grupy słuchaczy. Na obrzeżach Łodzi, bardziej na wschód, w okolicach Andrzejowa, znaleziono budynki lepiej przystosowane do powyższych celów i tam skierowano słuchaczy oraz pracowników szkoły dla kadr.

Michalina i Basia zabrały z domu jedynie najpotrzebniejsze rzeczy, bowiem we wrześniu miały wrócić do miasta. Zająły pokoje obok siebie, na piętrze, z oknami wychodzącymi na podwórze i ogród. Roztaczał się tam piękny widok na pola i las na horyzoncie. Zieleń, cisza i spokój. Czuli się jak w bajce.

Pogoda była piękna. Basia biegała po obejściu rozpromieniona, oglądały z Michaliną sad pełen starych jabłoni i grusz, podziwiały zaniedbane rabatki kwiatowe, gdzie zachowały się pnącza dziko kwitnących róż. Miejsce zostało opuszczone przez poprzednich właścicieli najwyżej parę lat wcześniej. Nie zdążyło zarosnąć i nadal było widać przebłyski dawnego piękna. Ktoś dbał o ten ogród, co do tego nie było wątpliwości. Postanowiły wraz z gospożą, że doprowadzą obejście do porządku. Gołąbek zetnie im kosą trawę, Stanisława przyniesie od siebie nasiona i sadzonki, a one zrobią sobie warzywny ogródek.

– Teraz nie pora sadzić warzywa, za późno! – mówiła Stanisława. – Nie wyrosną.

– Wyrosną, wyrosną, pani Stasiu. – Michalina już schylała się do pielenia.

Zapałem nadrabiała brak umiejętności. Nigdy nie miała ogrodu. Pory roku w sadownictwie były jej kompletnie obce. Przez większość swojej młodości oglądała przez okno szary mur tylnej ściany innej kamienicy. Gołębia szarość tynku, głęboka szarość rozdeptanego błota na podwórzu, blada szarość twarzy ludzi wymęczonych pracą w fabryce, z wgrzyzionym w skórę pyłem z kominów. Tyle odcieni szarości! Kiedyś miała wrażenie, że jej oczy nie są w stanie rejestrować innych barw. Dlatego tak pokochała sztukę, te obrazy pełne koloru, kształtu, innych światów, innej rzeczywistości – czyszcząc szare sadze z kominków hrabiostwa i zmywając szare smugi błota z posadzek, które zostawiały pańskie buty do polowania, chłonęła inny świat.

Potem poznawała odcienie czerwieni. Czerwień radzieckich flag, czerwień flagi polskiej, czerwień przekrwionych oczu oficerów z bratniego kraju. Napełnianie serc ludzi płomiennymi przemowami... rozpalanie żaru w ich duszach i podgrzewanie atmosfery do wspólnej walki. A teraz nadeszła dla niej era zieleni. Ten właśnie kolor królował w tym zapuszczonym ogrodzie.

– Ciociu, czy mogę mieć kury?! – Basia podbiegła do niej z nowym pomysłem.

– Skąd ty weźmiesz kury, dziecko? – zdumiała się Michalina.

Podniosła się z klęczek i podziwiała efekt swojej pracy – wypieloną rabatkę z dzikimi różami.

– Stanisława mówiła, że da nam kilka kurczaczków. – Basia podskakiwała z emocji.

Nabrała zdrowych rumieńców. Jakby nowe życie w nią wstąpiło, taka była pełna radości.

– Skoro tak... – zgodziła się Michalina.

Kątem oka zerknęła na Stanisławę, która uśmiechała się przebiegle, szykując posiłek na ogrodowym stole. Postawiła na nim zastawę po dawnych właścicielach, którą znalazła w zakurzonej, ale dobrze zaopatrzonej kuchennej kredensie. Wzięła sobie wcześniej bez pytania kilka talerzy i mały zestaw sztućców. A co! Oni aż tylu naczyń tu nie potrzebują, a ja mam dużą rodzinę, to mi się nada, pomyślała. W zamian dam te kurczaki, wykoncypowała dla uspokojenia sumienia.

– Będziemy mieli własne jajka – wyjaśniła. – A dziecko się czymś zajmie. – Podeszła do Basi i żartobliwie zwichrzyła jej czuprynę. – Nauczę cię dbać o kury.

Świetnie się dogadywały. Dziewczynka chętnie słuchała opowieści pani Stasi, lubiła spędzać czas w jej towarzystwie, wspólnie szykować obiad i sprzątać obejście.

Michalina była z tego powodu zadowolona, ponadto czytała ostatnio okólniki i zalecenia przygotowane na potrzeby wydziału opieki nad dzieckiem. Wynikało z nich, że dobrym pomysłem na resocjalizację sierot wojennych jest praca fizyczna polegająca na pielęgnacji ogrodu albo pomocy w prowadzeniu domu. Były to często elementy wprowadzane w domach dziecka oraz innych instytucjach opiekuńczych, które pomagały najmłodszym zapomnieć o okrucieństwach wojny i powrócić do społeczeństwa.

– Tu trzeba będzie płot wygrodzić. – Stanisława wskazała róg warzywnika. – Albo tamten ponaprawiać. – Skinęła na resztki ogrodzenia pod lasem. – Bo nam puciekają kurki nasze złote! Albo lis jaki je wychapie w nocy. O!

Wspólnym zarządzeniem trzech panujących w tym domu kobiet major Gołąbek jeszcze tego dnia wykopał doły pod słupki na płot i zbijał co lepsze deski, odbudowując ogrodzenie.

A już rano przybyły kurczaczki, malutkie, żółciutkie, piękniutki. Basi aż oczy rozbłysły z zachwytu. Umieściły je w dużej skrzynce, zanim trochę nie podrosną. Stanisława uczyła dziewczynkę opieki nad zwierzątkami.

– Ziarna ci przyniosłam, w tym worku, trzymaj. – Podała dziecku i oceniła: – Ty nie jesteś wsiowa. To widać.

Michalinie natomiast pokazała, jak siać i sadzić warzywa.

– Spróbujemy z burakami, może co z nich będzie – poradziła. – Tu niezła ziemia jest, ja widzę.

Michalina była zachwycona efektami. Słusznie napisali w raportach – praca w ogrodzie dawała wytchnienie i satysfakcję. Któregoś razu wykarczowała gołymi rękami wielki kawał ziemi porośniętej perzem. Była zmęczona, czarna od ziemi, ale szczęśliwa.

– Pani idzie już, koniec na dziś! – Stanisława trzepnęła ścierką nad jej głową.

Wyrosła nie wiadomo skąd na polu, gdzie Michalina na kolanach zapamiętała dłubała w ziemi.

– Pani się zarobi! Kobieto! Już, idzie pani na kompot. Zrobiliśmy z Baśką.

Spojrzała przypadkiem na wystające spod zadartej koszuli plecy Michaliny i dojrzała tam kilka różowych pręg. Zagojone ślady po solidnym pobiciu.

– Ojej, a co to? – wypaliła i dopiero potem ugryzła się w język.

Michalina wzdrygnęła się i zasłoniła plecy. Miała takich śladów więcej, w różnych miejscach. Pamiątka po Andrieju. Wymazała to z pamięci. Zastąpiła nową historią. Z ciała jak widać, wymazać się nie dało.

– Stare dzieje – skwitowała. – Zagojone.

Po czym przeszły obie do stołu w ogrodzie. Kompot wyszedł przepyszny. Chociaż jabłka, z których go zrobiły, pochodziły ze starych zapasów, z poprzedniego roku, znalezione w skrzynce w budynku gospodarczym, zeschnięte już i pomarszczone.

Część pomieszczeń Michalina przeznaczyła na magazyn dla swoich ocalonych dzieł sztuki, ale ostatnio nie dołączyła do kolekcji żadnego eksponatu. Nie miała już w sobie tej radości, która wcześniej towarzyszyła jej podczas zbierania trofeów. Zapał uleciał i nawet nie była pewna, kiedy to się stało. Czy wówczas, gdy pijani oficjele pluli na obrazy w magazynie, czy wtedy, gdy Basia z czułością opowiadała o rysunkach Eli. Tak czy inaczej, Michalina zmieniła podejście i teraz balansowała między obrzydzeniem a niechęcią, kiedy patrzyła na swoje gromadzone z wielkim poświęceniem dzieła. Do niczego nie były jej potrzebne. Zdawały się wyzute z wartości. Poza tym skończyły się akcje zbierania dóbr w terenie. Majątki ziemskie odebrano tym, którym miano je odebrać, i rozparcelowano ziemię wśród małorolnych. Budynki przekształcono w szkoły i inne instytucje powszechnego użytku. Odwróciła płótna tyłem do ściany, zakryła prześcieradłem i zostawiła w szopie.

Energię poświęcała teraz na inne rzeczy. Poza tym, że pielęgnowała ogród, zbliżała się do momentu, w którym chciała dowiedzieć się więcej o rodzinie Basi. Dotąd nie poruszały tego tematu, poza tym razem, kiedy dziewczynka ukryła w szkolnej szafie sznury znalezione w pralni. Temat zdawał się niewygodny, trudny... Michalina nie chciała być nachalna, nie chciała rozdrapywać ran, starała się też wybrać odpowiedni moment. I ten moment właśnie nadchodził, czuła to.

Wyszło całkiem naturalnie. Siedziały w sadzie pod gruszą i piły kompot. Michalina zebrała się na odwagę i zadała pytanie, z którym nosiła się od dawna.

– Posłuchaj, Basiu... – Nachyliła się do dziewczynki. – Powiedz mi, to jest bardzo ważne... Powinnam zapytać o to wcześniej, ale... bałam się, że to może być dla ciebie trudne. Chciałabym wiedzieć, czy ty masz jakichś bliskich. – Głos uwiązł jej w gardle. – Bo jeśli tak, jeśli gdzieś może być twoja rodzina, nawet ta dalsza... To ja zacznę jej szukać. Tylko musisz mi powiedzieć najwięcej jak się da.

Trudno jej było patrzeć Basi prosto w oczy, więc skierowała wzrok na skrzynkę z kurczaczkami. Podskakiwały radośnie, a ich żółte łebki złociły się na tle szarej ściany domu.

Basia zbladła i zapadła się w sobie.

– Ja nie mam rodziny – bąknęła.

– Nikogo? – Michalina poczuła, jak stare pręgi po mężowskim laniu pałą ją żywym ogniem. Dziwne odczucie. Pierwsze tego rodzaju od dawna. Myślała, że to cholerstwo naprawdę się wygoiło.

Dziewczynka pokręciła głową.

– A wujkowie i ciocie? – dopytywała Michalina.

Basia nadal kręciła głową. Mogła nie pamiętać dalszych członków rodziny. Od pięciu lat poniewierała się w różnych miejscach.

– Zapomniałam... – odparła, potwierdzając przypuszczenia Michaliny.

Na tę myśl Michalinę zakłuło w sercu. Co ona sobie myślała, biorąc Basię z domu dziecka? Że może zabrać sobie dowolne dziecko ot tak, zając się nim wedle własnego widzimisię i odciąć od przeszłości? Czemu od razu nie założyła, że ktoś za Basią tęskni i jej szuka? Teraz te wszystkie pytania naparły na nią z całą mocą. Nie tłumaczyło jej to, że

Basia prosiła, by ją zabrała z sierocińca. Rodzice nie żyli – tak napisano w dokumentach i Michalina przyjęła za pewnik, że informacje zostały sprawdzone. Ale mógł żyć ktoś z dalszej rodziny dziewczynki. I należało tej osoby poszukać.

Długą chwilę siedziały w milczeniu, a wokół dzbanka z kompotem krążyły osy.

– Proszę pani – powiedziała Basia. – Oni szukali rodzin. Po mnie nie przyszli. Ja nie mam rodziny.

Michalinie łzy stanęły w oczach. Nie dziwiła się już sobie, że chciała jak najdłużej uniknąć podobnych scen.

– To jest moja rodzina. – Basia zatoczyła ręką wokół. – To jest teraz mój dom. Nie chcę innego.

Michalina poczuła ulgę. Zrobiła, co mogła. Spełniła swój obowiązek. Resztę dnia spędziły na pieleniu grządki pod sałatę.

*

Wtedy okazało się, że zamieszka z nimi ktoś jeszcze.

– On sobie nie poradzi sam – oznajmił major. – Nie mamy wyboru.

Opowiedział Michalinie o tym, jak ostatnio zachowywał się jego ojciec.

– Trzeba go mieć na oku. Nie wie, co mówi, wałęsa się po mieście... Stracił trzeźwy osąd sytuacji... – Gołąbkowi to wyznanie z trudem przeszło przez gardło.

Czuł smutek i niemoc. Wielokrotnie powtarzał sobie, że to nie czas na sentymenty. Uczuciowość to przeszkoda na drodze do osiągnięcia celu, a poza tym usypia czujność. Dotąd chlubił się tym, że potrafił odsunąć na bok prywatne rozterki i dylematy.

Tym razem to Michalina wykazała się ostrożnością.

– A czy go upilnujemy? – zapytała. – Może stąd wyjść, kiedy chce, i narobić kłopotów.

– Nie wyjdzie. On wychodzi, kiedy jest sam.

– A jeśli nie zdołamy go upilnować? Jeżeli zrobi sobie krzywdę? Albo Basi... – przełękła się.

– Nie zrobi nikomu krzywdy. Nie jest agresywny.

– Mam nadzieję. Basia potrzebuje spokoju.

Major zapalił kolejnego papierosa.

– Mój ojciec też – wymamrotał przez zaciśnięte zęby.

Michalina westchnęła.

– Już dobrze... Zaopiekujemy się i twoim tatą. Zrobię, co będę mogła
– obiecała i objęła go z nieoczekiwaną czułością.

Major w pierwszej chwili niechętnie poddał się uściskowi. Ostatnio miewał wyrzuty sumienia, że okłamuje Michalinę i wykorzystuje do swoich celów. Kiedy pracowała w propagandzie, była dla niego cennym źródłem informacji, które umiejętnie z niej wyciągał, a ona sądziła, że mówi mu to wszystko z własnej inicjatywy. Ale kiedy zrezygnowała ze stanowiska, dzięki któremu miała dostęp do tajnych danych, opowiadała mu głównie o duperelach związanych z organizacją szkół, a zamiast osób odgrywających istotne role w urzędzie widywała głównie nauczycielki i szkolne intendentki.

Szykowała posiłki, gotowała obiady, zdarzało jej się zrobić majorowi kanapki do pracy. Ustępowała mu coraz częściej. A może zawsze tak było, tylko wcześniej wydawało jej się, że to ona sprawuje władzę. Po przeniesieniu miała mniej stresującą pracę. Została szeregowym pracownikiem i było jej z tym dobrze. Organizowała właśnie kurs ideowo-wychowawczy dla nauczycieli. Nadal wierzyła w ideę pracy u podstaw i propagowała potrzebę kształcenia mas w duchu nowego oświecenia. Coraz dalsza była jednak od twardej polityki.

Do pracy docierała tramwajem, jadącym do Łodzi z Ozorkowa. Linię uruchomiono w styczniu 1945 roku, stało się to błyskawicznie dzięki staraniom tramwajarzy, którzy z chęcią podjęli współpracę z nową władzą. Do przystanku miała wprawdzie ponad dwa kilometry, ale dla Michaliny to nie stanowiło problemu. Z ulgą myślała, że Alfred tej odległości by nie przeszedł, więc po mieście raczej nie będzie już się wałęsał.

Gołąbka dziwiła obojętność Michaliny wobec gromadzonych wcześniej z takim zapamiętaniem dzieł sztuki. Za to wyeksponowała i oprawiła w ramki kilka prostych rysunków ołówkiem, wykonanych przez dziecko, zapewne przez Basię. Tak sądził, bo wielokrotnie

opowiadała mu o talencie dziewczynki, choć sam nigdy nie widział jej podopiecznej z ołówkiem ani kredką w dłoni. Najchętniej przebywała w ogrodzie, przy roślinach, wśród zwierząt i w kuchni.

Początkowo nie podobał mu się pomysł, żeby Michalina z Basią wprowadziły się do jego domu. Z pewnością by na niego nie przystał, ale już wtedy spodziewał się kłopotów z ojcem i zdał sobie sprawę, że będzie musiał z nim zamieszkać. Obiecywał sobie, że weźmie udział jeszcze w kilku akcjach, jeszcze kilka spraw dokończy, a potem potajemnie wyjedzie z Polski.

Tylko ten Alfred... Jak mógłby zostawić staruszka samego?

Major poszedł do drewnutni, która stała w głębi podwórza. Tak jak się spodziewał, znalazł tam sporo szczapek drewna. Wziął kilka pod pachę i wrócił na podwórze, gdzie Michalina cesała Basi włosy. Obie coś podśpiewywały. Za ich plecami to samo nuciła Stanisława, która wieszala pranie.

Major położył drewno na ławce przed domem i spojrzał w szare oczy Michaliny, tak tego dnia łagodne i pełne marzeń.

– Ojciec był snyczerem – wyjaśnił. – Damy mu robotę, to się stąd nie ruszy.

Michalina skinęła głową na znak, że usłyszała, nie przerwała jednak śpiewania i zaplatania długich warkoczy Basi.

W promieniach ciepłego zachodzącego słońca naprawdę przypominali szczęśliwą rodzinę, a Michalina i Basia wyglądały jak matka i córka, spojone tym samym światłem, które leniwie rozmywało kontury i zacierało różnice.

Wieczorem Michalina przygotowała dziewczynkę na pojawienie się nowego domownika.

– Zamieszka z nami pewien starszy pan – tłumaczyła. – Pan Alfred jest chory. Czasem mówi dziwne rzeczy, ale to miły człowiek – przekonywała, chociaż nigdy nie widziała staruszka na oczy. – Nie jest groźny. Nie trzeba się go bać. Poznałaś swojego dziadka, Basiu? Bo ja swoich nie...

Podobne wprowadzenie zrobiła też Stanisławie.

– Będzie nam się dobrze mieszkać, jestem o tym przekonana. Tylko nie trzeba słuchać, co mówi pan Alfred...

Kolejnego dnia major zaprowadził ojca do ogrodu. Powoli szedł z nim pod rękę, a w jego gestach dawało się dostrzec troskę. Wychudzony i zarośnięty Alfred garbił się i powłóczył nogami. W ostatnich miesiącach bardzo się postarzał, a jeszcze niedawno był człowiekiem pełnym werwy, towarzyskim i pomysłowym. I te właśnie cechy teraz najbardziej utrudniały staruszkowi życie.

Pomimo lekko zgarbionej sylwetki i znoszonego stroju Alfred pozostał mężczyzną dumnym i szarmanckim. Ledwie przeszedł przez furtkę, a już przywitał się z domownikami.

– Miło mi poznać, szanowni państwo, piękne damy... – Alfred wyszarpnął się majorowi i ukłonił zebranym: kobiecie ze wsi, dziesięcioletniej dziewczynce z grubymi warkoczami i wyprostowanej jak struna pani w średnim wieku.

Przypatrywały mu się z pewną rezerwą, ale również z sympatią. Nowo przybyły zdjął nadgryziony zębem czasu kapelusz – którego rondo miało dziurę w kształcie wielkich zębów.

– Młoda damo! Aleś ty wyrosła! – wykrzyknął na widok Basi. – Ostatnio widziałem cię chyba na chrzcie kuzynki Heni, czyż nie? – Puścił oko do majora. – Mój bracie, gratuluję ci rodziny! Spełniłeś swoje marzenie. Piękna żona i równie piękna córka! Gratulacje!

Major westchnął. Tym razem został obsadzony w roli własnego stryja. Poprzednio Alfred wziął go za swojego ojca, potem za kuzyna, kiedy indziej za teścia... Ojciec brał go tylko nie za syna. Sytuacja, kiedy ojciec mylił go z jakimś członkiem rodziny, była jedną z lepszych opcji. Jeśli Alfred miał zły humor lub gorszy dzień, widział w synu jakiegoś swojego oprawcę z przeszłości, a w każdym razie oponenta. Złego sąsiada, nieuczciwego sprzedawcę, podstępного złodzieja lub nawet szpiega obcych mocarstw. To ostatnie było szczególnie niebezpieczne, bo mimo całego absurdu związanego z większością twierdzeń Alfreda jednak zgodne z prawdą.

A zresztą, czym jest prawda – łapał się czasem na tym pytaniu major Gołabek. Jego ojciec był żywym dowodem na to, że prawda jest względna, zależy od chwili i od mówiącego. Czym jest tożsamość?,

pytał siebie w myślach major, kiedy uzupełniał kwestionariusze i rozmaite dokumenty w ramach swojej pracy dla urzędu. Następnie pisał ciąg znaków, które miały rzekomo tworzyć całość określającą człowieka, któremu nadawano przynależność do pewnej grupy. Definiowano go jako „nasz” lub „nie-nasz”, „swój” lub „wróg”. Głupie słowa, myślał wtedy major Gołabek, śmiejąc się w duchu, że on przechytrył ten system. Jest od niego mądrzejszy. Wykracza poza niego. Jest zarówno w rubryce „swój”, jak i w rubryce „wróg”. A jego ojciec to już w ogóle wyszedł poza wszelkie systemy.

– Jak ty masz na imię... – Alfred drapał się po głowie pokrytej białym puchem włosów. – Ach! Już pamiętam. Wybacz. Władzia – oznajmił z triumfalnym uśmiechem.

Basia również się uśmiechnęła. Może być jego bratanicą Władzią.

– Dzień dobry, wujku. – Z łatwością weszła w rolę.

Michalina zmarszczyła brwi, po czym przetarła palcami oczy. Jako jedyna z obecnych zareagowała irytacją, co nie umknęło Alfredowi. Teraz na niej skupił wzrok.

– Źle się czujesz, droga Felicjo? – zapytał z troską. – Błada jesteś. To przez tę pracę przy kominach. Dbaj o siebie. – Wyglądał na autentycznie zmartwionego.

Michalina westchnęła głośno i przyjęła narzuconą jej rolę.

– To prawda. Jestem trochę zmęczona, proszę pa... to znaczy tato – poprawiła się.

Sytuację uratowała Stanisława. Wiedziała, o co chodzi z Alfredem, bo na swojej wsi czasem coś takiego oglądała. Sąsiad zza płotu podobnie zachorował na głowę. A potem jeszcze brat jej dziadka. Znachorów nasprawdzano, felczerów, a sąsiadka to męża nawet do prawdziwego lekarza zabrała. To nie gusła były, nie szatan, to była choroba głowy, która dzieje się niektórym na stare lata, pomyślała teraz. Nauczyła się wtedy z bratem dziadka rozmawiać. On w gruncie rzeczy był potulny jak baranek, tyle zapamiętała. I nigdy nie wiedział, jak ona ma na imię i jakie pokrewieństwo ich łączy. Ale nauczyła się też, żeby takie osoby traktować normalnie.

– A może kompciku, co? – zagadnęła Alfreda. – Właśnie zrobiłam. Wiśnie lubi? Z tego sadu, mnóstwo wiśni. Obrodziły w tym roku.

Rzeczywiście, mieli aż nadmiar tych owoców. Brudziły ręce, twarze, ubrania cierpkim czerwonym sokiem.

– Och, dziękuję! – Alfred z wdzięcznością chwycił szklanę. – Skąd Józefa wie, że w gardle mi zaschło?

I tak to dalej szło. Poznawali się nawzajem. Głównie Alfred każdego dnia poznawał inne osoby. Zawsze jednak łączyły je więzi rodzinne. Potrafił przez godzinę opowiadać o starych dziejach, a przez kolejną godzinę milczał z zaciśniętymi ustami. Wtedy lepiej go było zostawić w spokoju. Czasem powtarzał, mamrocząc pod nosem, obelgi w stronę wyimaginowanego wroga, czasem pomstował na ruskich. A że znajdował wśród słuchaczy zrozumienie – jak mu się zdawało – i absolutny posłuch, szybko kończył swoje tyrady, bo z nikim nie musiał się kłócić.

Major Gołąbek wymyślił, jak ułatwić Alfredowi funkcjonowanie w nowym domu. Zajął go czymś i dawał mu cel każdego dnia. Mianowicie uczynił go ponownie snycerzem. Przyniósł ojcu drewno i potrzebne narzędzia. Staruszek tego jednego nigdy nie zapomniał – wiedział, jak rzeźbić w drewnie, i robił to z przyjemnością. Pozwolono mu ozdabiać prostymi płaskorzeźbami meble znajdujące się w domu. Na nogach kuchennego stołu wyrzeźbił motyw pnących róż, krzesła zyskały motyw kłosów. Z boku kredensu wyciął wzory liści. Pracował w skupieniu i ciszy. Bardzo cieszył się swoją pracą.

Michalina z fascynacją podglądała go podczas pracy. To, co wychodziło spod rąk Alfreda, to nie były arcydzieła. Ręka mu drżała, raz miał więcej cierpliwości, raz mniej. Liczyło się to, że był zajęty. Trzeba mu było tylko wskazać, czym ma się zająć. Podsunąć kolejny mebel albo kawałek drewna.

– A może fujarkę pan zrobisz dla mojego wnuka, co? – podpowiadała Stanisława.

– Którego? Wacka czy Felka? – pytał wtedy wiekowy snycerz, jakby znał wnuków pani Stasi.

– Dla obu! – odpowiadała wieśniaczka, rada, że Alfred będzie miał zajęcie. – Dla obu poproszę. I dla Wacka, i dla Felka. Chłopaki nie będą musiały sobie wyrywać. O!

Potem okazało się, że prace nad fujarką ulegną opóźnieniu, bo artysta snycerz pochrapuje na kocu pod gruszą, a ptaki śpiewają mu do snu radosne trele.

*

Michalina nadal myślała o tym, że powinna poszukać rodziny Basi w spisach stosownych instytucji. Powinna gdzieś Basię zgłosić. Znaleźć miejsce, do którego trafiają zagubione wojenne dzieci i gdzie bliscy mogą je odnaleźć. Ale wtedy Basia najprawdopodobniej z powrotem zamieszkałaby w domu dziecka, czyli tam, gdzie tak bardzo nie chciała być. Michalina nie mogła jej tego zrobić. Mała podopieczna chyba wyczuwała, o czym Michalina rozmyśla, bo powiedziała któregoś popołudnia:

– Gdybym znowu trafiła do domu dziecka, tobym uciekła.

Mówiła to z pełnym przekonaniem. Michalina nie miała wątpliwości, że dziewczynka dotrzymałaby słowa.

– Chce mnie pani oddać? – pytała Basia.

– Oczywiście, że nie chcę cię oddać... – Wiele razy toczyły podobną rozmowę. – Tylko wiesz... zastanawiam, czy... Czy ktoś z twoich bliskich cię nie szuka.

To były trudne rozmowy.

Szły przez miedzę pola obsianego żytem. Żłote kłosa błyszcząły w promieniach zachodzącego słońca. Było ciepło, pięknie, spokojnie.

– Tatuś nas kochał. Mamusia nas kochała. Tatuś miał takie kręcone włosy, takie miękkie jak baranek – snuła Basia swoją opowieść. Niosła w ręku kilka kłósków, skubała je i odrzucała łupiny za siebie.

Gospodarze obsiali pola, niebawem mieli zbierać plony i stawiać wszędzie wokół obłe snopki pachnące słomą. Życie biegło swoim torem, tak normalnie, tak spokojnie.

– Kochałam ich, miałam wspaniałą rodzinę – opowiadała Basia, a słońce oświetlało jej twarz. – Tatuś opowiadał zabawne historie, dużo się śmialiśmy. Miał taki duży pieprzyk pod nosem, pamiętam. Mamusia dbała o nas, pięknie śpiewała przed snem... Byli wspśniiali, cieszę się, że mogłam być ich córką. Że byliśmy kiedyś razem. To daje siłę – mówiła

jak dojrzała doświadczona kobieta, która podsumowuje swoje życie u jego kresu.

Michalina nie miała odwagi pytać, co się stało z jej rodzicami, kiedy dziewczynka widziała ich po raz ostatni, czy może widziała, jak umierali. Temat nie pasował do całego tego piękna, które ich otaczało, cieplej barwy nieba nad łąką, intensywnie czerwonych maków na polach i chabrów o barwie czystego błękitu. Po co komu cholerne obrazy na płótnie, myślała Michalina z zaskoczeniem, po co sztuka wizualna, sztuczna i bez życia, skoro natura daje nam tyle piękna. Kryło się tuż obok, na wyciągnięcie ręki. W prostym codziennym życiu.

– Chciałabym, żebyśmy znów byli razem. – Basia uniosła wzrok na niebo. – Ale jest mi dobrze tu, gdzie jestem.

Z lasu nadszedł major Gołąbek. Ucieszył się na ich widok.

– Moje panie, a cóż tu robicie? – zażartował.

Michalina pomyślała, że wypowiedział te słowa z troską. Czyżby mu na niej zależało?

– Wybrałyśmy się na spacer. Zobacz, jak tu pięknie. A ty już po pracy?

– Można tak powiedzieć.

Wrócili we trójkę do domu i zjedli razem kolację.

TERAZ

DOROTA

Smętnie mieszała kawę podaną przez Filipa. Napar był przepyszny jak zawsze, za to nastrój Doroty podły i nawet nie próbowała tego kryć. Filip wyglądał mizernie, był blady, jakby się nie wyspał. Wyglądało na to, że wreszcie udało mu się trochę schudnąć. Miała nadzieję, że się w tym celu nie głodził.

Ciągle pamiętała rewelacje Radomira na temat dziadków. Gdy wyobrażała sobie, jak mogła wyglądać ostatnia scena w wiliu po Scheerach, w której prawdopodobnie brał udział jej dziadek, czuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła.

Na domiar złego zlecenie wciąż się komplikowało. Langer w końcu oddzwonił. Podkreślał, że jest zadowolony z dokonań Doroty, ale problemy rodzinne zmusiły go do wstrzymania dochodzenia. Poprosił, by zgodnie z umową nie umieszczano ani w pracy naukowej, ani w swojej książce wzmianek o jego żonie oraz żadnych treści, które mogłyby w jakikolwiek sposób wskazywać na Christine. Dodał, że pracę o willi może oczywiście pisać i powinna ją ukończyć zgodnie z umową. Więcej nie chciał powiedzieć, nie chciał też zdradzić Dorocie, jak nazywali się biologiczni rodzice Christine. Chociaż było jasne, że to wiedział. Na koniec obiecał, że się odezwie, gdy uporządkuje pewne sprawy w Monachium.

Nic więc dziwnego, że siedziała markotnie u Filipa, patrząc tępych wzrokiem w ścianę.

– Rozchmurz się wreszcie. – Filip postawił na stole ciasteczka czekoladowe i usiadł naprzeciwko niej. – Wiesz, że czekam na informacje od kumpli o sprawie Christine? Mówią, że coś odkryli. Niedługo powinienem się dowiedzieć. Może nawet za chwilę. – Spojrzał na komórkę.

– Cała moja praca pójdzie na marne! – Dorota schowała twarz w dłoniach nieco teatralnym gestem.

– Nie cała... – usiłował ją pocieszać. – Napiszesz monografię o willach.

– Langer się wycofał. Ja też mam ochotę to zrobić – rozpaczła. – On coś odkrył i nabrał wody w usta. Nie powiedział, o co chodzi.

Upiła łyk kawy.

– Dolej likierów albo wiśnióweczkę – poprosiła. – Będzie kawa z prądem.

– Na pewno? – Zerknął na nią z ukosa.

Ponagliła go gestem, więc wyjął z szafki pod blatem kuchennym słodkiego adwokata. Sam tylko takie trunki pijał, jego słabość do słodczy rozciągała się bowiem na alkohole. W szafce miał kilka butelek różnych skrajnie słodkich trunków. Dorota spojrzała na jego kolekcję kątem oka, a potem na niego.

– Schudłeś – zauważyła. – Nie za szybko?

– Ćwicz się, to i efekty są – odburknął.

Pomyślał, że może jednak powinien ograniczyć te kolorowe pastylki. Nalał jej adwokata. A potem jeszcze sobie. A co! Nie będzie sobie żałował. Poza tym chciał poczuć to, co ona. Współczuł jej.

– Znalazłam dokumenty, z których wynika, że Basia przeżyła strzelaninę. Będę dalej to sprawdzać, odnajdę tę dziewczynkę.

Zaczęło jej wirować w głowie, pewnie przez tę kawę z prądem.

– Nie rozumiem, co się stało... – biadoliła, a alkohol tylko podgrzewał jej emocje. – Przecież prawie wszystko już wiem. Jestem na dobrej drodze do odnalezienia Basi Strzelczyk. Pomagają mi media społecznościowe... Co jest ze mną nie tak, że znów wszystko się wali?! – rozpacziała. – O co chodziło Langerowi, do cholery, że kazał mi przestać grzebać w tej sprawie?

Wkurzała się jak mała dziewczynka. Przytulił ją mocno i fala ciepła zalała ich oboje.

– Słuchaj, a może przenocujesz dziś u mnie? – zaproponował.

Spojrzała na niego jak na wariata.

– Nie mam tu piżamy ani szczoteczki... – wykręcała się.

– To leć do siebie i przynieś.

A potem nie usłyszał, kiedy zadzwonił jego kolega z policji. Nie zobaczył też esemesa ani przychodzącej poczty...

*

Nastała przyjemna niedziela i rano Dorota zapomniała o przykrościach poprzedniego dnia. Obudziła się o dziewiątej w koszulce Filipa ze śmiesznym napisem Mr Bad Guy. Filipa już nie było w łóżku. Podśpiewywał, smażąc naleśniki. Weszła do kuchni, przycupnęła na brzegu krzesła, obserwując z czułością jego szerokie plecy. Wyłożył naleśniki na talerz i podał do nich trzy dzemy w różnych kolorach.

– Voilà, moja damo! – Zaserwował danie zamaszystym gestem. – A może wolisz wytrawne? Mam serek ze szczypiorkiem.

Dorota jadła powoli, delektując się smakiem puszystego i delikatnego ciasta.

– Mniam, przepyszne! Jesteś genialny. Ja potrafię zepsuć każde ciasto – zachwycała się, biorąc ostatni kęs. – A ty nie jesz? – Spojrzała na jego pusty talerz.

– Zjadłem kilka podczas smażenia – wyjaśnił.

Prawda była taka, że Filip nie mógł ostatnio jeść, zapewne w wyniku „kuracji” kolorowymi pigułkami, którą sobie zaaplikował w podwójnej dawce. Te pastylki robiły coś złego z jego żołądkiem. Nie czuł apetytu, jedzenie pęczniało mu w ustach, a gdy tylko coś zjadł, od razu robiło mu się niedobrze. Czasem też czuł się dziwnie słaby, serce mu mocno biło. Coś poszło nie tak z tym wspomaganym odchudzaniem, choć upragniony efekt wreszcie dawał się zauważyć.

Wzruszył ramionami. Tymczasem ona wpatrywała się w niego przenikliwie.

– Widzę, że się zawzięłeś z tym odchudzaniem... – mruknęła.

Wcale nie czuł satysfakcji. Raczej zakłopotanie. By je ukryć, zaczął sprzątać ze stołu. Leniwa niedziela zaczęła się robić nerwowa, a przecież chciał opowiedzieć Dorocie, co jego koledzy odkryli na temat Christine Langer. A były to prawdziwe rewelacje.

Dorota jednak skupiła się na temacie żywienia. Patrzyła na Filipa badawczo, kiedy wspólnie wsadzali naczynia do zmywarki.

– Wcale nie musisz aż tak się odchudzać – powiedziała. – Ty jesteś fajny facet, nie widzisz tego? Nawet z kilkoma dodatkowymi kilogramami, które miałeś, byłeś i nadal jesteś fajny. – Uśmiechnęła się. – Uwierz w to.

Milczał. Odwrócił wzrok, w którym kryła się cała gama uczuć, począwszy od poczucia winy za te trujące tabletki pseudoodchudzające od szemranego dilerka, obiecującego cuda na kiju.

– Hej, no popatrz na mnie! – nalegała. – Zdrowie jest najważniejsze. Nie możesz się tak katować. Widzę, że ostatnio albo wcale nie jesz, albo faszerujesz się jakimiś świństwami. Mam rację?

„To moje życie, zostaw mnie!”, miał ochotę krzyknąć. I tym jednym głupim wybuchem mógł zniszczyć ich kiełkujący związek. Zagryzł wargi. A może ona ma rację?, pomyślał. Może warto posłuchać tej fajnej młodej kobiety, która zaraz będzie jego kobietą. Albo już nią jest.

– To prawda – przyznał. – Używałem wspomagaczy.

– Kurde, Filip, po co?! – zawołała wzburzona. – Aż ręce opadają, człowieku! Taki fajny facet!

Krążyła po pokoju i przewracała oczami z niedowierzaniem. Mały spektakl odgrywała, bo chodziło jej o to, żeby odczarować solenną powagę. Nierzadko uśmiech pomaga nawet w dramatycznych sytuacjach.

Jej strategia przyniosła efekty. Filip się uśmiechnął. Poczuł, że spada mu kamień z serca, a jego spięte i wymęczone ciało się rozluźnia.

– Dobra, gdzie to masz? Wywalimy to gównu wspólnie? – Dorota przeszła do działania. – Teraz. Od razu.

Poszli do łazienki, wyjęli kolorowe pigułki z szafki i wspólnie spuścili je tam, gdzie ich miejsce, czyli w muszli klozetowej.

Dorota otrzepała ręce, jakby usuwała z nich dodatkowy brud.

– To będzie dobre miejsce na moją szczoteczkę do zębów – Pokazała pustą półkę w szafce. – Chyba że nie chcesz? – Mrugnęła do niego przekornie.

Gładziła jego twarz i świeży niedogolony zarost. Tak, chciała z nim być. Tak, udało im się spotkać w odpowiednim miejscu i czasie.

Żadne z nich nie miało ochoty opuszczać tego dnia mieszkania. Zalegli na kanapie i oglądali filmy.

*

Nadszedł moment, by Filip opowiedział Dorocie, co odkryli jego koledzy.

– Pewnie tego właśnie dowiedział się twój zleceniodawca. I dlatego chciał, żebyś zostawiła tę sprawę. Wiem, kto jest biologiczną matką Christine Langer. Ta kobieta nazywa się Lena Hagelmeyer. Odsiaduje długi wyrok w Monachium.

Dorota przetrawiała te informacje stopniowo.

– Lena jak? Hage co?

– Hagelmeyer.

– To Niemka?

– Owszem, ma niemieckie obywatelstwo.

– Za co siedzi?

Filip włączył telefon i przeczytał:

– Rozboje, posiadanie narkotyków, udział w organizacji przestępczej, napad na sklep z bronią palną... Zabójstwo... Wpadła do sklepu i strzelała do ludzi. W 1972 roku.

– Jezu...

– No właśnie.

– Dostała najwyższy możliwy wymiar kary. Była już wtedy recydywistką. To się wydarzyło zaraz po zamachu terrorystycznym na olimpiadzie w Monachium – ciągnął. – Pojawiły się głosy, że ona chciała kontynuować te zamachy, że była pod ich wpływem. Dlatego dali jej dożywocie.

Dorota przymknęła oczy. To było bodaj najgorsze z możliwych wyjaśnień „sprawy Christine” oraz fatalne wręcz zakończenie dla powieści. Ponure i strasznie smutne. Mina jej zrzedła. Wyjaśnienie w sumie proste i kiedy się teraz nad tym zastanawiała, wydawało się logiczne. Jednak w najgorszych prognozach tego nie przewidywała.

– Wyobrażam sobie, jak żona Langerera mogła się czuć, wiedząc, że jej matka jest zbrodniarką. – Zmarszczyła brwi.

– Przecież Christine nie miała z przestępstwami matki nic wspólnego – zauważył przytomnie Filip. – Z tego, co mówiłaś, wynika, że one się nawet nie znały.

Dorocie przyszła do głowy nagła myśl.

– A jeśli się poznały? Christine musiała poznać prawdę. I dlatego popadła w melancholię. Pewnie zaczęła rozgrzebywać przeszłość kosztem swojego samopoczucia. Zapewne pojechała do tego więzienia...

– To możliwe – przyznał. – Ale przecież nie odpowiadamy za grzechy naszych przodków...

Dla Doroty wcale nie było to takie proste.

– Niby masz rację. A jednak narody biją się właśnie o to – argumentowała. – Za te grzechy przodków. Polska bije się od wieków

ze sobą samą i z innymi, bo rozpiera nas poczucie krzywdy, wina, duma i uprzedzenia. Tak czy inaczej, to strasznie przykre sprawy. Sama się o tym przekonałam, bo moi dziadkowie pracowali w UB.

Obawiała się, że Filip zacznie ją oceniać. Ale on tylko patrzył na nią z czułością.

– W każdej rodzinie coś się znajdzie – powiedział. – Nie przejmuj się tym. Ty masz swoje życie.

– Tak. Tylko od nas zależy, jak do tego podejmiemy. Czy odpuścimy – podsumowała.

Tyle mądrych słów między nimi padło, że aż szok. Powinienem robić notatki, pomyślał Filip z przekorą. I przyczepić je magnesem do lodówki!

– Strasznie się to skończyło... – westchnęła Dorota. – Kompletnie inaczej, niż sobie wyobrażałam. Ale jedno jest pewne. To nie Basia jest matką Christine. To nie Basia siedzi w więzieniu w Monachium. Masz więcej danych o tej więźniarce?

– Poczekaj, sprawdzę.

Włączył laptop i czytali razem. On na głos, Dorota w myślach i coraz szerzej otwierała oczy ze zdziwienia.

– Lena Hagelmeyer, urodzona w Polsce, we wsi pod Łodzią w 1937 roku jako Magdalena Balcer. Córka Krystyny. Ojciec nieznany. Wyszła za mąż w 1956 roku za obywatela RFN, obywatelka niemiecka. Skazana prawomocnym wyrokiem w 1973 roku. Osadzona w więzieniu Stadelheim w Monachium. W więzieniu zaszła w ciążę, prawdopodobnie z pracownikiem służby więziennej. Dziecko płci żeńskiej tuż po urodzeniu zostało przekazane do placówki opiekuńczej. Następnie dziewczynkę adoptowano...

Dalsze informacje wskazywały na to, że córką więźniarki jest Christine Langer. Chwilę później Dorota z wrażenia potrąciła kubek z herbatą. Poszła do kuchni po ścierkę.

– Kurczę, ale numer – mamrotała, wycierając stół. – Ciągle myślałam, że to Basia została matką Christine. Wszystkie moje hipotezy legły w gruzach. Już kiedy powiedziałaś, że chodzi o więźniarkę, wiedziałam, że to nie może być moja Basia. Dzięki tej nauczycielce na tyle zdołałam

ją poznać. To mi nie pasowało. Ona nie była taka. Historia Michaliny i Basi nie mogła mieć takiego finału... Tylko skąd się tu wzięła Magdalena Balcer? Wiem, że niejaka Krystyna Balcer współpracowała z Michaliną, wiem też, że się nie lubiły. Krystyna pisała donosy na Michalinę. I chyba wygryzła ją ze stanowiska. Dlaczego nie zwróciłam uwagi na to, że miała dziecko? I że odegrała tak ważną rolę?

– Nie mogłaś wytropić powiązań rodzinnych wszystkich osób, które przewijały się w tej sprawie – zauważył rozsądnie Filip.

Dorota rzuciła się już w wir nowych wyzwań. Sięgnęła po dokumenty.

– Coś mi się kołacze po głowie, że widziałam wzmiankę o Magdalenie Balcer.

Przeglądała akta zamasyście, energia w niej wręcz kipiała, jak zawsze, gdy przystępowała do realizacji nowego pomysłu. Filip miał spokojniejsze usposobienie, siedział więc obok i patrzył, a potem zajął się szukaniem czegoś w internecie.

– Mam! – wykrzyknęła nagle Dorota. – Już wiem! Popatrz na ten donos...

Podala Filipowi kserokopię pożółkłej kartki.

Ja również jestem matką samodzielnie wychowującą małą córkę i nie prowadzam się z nią po urzędzie. Umieję o Magdę zadbać inaczej. Moja praca na tym nie traci. Krystyna Balcer

Córka Krystyny miała wtedy dziewięć lat. Dość, by wszystko zapamiętać i uczestniczyć w tamtych wydarzeniach świadomie. Za mało, by móc samodzielnie funkcjonować i poradzić sobie z traumą.

– Czyli mamy naszą więźniarkę z Monachium – podsumowała Dorota ze smutkiem.

Jedna mała notka, kilka zdań. A gdzieś w tle olbrzymi ludzki dramat.

– Na to wygląda – przyznał Filip.

Milczeli długą chwilę. Dorota jednak nie zdołała wysiedzieć w bezczynności i ciszy. Jej skłonność do działania znowu wzięła nad nią górę.

– Kurczę, patrz, nawet imię się zgadza... – kontynuowała. – Christine to po polsku Krystyna. Christine Langer jest wnuczką Krystyny Balcer.

A jej matka Magdalena siedzi w więzieniu... Teraz rozumiem, dlaczego Langer nie chce, żebym o tym pisała... Wdepnęliśmy na minę.

Historia rzeczywiście była przygnębiająca.

– Takie ludzkie losy... – mruknął Filip, bo nic innego nie przyszło mu do głowy, ale Dorota nie dawała za wygraną.

– Tylko jaki jest związek tej więźniarki z domem, którego historię kazał mi badać Langer? – drążyła. – Bo nadal czegoś tu nie rozumiem. Dlaczego żona Langera wspominała o domu i o Michalinie Starskiej? Przecież od tego wszystko się zaczęło. I to mnie w sumie zmyliło, naprowadziło na trop Michaliny i Basi. A tu się okazuje, że była inna dziewczynka, że chodziło o jakąś Krystynę i jej córkę! – denerwowała się.

– Pewnie jakimś cudem to dziecko znalazło się w willi, gdy wybuchła strzelanina – podsunął Filip. – Wydadzą ci akta, to się przekonasz.

– Tracę już nadzieję, że to kiedykolwiek nastąpi. – Westchnęła ciężko. – Myślisz, że to się da ustalić? Czy warto?!

– Nie wiem – przyznał. – Nie zawsze warto wszystko wiedzieć.

– Jedno jest pewne – stwierdziła Dorota, która była z natury optymistką. – Opowieść o Basi i Michalinie nadal może mieć szczęśliwe zakończenie. Na Facebooku odezwała się do mnie pani, która twierdzi, że rozpoznała Basię Strzelczyk. Podobno Basia pracowała jako nauczycielka wiele lat po wojnie. Czyli prowadziła spokojne życie... Możliwe, że odnalazła szczęście.

Filip nie podzielał entuzjazmu Doroty. Nie chciał jednak studzić jej zapału.

– Jutro wybieram się do tej szkoły – oznajmiła. – Popytam o Basię. Tyle mogę zrobić. I wiesz co? Ona może jeszcze żyć. Będę mogła z nią porozmawiać!

KIEDYŚ

Kapuśniak miał dobry dzień. Wręcz tydzień. Ostatnie dni zaowocowały udanymi akcjami w terenie, a w walce ze zbrojnym podziemiem odnosili coraz częstsze zwycięstwa. Już niedługo wyciągną ich wszystkich z tych

lasów i ustanie tępy sprzeciw barbarzyńców, którzy nie chcą pokoju i za nic mają spokój ludności i odbudowę kraju.

Pracownicy Urzędu Bezpieczeństwa mieli powody do radości. Chociaż starano się nie rozpowiadać najnowszych wieści z leśnej linii frontu, to każdy i tak był na bieżąco. Właśnie aresztowano przywódców leśnych oddziałów dywersyjnych, a wraz z nimi wielu ukrywających się zdrajców trafiło do aresztów śledczych. Oczyszczono ze zbirów – jak mówił Kapuśniak – niemal cały południowy okręg Łodzi. Nieco gorzej było na północy od Zgierza, ale tam bandy już wcześniej były nieliczne i rozproszone.

Kroczył korytarzem dumny jak paw. Lista aresztowanych była długa. Same najcenniejsze kąski wpadły w łapy systemu i wylądowały na przesłuchaniach.

Hanka Walusiak z Kryską Balcer miały tego dnia prywatny powód do świętowania.

– Mówiłam, że zapłacą za to. – Kryśka zaśmiała się triumfalnie.

Ostatnio awansowała i szybko pięła się po szczeblach kariery. Pełniła podobną funkcję jak wcześniej Michalina i była zachwycona nową posadą oraz zaufaniem, którym obdarzyli ją szefowie. Osiągała przy tym znakomite wyniki, chwalono ją za skuteczność i produktywność. Starannie przestrzegała instrukcji komitetu centralnego. Ani razu do tej pory nie doszło do publicznego piętnowania wydziału za niedociągnięcia w pracy propagandowej, co zdarzyło się dwukrotnie, kiedy wydziałowi szefowała Michalina.

Natomiast jej przyjaciółka wciąż nie otrząsnęła się po śmierci Wojtka. Przestała się stroić, szminkować i podkrecać włosy. Straciła przez to większość swojego uroku. Współpracownicy starali się być dla Hanki wyrozumiali i przymykali oko na jej błędy i nieobecności w pracy. Krystyna z trudem to tolerowała, chociaż wiedziała, że musi okazywać jej współczucie i wsparcie, gdyż to było w dobrym tonie. W świecie Krystyny nie było jednak miejsca na sentymenty. Zamiast tego podkrecała złość przyjaciółki na bandytów.

– Znajdziesz innego fajnego chłopaka! – powiedziała, siląc się na współczucie, i klepnęła rozpaczającą dziewczynę po ramieniu, a Hanka załkała wtedy jeszcze głośniej.

– Skurwysyny za to zapłacą! – dodała wtedy zapalczywie Kryśka z żarem w ciemnych oczach. – Zgniją w więzieniu. Już my się o to postaramy. Powiesimy ich za jaja.

Osiągnęła swój cel – blada płacząca Hania zacisnęła dłonie w pięści i poczuła wzbierającą wszechogarniającą złość. Nienawiść i chęć odwetu zagotowały się w niej, przesłaniając smutek. Złość i nienawiść to potężne siły, pchają do działania. Uskrzydłają i jednocześnie przynoszą ulgę. Człowiek dzięki tym emocjom jest gotowy do ataku.

Kryśka nachyliła się do Hanki.

– Aresztowano już część skurwysynów – wysyczała jej do ucha. – Dorwiemy ich i zaraz zaczną śpiewać. I wyłapiemy wszystkie gnidy, wyczyścimy z nich naszą piękną Łódź. Pomścimy Wojtkę i żaden więcej przebrzydły spiskujący element nie stanie na naszej drodze ku szczęściu.

Kryśka nigdy nie przebierała w słowach. Z przekleństwem było jej do twarzy. Teraz jej wypowiedzi stawały się jeszcze ostrzejsze i bardziej zapalczywe. Nabrała wiatru w żagle i wypłynęła na szerokie wody, zarówno pod względem kariery partyjnej, jak i miłości własnej. Jej przemówienia porывały słuchaczy, podgrzewały emocje – dokładnie tak, jak przed chwilą zrobiła z Hanką. Dziewczyna aż kipiała ze złości i gdyby stanął przed nią któryś ze schwytanych bandytów, gotowa go zatłuc, choćby stojącą nieopodal szczotką do mycia podłogi lub pogrzebaczem leżącym obok pieca.

– Zgniją gnidy, zobaczysz – oznajmiła Kryśka z żelazną pewnością. – Powiem ci w zaufaniu... – ściszyła głos – że osobiście rozpracuję kogoś w urzędzie. Wiem, że to zdrajca. Kapuśniak też ma podejrzenia i niedługo sprawa się zamknie. No! A teraz czas do pracy!

Uśmiechnęła się niby wspierająco do nadal smutnej Hanki, klepnęła dłońmi w uda i wstała. Pomyślała, że jeśli dziewczyna się nie pozbiera, to będzie musiała ją zwolnić, bo przestaje być wydajna. Ona też straciła bliską osobę, a jednak jest silna i radzi sobie. Hanka też powinna. Życie nie jest dla mięczaków. Ani dla tchórzów.

– Marsz do pracy, Hanka! Na zemstę przyjdzie czas. A pomścimy go na pewno, spokojna głowa – zamilkła, bo na korytarzu pojawiła się znajoma postać. – Mówiłam ci, żebyś tu nie przyłaziła – warknęła do

córki i chwyciła ją za rękę, po czym szybko wyprowadziła na zewnątrz. Przecież chępiła się tym, że dziecko nie przeszkadza jej w pracy.

*

Któregoś wieczoru Alfred rozpoznał w majorze Gołąbku swojego syna.

– Synu, ja wiedziałem! – powiedział niepokojąco trzeźwym głosem. –

Wiedziałem, że się nawrócisz. Że będziesz przeciwko ruskim działał.

– Co też ojciec opowiada! – zaprzeczył żarliwie, choć bardzo chciał wyznać ojcu prawdę. Ale przecież mógł ich słyszeć któryś z domowników.

– Wiem, co mówię – rzekł Alfred. – Synu, ja wiem wszystko. Jestem dumny! Pokonamy ich! Pokonamy ruskich. Tacy jak ty ich pokonają. Jeszcze Polska będzie Polską.

– Tato... ciszej – poprosił major.

– Ja myślałem, że ty... ty naprawdę im wierzysz – ciągnął uporczywie staruszek. – Ruskim. Ale teraz widzę, że nie. Dumny z ciebie jestem, synu!

Skąd Alfred czerpał te informacje, major nie wiedział.

– Kładź się do łóżka. – Poprowadził ojca do jego pokoju.

Po drodze minął Stanisławę z Basią, które wносиły na ganek wiadra świeżo zerwanych czereśni. Na migi dał im znać, że starszy pan bajdurzy bardziej niż zwykle.

Położył ojca spać, a ten zaskakująco potulnie poddawał się wszystkim tym czynnościom przygotowawczym, był spokojny i cichy.

– Kocham cię, tato – powiedział do ojca coś, czego nie mówił od dzieciństwa. – Ale teraz już śpij.

– Dobrze robisz, synu – szepnął Alfred. – Wyjedź z Polski, zabierz dokumenty na Zachód. Oni sfałszowali referendum, zaraz będą fałszować wybory.

Te słowa zmroziły majora. Staruszek nie tyle zwariował i stracił pamięć, ile stał się cholernym jasnowidzem, pomyślał wstrząśnięty.

Mógł mówić ojcu, by nikomu nie powtarzał swoich rewelacji, by o nich zapomniał, zachował je dla siebie. Ale to nic by nie dało.

Mogłoby nawet mieć odwrotny skutek do zamierzonego.

– Zrobię to, co będę musiał – powiedział tylko. – A teraz śpij. Poczekam tu, aż zaśniesz. Pamiętasz, jak zasypiałeś ze mną w pokoju, kiedy byłem mały?

Mieli kiedyś jedną izbę i jedno łóżko dla całej rodziny, więc nie mogło być inaczej.

– Oczywiście, mój Antosiu – zapewnił Alfred z uśmiechem.

Tym razem nazwał syna właściwym imieniem, które sam dla niego wybrał ponad czterdzieści lat wcześniej, gdy poszedł zarejestrować go w księgach. Na dodatek użył zdrobniałej formy. Major dziwnie się poczuł. Od miesięcy zarówno w pracy, jak i w domu obchodził się bez imienia, był wzywany po nazwisku albo zwracano się do niego per „obywatelu” lub „majorze”. W oficjalnych dokumentach i spisach zaś funkcjonował jako A. Gołąbek. W tym systemie nazwisko było ważniejsze.

Ponownie poczuł się pełnoprawnym posiadaczem imienia dopiero teraz, w sypialni swojego starego ojca, który rzekomo postradał zmysły. To znaczy z pewnością je postradał, tylko miewał bardziej przytomne momenty i to właśnie był taki moment. Piękny, smutny i straszny zarazem.

Antoni poczekał, aż ojciec zaśnie. Nie mógł zostawić go w obecnym stanie świadomości. Obawiał się, co mogłoby z tego wyniknąć, co jeszcze mógłby wygadywać. W głębi duszy miał nadzieję, że te przebłyśki świadomości będą częstsze. Pragnął, aby tak się stało, a jednocześnie płakał nad tym w duszy.

Nie miał pojęcia, skąd jego starszerek wiedział, co on planował. Odpowiedzi na to pytanie nie poznał nigdy. To musiał być jakiś szósty zmysł. Intuicja ojca.

ROZDZIAŁ 14

TERAZ

DOROTA

W szkole, w której kiedyś uczyła Barbara Strzelczyk, przyjęto Dorotę serdecznie, ale pracownicy sekretariatu nie miały dla niej dobrych wieści.

– Pani Barbara zmarła trzy lata temu, po krótkiej chorobie – wyjaśnili.

Nadzieje Doroty na rozmowę z Basią prysły. Zdało jej się okrutnie niesprawiedliwe, że osoby o tak ciekawych życiorysach odchodzą i zabierają swoje wspomnienia ze sobą. Powinno się spisywać ich wspomnienia dla potomności. Bo może być za późno. Tak jak w tym wypadku.

– Przykro mi – powiedziała ze smutkiem.

Pocieszające było to, że mała Basia najwyraźniej odnalazła spokój i spełnienie w dorosłym życiu.

– Pani Barbara była świetną nauczycielką, wychowawczynią wielu pokoleń – dodały sekretarki, jakby na potwierdzenie jej przypuszczeń. – Wspominamy ją bardzo ciepło.

– A czy pani Basia... wspominała przeszłość? Na przykład, gdzie się wychowywała? – Dorota możliwie delikatnie badała grunt.

– O co pani konkretnie chodzi? – zdziwiły się kobiety.

– O czas wojny i bezpośrednio po niej.

Wyglądało na to, że faktycznie nic nie wiedzą.

– Ona nie była typem osoby rozpamiętującej przeszłość – wyjaśniła starsza z sekretarek. – Żyła tym, co tu i teraz. Nigdy nie narzekała. W ramach lekcji biologii utrzymywała nawet ogródek przy szkole. Zależało jej, żeby dzieci poznawały przyrodę. Angażowała się w pracę. Zarówno w wychowanie naszych uczniów, jak i własnych dzieci.

– O... Miała dzieci?

– Owszem. Trójkę. Dwóch synów i córkę. W szkole pracuje jej córka, jest nauczycielką polskiego. – Sekretarka spojrzała na plan wiszący na korkowej tablicy. – Zaraz będzie kończyć lekcje w sali numer osiem. Może zechce pani powiedzieć coś więcej.

Dorocie mocniej zabiło serce.

– Dziękuję za informacje. Były panie bardzo pomocne.

Po czym ruszyła do wskazanej sali.

*

Córka Basi Strzelczyk, szczupła kobieta po pięćdziesiątce, o miłej twarzy i wielkich niebieskich oczach, sama miała już wnuki. Ze zrozumieniem potraktowała prośbę Doroty.

– Dziękuję, że zechciała pani ze mną porozmawiać – powiedziała Dorota. – Piszę pracę naukową o pewnej willi pod Łodzią i dowiedziałam się, że właśnie tam po wojnie mieszkała pani mama.

Poszły do przytulnej kawiarni naprzeciwko szkoły. Kawa miała przyjemny zapach cynamonu, a w kącie sali znajdował się kominek, sprzyjający zwierzeniom.

Pani Marzena potwierdziła to, co wcześniej mówiły sekretarki.

– Mama ceniła życie. Rzadko wspominała przeszłość. Była silna. Wiem, że wiele przeszła, podczas wojny straciła część rodziny. Ale skupiała się na teraźniejszości, na dzieciach, wnukach...

– Czy mówiła coś o tamtym domu? Wspomniała może o Michalinie Starskiej? – Dorota opisała położenie i wygląd willi.

Pani Marzena skinęła głową.

– Mama opowiadała, że tuż po wojnie mieszkała z pewną kobietą, osobą ważną w ówczesnych władzach, która wzięła ją z domu dziecka. Mówiła, że była jej bardzo wdzięczna. Że ta kobieta miała na imię Michalina i uratowała jej życie. Tyle wiem.

– Czyli Michalina uratowała jej życie, biorąc ją z domu dziecka? – dopytała Dorota.

– Tak. Dobrze im się razem mieszkało, mama wspominała tamten okres z uśmiechem na twarzy... – W głosie pani Marzeny dało się

słyszeć wzruszenie. – Udało im się stworzyć prawdziwy dom, w czasach, które w ogóle temu nie sprzyjały.

Opowiadała Dorocie o życiu na wsi, o pielęgnowaniu ogrodu, o miłej pani Stasi, o starszym panu z demencją...

– Zwłaszcza pod koniec życia te wspomnienia do mamy wracały – dodała pani Marzena.

Dorocie zapaliła się czerwona lampka. Coś tu się nie zgadzało. Jak Basia z uśmiechem na twarzy mogła wspominać tamte czasy, skoro wszystko zakończyło się dla niej tragicznie, a opiekunowie zginęli w ich wspólnym domu w bezsensownej strzelaninie?

– Zatem pani mama miała same dobre wspomnienia z tamtego okresu?
– upewniła się.

– Tak. Mama wielokrotnie powtarzała, jak bardzo jest tamtym ludziom wdzięczna. Za to, że dali jej namiastkę zwykłego życia, dopóki wszystko w jej życiu nie wróciło do normalności.

– Do normalności? – zapytała zdumiona Dorota. – Pani mama nie trafiła z powrotem do domu dziecka?

Teraz to pani Marzena się zdziwiła.

– Dlaczego? Nie... Mama już nigdy nie trafiła do żadnego domu dziecka.

Zapanowała cisza, Dorocie zadrżała ręka z filiżanką i kilka kropli kawy chlapnęło na stolik, ale nie zwróciła na to uwagi.

– Więc gdzie mieszkała po tamtej tragedii? – wypaliła.

– Jakiej tragedii? – Pani Marzena wyglądała na kompletnie zagubioną.

Dorota zresztą też. Czyżby znów zabrnęła w ślepy zaułek?

– W willi pod Łodzią, gdzie mieszkała pani mama z opiekunami, wybuchła strzelanina – wyjaśniła. – Zginęło wiele osób.

Pani Marzena zdecydowanie pokręciła głową.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Mama o tym nie wspominała. Zresztą zdaje się, że wtedy jej tam już nie było. O którym roku pani mówi?

– O wrześniu 1946 roku – uściśliła Dorota.

– Mojej mamy już tam wtedy nie było – odparła pani Marzena po namyśle.

– A gdzie była? – Dorota z trudem przyswajała zaskakujące informacje.

– Pojechali na ziemie odzyskane. Ona i jej ojciec, a mój dziadek. Właśnie we wrześniu 1946 roku.

Dorota zrobiła wielkie oczy.

– Jej ojciec?

– Tak. Odnalazł się po wojnie – wyjaśniła pani Marzena. – I zabrał ją z tego domu. I to było, jak mówiła, po wakacjach w 1946 roku. Pożegnała się z dotychczasowymi opiekunami, nawet było jej trochę żal wyjeżdżać, ale wyjechali. Swojego tatę ledwie rozpoznała, w końcu nie widzieli się przez pięć lat.

– I tak po prostu się odnalazł? – Dorota była pełna podziwu dla szczęśliwego losu.

– No nie całkiem po prostu... – uściśliła pani Marzena – Uciekł z więzienia UB. I oni mu w tym pomogli.

Dorota czuła, jak pulsują jej żyły na szyi.

– Może pani uściślić? – spytała drżącym głosem. – Kto mu pomógł i jak?

– Właśnie oni. Michalina Starska i Antoni Gołąbek. Nie znam szczegółów, ale to było mniej więcej tak...

KIEDYŚ

Pewnego dnia stało się to, czego wszyscy się obawiali. Alfred zniknął. Nie pomógł pies, którego przygarnęli z myślą o bezpieczeństwie. Okazał się potulnym, cichym zwierzakiem, pozbawionym duszy wojownika. Nie zbudził domowników głośnym szczekaniem rano, a może w ogóle nie zauważył, że starszy pan wychodzi za ogrodzenie.

Michalina przygotowała śniadanie, Basia robiła obchód swoich włości, czyli szukała jaj w zagrodzie. Właśnie dostała od Stanisławy trzy dorosłe kury (Stanisława nie była stratna – wybrała sobie z domu kilka porządnych pofabrykanckich obrusów). Alfred zazwyczaj budził się pierwszy, jeszcze przed szóstą i od razu brał się do strugania swoich

powyginanych arcydzieł, tym razem jednak nie było go na ławce przed domem, gdzie zazwyczaj siadywał. Nie było go też w drewni, bo skobel pozostał nieruszony od poprzedniego dnia. Majora także nie było w domu, co akurat Michaliny nie zdziwiło – wychodził, kiedy chciał, z niczego się nie tłumaczył.

Wytarła dłonie w fartuch i zaniepokojona udała się na górę, do sypialni starego. Zastała tam puste łóżko i skotłowaną pościel, jak gdyby Alfred wyskoczył z posłania w pośpiechu, zmuszony do nagłego wyjścia. Dla pewności obeszała cały dom, pootwierała wszystkie drzwi, ale tylko wzburzyła kurz w pomieszczeniach, których nie używali.

Z zaskoczeniem zauważyła, że Alfred wziął na warsztat kolejne meble – przyozdobił sekretarzyk w jednym z zamkniętych pokoi, a w pustej oranżerii obrobił w swoim stylu stolarkę okienną. Motywy roślinne połączył z symboliką piekielną. Musiała przyznać, że zapowiadały się interesująco. Twarze schowane pomiędzy wzorami liści wyglądały raz upiornie, a innym razem prześmiewczo. Szczęrzyły się jak oblicza błazna, marszczyły brwi, wybałuszały oczy, otwierały usta w niemym krzyku. Była to sztuka ludowa na zaskakująco wysokim poziomie. Michalina przystanęła w oranżerii, zaskoczona i urzeczona zarazem, promienie porannego słońca tańczyły na inskrypcjach, dodając im blasku. W innych okolicznościach uznałaby, że należy promować twórczość tego samorodnego wiejskiego talentu. Teraz mogła tylko oglądać. Stary musiał powycinać te cuda ukradkiem, gdy nikt go nie widział. Albo może w nocy, w świetle księżyca? Nikt mu nie pozwolił wycinać swoich obrazków w tym miejscu, nikt mu tego miejsca nie wskazał.

Nagle zauważyła wśród wyrzeźbionych liści i ludowej symboliki kilka motywów zgoła odmiennych. I poczuła, jak pot występuje jej na czoło. Na drewnianej powierzchni ściany staruszek wyrył kotwicę, symbol Polski Walczącej, a obok napis „AK” – na wypadek gdyby ktokolwiek miał jeszcze wątpliwości. „Walcz, synu!” – wyryto pod spodem. „Wygonimy razem ruskich”.

W głowie jej zaszumiało, tchu zabrakło i miała wrażenie, że drewniane ściany oranżerii, wraz z wyrzeźbionymi na nich motywami roślinnymi, twarzami, diabłami, aniołami i wszystkim tym, co powykręwał tam ojciec Gołąbka, tańczą jej przed oczami, wirują w chorym, opętańczym tańcu. Wzięła kilka głębokich oddechów, po czym przeszła do kuchni po

nóż. Musiała te cholerne napisy jak najszybciej usunąć, zeszkrobać, odciąć od tych ścian. Trzęsły jej się ręce, nóż był nie dość ostry albo ona nie dość wprawna. Ostrze wyslizgnęło jej się z rąk i pocięła sobie boleśnie przeguby. Zakłęła pod nosem. Strużka krwi pocięła jej po bluzce, plamiąc szary materiał. Zastanawiała się, co robić dalej, czy szukać Alfreda w lesie, czy dalej niszczyć tę jego cholerną twórczość. W lesie ktoś mógł go napaść, ale zostawienie tych napisów na ścianach mogło być bardziej brzemienne w skutki. Spojrzała na podłogę, gdzie leżały świeże wióry. Możliwe, że z tego ranka, bo poczuła zapach drewna. Przynajmniej tyle dobrego, pomyślała, że wyrzył to niedawno. Możliwe, że nikt nie zdążył ich zobaczyć. I już nie zobaczy.

Zdarła resztę drewna, znowu kalecząc się w dłonie, ale nie czuła bólu. Cięła napisy nożem wzdłuż i wszerz, żeby nie dało się ich odczytać. Kolejny raz pomyślała, że siekiera byłaby skuteczniejsza. Ale ganek mógłby tego nie przetrwać. Nagle zmartwiała. Pomyślała o tych wszystkich miejscach w willi, które mógł podobnymi napisami przyozdobić szalony staruszek. Drewno było tu prawie wszędzie. Stolarka okienna, weranda, schody do piwnicy i schody na piętro... Meble. Belki konstrukcyjne... Pociemniało jej przed oczami. „Synu! Ratujesz Polskę przed Stalinem” – dostrzegła kolejny napis na ścianie. Ojciec jej kochanka, urzędnika wysokiego szczebla w Urzędzie Bezpieczeństwa, majora Ludowego Wojska Polskiego, twierdził ni mniej, ni więcej w powyższych wpisach, że jego syn współpracuje ze zdrajcami ojczyzny. Dzieło Alfreda wyglądało jak jakaś cholerna spowiedź, jak zapiski kogoś, kto rozpaczliwie starał się utrwalić najważniejsze dla siebie myśli.

Jeśli stary ma w głowie takie właśnie słowa i olbrzymią chęć ich uzewnętrzniania, to tym bardziej nie powinien gdziekolwiek wychodzić. Gotów był podzielić się swoimi przemyśleniami z niewłaściwymi ludźmi. I pewnie dlatego wyszedł, żeby pochwalić się innym.

Zawiązała ścierkę na krwawiącej dłoni, po czym wyszła przed dom, starając się ukryć zarówno poranione ręce, jak i rosnące wzburzenie.

Podbiegła do niej zaniepokojona Basia.

– Ojej, co się cioci stało? – zapytała z troską.

– Zacięłam się nożem. To nic... – wyjaśniła Michalina zgodnie z prawdą. – Posłuchaj. Zamknij się w swoim pokoju i nie wychodź,

dopóki nie wrócę, dobrze?

– Dokąd ciocia idzie?

– Starszy pan się zgubił. – Michalina przeszła przez furtkę. – Widziałas go rano?

Basia pokręciła głową.

– Zostań w domu i nikomu nie otwieraj. Nawet Stanisławie.

Dziewczynka posłusznie weszła do domu, zamknęła drzwi na zamek i przez zasłonięte firany obserwowała Michalinę zmierzającą w stronę lasu.

*

Michalina była wściekła. Nie tylko na starego Gołąbka, ale również na majora. Podskórnie czuła, że staruszek na drewnianych ścianach dawnej oranżerii ujawnił prawdę. A to oznaczało, że major był zdrajcą. Nie tylko działał wbrew obecnym władzom, ale też narażał na niebezpieczeństwo ich wszystkich – ją, Basię, siebie, swojego ojca... Osoby bliskie, a także te, z którymi był związany. Michalina straciła swój pierwotny zapał do sztuki propagandowej, ale nadal była oddana partii i nadal wierzyła w to, że ten system może dać ludziom to, czego potrzebują. Zaangażowała się w budowanie socjalistycznego szkolnictwa i widziała, jak władze pomagają obywatelom zyskać wykształcenie. Młodemu dawano szanse rozwoju i pracy, starszych wyciągano z mroku analfabetyzmu. Odnosili na tym polu w urzędzie znaczące sukcesy. Może system nie był idealny, ale zdaniem Michaliny miał swoje plusy. Do głowy jej nie przyszło, żeby z nim walczyć, a już zwłaszcza zbrojnie. Potępiała bandy z lasu, uważała, że niepotrzebnie przedłużają walkę, stanowiąc zagrożenie dla okolicznej ludności. Miała dość tego, że Polak Polakowi wilkiem, że jedni zwalczają drugich. Nie rozumiała, po co tę walkę przedłużać, a do tego jej zdaniem sprowadzała się działalność niedobitków dawnego AK. Przecież władze zachęcały ich do ujawnienia się, obiecywano im przychylne traktowanie... Jeśli zrobili to na początku, kiedy władza im to proponowała, nie działa im się żadna krzywda. A przynajmniej o takowej Michalina nie słyszała. Już zwłaszcza od kiedy zmieniła wydział z propagandy na szkolnictwo, to już w ogóle nie miała rozeznania w tych sprawach. Przestały ją po prostu obchodzić i cieszyła się z tego.

A teraz major Gołabek... Potajemnie pracował nad tym, żeby ta wewnętrzna wojna nie skończyła się nigdy. Przyczyniał się swoim oporem do tego, że brat bił brata, a sąsiad sąsiada. Michalina tego nie popierała. Była zawiedziona, bo nagle zrozumiała, że major cały czas ją wykorzystywał.

Szła przez las, nie oglądając się za siebie. Niosła ją złość, nie zważała więc na to, że może się rzucać w oczy. Niebo było szare i zanosilo się na deszcz. Po słonecznym poranku nie został nawet ślad. Zraniona wcześniej ręka zaczęła ją boleć, zgubiła gdzieś naprędce zrobiony opatrunek, a ostre krzewy jeżyn rozdrapywały jej skórę. Pomyślała, że ma wiele do stracenia, właśnie teraz, o ironio, może dużo stracić. Swoje cholerne życie, które nawet polubiła, choć sądziła, że to już się nie stanie. I majora Gołabka polubiła, tego wielkiego, nieokrzesanego faceta, który rozmawiał z nią burkliwie i zawsze robił to, co sam chciał. Basię polubiła, nawet bardzo. Jej życie, wcześniej miałkie i bez wyrazu, zyskało nowe barwy i jakiś konkretny, dający się rozpoznać i zdefiniować cel. A jeszcze do niedawna było jej wszystko jedno, co z nią będzie, żyła w zawieszeniu, w mentalnym bezruchu, z którego nie zdawała sobie sprawy.

I właśnie teraz, kiedy to życie zaczęło jej się podobać, odczuła, jak może być kruche. Zaczęła się bać, a był to lęk podskórny, oplatający jak mgła, która ciągnie się za człowiekiem. Lęk bez początku i bez końca. Zwolniła. Zapragnęła się schować, nagle poczuła się odsłonięta, niczym zwierzyna wystawiona na pastwę czyhających na nią drapieżników. To był tylko las. Spokojny, niezbyt gęsty w tym miejscu, o miękkim jasnozielonym mchu na poszyciu, z bielą brzóz obok zagajnika świerkowego. Zdała sobie sprawę, że źle zrobiła, idąc tu. Powinna była pójść prosto do wsi. W stronę zabudowań chłopskich. To tam najpewniej udał się Alfred, a przynajmniej chciała w to wierzyć. Jeśli nie odnalazłaby go od razu, mogła o niego spytać miejscowych, być może ktoś go widział. Poza tym staruszek najbardziej niebezpieczny był właśnie wśród ludzi, i to przed tym należało go chronić.

Wtem zobaczyła na polanie dwie osoby. Skryła się za pnem i wstrzymała oddech. Major Gołabek z kimś rozmawiał. To nie był Alfred, tylko bandyta z lasu, jeden z tych, o których tyle złego się nasłuchiwała, zarówno w urzędzie, jak i od zwykłych ludzi. Szlag by to trafił. Miała ochotę się roześmiać, szyderczo i jadowniczo, bo jak to tak,

słynny szpieg Antoni Gołąbek, który ze sto razy wyprowadził w pole tropiących go szpicli, dał się przyłapać kobiecie. Na dodatek wściekłej. Poczekwała, aż obcy odejdzie, a major zostanie sam, i wyszła z ukrycia. Jej sparaliżowane strachem ciało rozluźniło się, gdy zdecydowanym krokiem zmierzała w stronę kochanka, nie patrząc, jak stąpa, depcząc małe drzewka i szeleszcząc liśćmi. Miała na tyle rozumu w głowie, że nie krzyczała.

– No proszę, kogo ja tu widzę – wysyczała. – Ty zdrajco!

– Dopiero teraz się dowiedziałaś? – prychnął.

Był przekonany, że celowo przymykała na to oko. Spojrzała na niego chmurnie.

– A ty może kryształowa jesteś? – Zaśmiał się pogardliwie. – Mam ci przypomnieć, ile nakradłaś po okolicznych dworach? Miłośniczka sztuki, pożał się Boże.

– Wygodnie ci było, co? Pod moim bokiem udawać, że jesteś oddany partii!

Nie zachowywali się rozsądnie, rozmawiając o tym wszystkim teraz. Nawet na odludziu.

Wtedy Michalina nie wytrzymała i zaczęła go okładać pięściami. Gdyby była bardziej okrutna, celowałaby w ramię, gdzie miał niezagojoną ranę po kuli, którą sama mu wyciągała. Wtedy z pewnością bardziej by go zabolalo. Ale waliła na oślep, z czystej bezsilności.

– Wykorzystywałeś mnie! – syczała. – Och, jaka byłam głupia. Tyle ci mówiłam, tyle informacji...

Przytrzymał jej dłonie, chwycił za przeguby.

– Co tu masz? – Zauważył krwawe ślady.

Popatrzyła na niego z nienawiścią i się wyrwała. Nie wiedziała już, czego chce, a przynajmniej nie chciała tego samego co wcześniej. Nie wiedziała też, po której jest stronie. Pragnęła spokoju.

– Skaleczyłam się, kiedy usuwałam napisy, które rano wyrył na ścianach twój ojciec. – Uniosła dłonie. Nadal była na nich krew, zdążyła też pobrudzić Antoniemu koszulę. Patrzył na nią ze smutkiem, a ona

wtuliła się w niego na krótki ułamek sekundy. Nagle wydał jej się bezbronny.

Wiele chciała powiedzieć, ale nie umiała tego ubrać w słowa. Zresztą, słowa na nic by się nie zdały. Poza tym nie było czasu na wyjaśnienia.

– Musimy znaleźć Alfreda. Przepadł jak kamień w wodę. Powycinał w drewnie słowa, za które w tym kraju idzie się do pierdła.

*

Na szczęście staruszek się odnalazł. Poszedł do wsi i wprawdzie zwrócił na siebie uwagę, ale chyba nic złego się nie stało. Spędził czas w ogródku innego starszego pana, z którym pokojowo gawędził. Wyrok został odroczone. Nie wiedzieli jednak, że na bardzo krótko.

Major obiecywał sobie, że wkrótce wyjedzie. Od początku taki był plan. Zbierał już stosowną dokumentację. Wiedział, że powinien się pospieszyć, ale jednocześnie nie miał na to ochoty, ociągał się.

Niedawno się dowiedział. To było odkrycie nagłe i zaskakujące. Wahał się, czy powiedzieć o tym Michalinie. Byłoby to złamanie jego dotychczasowych zasad, żeby jak najmniej mówić o pracy, ale przecież i tak już wiedziała o jego podwójnej roli...

Był wieczór, szykowała się do snu, swoim zwyczajem skraplała się perfumami i cesała włosy przed lustrem w sypialni. Przed snem zamierzała jeszcze poczytać najnowsze gazety, w tym „Głos Robotniczy”, jeden z pierwszych numerów dziennika, który dopiero wystartował w Łodzi po wojnie.

Delikatnie zamknął za sobą drzwi. Nie wiedział, od czego zacząć, nie chciał też przedłużyć tej chwili.

– Ojciec Basi siedzi w zgierskim areszcie – wypalił prosto z mostu.

Michalina zastygła ze szczotką przy uchu.

– Słucham?

– W areszcie śledczym w Zgierzu siedzi ojciec Basi – powtórzył.

Wstała gwałtownie, potrącając flakon, który z głuchym stukotem przewrócił się na blat.

– Ale... jak to? – wydukała. – Skąd wiesz?

– Miał przy sobie jej zdjęcie.

– Co? – Wydawało jej się, że śni się jej jakiś koszmar. – Przecież ona się zmieniła. Przed wojną miała pięć lat.

– To na pewno ona.

Do Michaliny powoli docierał sens jego słów, chociaż nie miała pojęcia o tym, jak są traktowani więźniowie w areszcie śledczym ani dlaczego Gołębek się tam znalazł. Formalnie rzecz biorąc, nie był śledczym. Jednak te szczegóły interesowały ją teraz najmniej.

– Rozmawiałeś z nim?

– Tak.

Michalina spazmatycznie zaczerpnęła powietrza. Major był pozornie spokojny i opanowany jak zawsze, ale ta sytuacja również dla niego była trudna.

– Zobacz... – Wyjął z kieszeni zdjęcie owinięte w stronę gazety. Odwinął papier.

– Zabrałeś mu zdjęcie córki?! – zapytała zszokowana.

Zdało jej się to okrutne. Nadal niewiele rozumiała.

– Musiałem.

Uznał za zbędne tłumaczenie, że gdyby inny śledczy znalazł to zdjęcie, nie miałby skrupułów. Mógłby powiedzieć, szczerząc zęby w podłym uśmiechu: „To twoja córka? Nie będzie już taka śliczna, jak się z nią zabawimy. Chyba że nas zaprowadzisz do twojego dowództwa. Wtedy oszczędzimy małą”. Scenariuszy było sporo. Dlatego major zabrał mu jedyne zdjęcie córki, choć mężczyzna się przed tym bronił.

Michalina wpatrywała się w fotografię szeroko otwartymi oczami. Poczula lęk, ale także radość. Ojciec Basi żyje! To jest dobra wiadomość. Przecież chciała dla dziewczynki jak najlepiej.

– Czy jest szansa... że go wypuszczą? – zapytała naiwnie.

Major już żałował, że jej powiedział. Myślał, że zmądrzała, nauczona doświadczeniami ostatnich tygodni, ale jego kochanka pozostała niepoprawną idealistką.

Pokręcił głową.

– To dlaczego mi to mówisz? – zdenerwowała się. – Skoro nic nie da się zrobić?!

Rzuciła zdjęcie na toaletkę.

– Po cholere mi informacja, że znalazł się jej ojciec, skoro i tak szczególnie w więzieniu – wyszeptala.

Nie mógł wtajemniczyć jej we wszystko. I tak już zdradził za dużo. Zdał sobie sprawę, że kocha tę kobietę. Że właśnie tu ją pokochał, w tym domu, w te letnie miesiące. Powiedział Michalinie o ojcu Basi z tej nagłej, nieopierzonej jeszcze, miłości, którą poczuł.

Nie był pewien, jak zareaguje na tę wiadomość. Nie spodziewał się radości, raczej rezerwy, obiekcji, wątpliwości. Innymi słowy, sądził, że odnalezienie rodziny Basi nie będzie Michalinie na rękę. Tymczasem pomylił się w ocenie. Michalina naprawdę chciała, żeby dziewczynka odnalazła bliskich. Nawet jeśli oznaczało to koniec ich małej niby-rodziny na tych krótkich letnich wakacjach w pofabrykanckiej willi pod Łodzią.

I chyba za to pokochał tę dziwną kobietę.

Wpatrywała się w niego przenikliwie, a jej spojrzenie było ciężkie i nabrzmiące od skrytych znaczeń i niewypowiedzianych próśb. Miał tak wiele możliwości działania...

– Spróbujemy – powiedział tylko.

Na takich niedopowiedzeniach zbudowali swój związek. I trwali w nim razem.

– To będzie moja ostatnia akcja – zastrzegł.

Zrozumiała. Chciała jeszcze o coś zapytać, ale położył jej palce na ustach.

– Nic nie mów.

Kochali się tego wieczora w ciszy, w powietrzu ciężkim i dusznym, pośród zapachu drewnianych belek, w pościeli szorstkiej i gorącej. Tajemni kochankowie, którzy zawarli przymierze. Świat na chwilę przestał istnieć. Liczyli się tylko oni.

*

Michalina płakała, rozstając się z Basią. Powtarzała sobie, że postępują właściwie, że tak będzie najlepiej dla dziecka. Ale przecież zdążyła żyć z dziewczynką i wiedziała, że będzie za nią tęsknić. Ojciec Basi postanowił, że wyjadą jak najdalej, byle zmienić otoczenie i zacząć nowe życie. Michalina nie wiedziała dokąd, i tak miało pozostać. Cieszyła się, że im się udało, choć czuła też ogromny smutek.

Tamtego wieczoru długo siedziała na ławce pod kasztanowcem i podziwiała zachodzące słońce. Czuła, że mogłaby tam zostać na zawsze, że to, co dobre, już było. Udało mi się uszczknąć z tego życia kilka przyjemnych chwil, przeżytych w pełni, całą sobą, myślała. Nie byłoby mi szkoda odejść właśnie teraz. Basia jest szczęśliwa i bezpieczna. Tylko to się liczy, dumiała w tamten ciepły wrześnieowy wieczór.

ROZDZIAŁ 15

TERAZ

LANGER

Siedział w wagonie i wpatrywał się w krajobraz za oknem. Celowo nie wybrał się w podróż własnym samochodem, nie poleciał też samolotem. Chciał być jak najbliżej ziemi, chciał móc myśleć o wszystkim i o niczym, obserwując, jak pociąg mknie przez otwarte przestrzenie pól.

Zamówił u stewarda rum i raczył się nim teraz. Gasił złość, zalewał smutek i wypełniał pustkę. Wszystkie elementy układanki wpasowały się na swoje miejsce. I muszą tam pozostać. Zawsze uważał, że jest silnym mężczyzną, ale w tym cholernym pociągu do Monachium chciało mu się płakać.

Gdyby wiedział wcześniej, co się dzieje... gdyby tylko wiedział, jak najszybciej by to przerwał. Bo to już nie chodziło o to, że Christine była adoptowana ani że była w połowie Polką i została odcięta od swoich korzeni. Było to elementem przeszłości, w pewnym sensie zamkniętej. Dałoby się może łatwiej znieść i przetrwać. Tymczasem to, przez co ostatnimi laty przechodziła Christine, było aktualne. Działo się tu i teraz. Ona w tym uczestniczyła. I cierpiała.

Oglądał wypisane dane z systemu więziennego i notatki zebrane przez Kurta. Drżały mu ręce. Czytał, co następuje:

Lena Hagelmeyer, urodzona w Polsce, w podlódzkiej wsi, 15 marca 1937 roku, przed wyrokiem bez miejsca stałego zamieszkania. Zyskała niemieckie obywatelstwo po wyjściu za mąż za obywatela RFN w 1958 roku. Skazana prawomocnie na dożywotnie pozbawienie wolności. W latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku wielokrotna recydywistka. Biologiczna matka jego żony. Winna rozbojów i napadów, zamieszana w handel narkotykami. Udowodniono jej zabójstwo pięciu osób. W ciąży zaszła już w więzieniu, ojcem był jeden ze strażników.

Langer miał ochotę w złości rzucić papierami po całym przedziale – dobrze, że był w nim sam. Miał chęć te papiery zniszczyć: podrzeć, wyrzucić przez okno, zrobić cokolwiek, co by je unicestwiło. Palily go

w ręce, niemal fizycznie czuł, że drażnią jego skórę. W samochodzie gotów był wcisnąć gaz do dechy i mógłby rozbić się o drzewo na zakręcie. W pociągu łatwiej powstrzymać wściekłość.

Bo cholerna Lena Hagelmeyer, nie dość, że była przestępcą, to jeszcze na stare lata zapragnęła kontaktu ze swoją jedyną córką. To ona ściągnęła Christine do Stadelheim, to ona weszła z nią w przedziwny, chory dyskurs, za sprawą którego pragnęła wzbudzić współczucie córki, respekt i przywiązanie, bo nigdy od nikogo tego nie otrzymała. To ona nagabywała ją listami, błagała o kolejne wizyty, wyciągała z niej opowieści. W rozmyślny i podły sposób wchodziła Christine do mózgu, serca i duszy. Opowiadała okropności, których żaden człowiek nie powinien doświadczyć. Celowo i z rozmysłem czyniła z Christine swojego spowiednika, nakładając jej w ten sposób niewidoczną pętlę na szyję. Obarczała córkę swoją historią, swoimi wyborami i spuścizną. Christine coraz mocniej przekonywała się o tym, że jest nieodrodną córką swojej matki i że nosi w sobie okrutne dziedzictwo zła. Jednocześnie więźniarka była tak spragniona normalności, której nie zaznała. Z biegiem czasu stała się bardziej żarłoczna, jakby chciała Christine z niej ograbić. Mamiała ją pięknymi słówkami, obiecywała, że już zawsze będą razem. A Christine brnęła dalej w tę relację, zagłębiając się jednocześnie w coraz mroczniejsze rejony swojej duszy. Christine mówiła, że pragnie Lenę zrozumieć. Była na każde skinienie. Wyczekiwała listów, sygnałów, telefonów. Jechała na każde wezwanie. Z biegiem czasu żyła bardziej w tym cholernym więzieniu niż w realnej rzeczywistości. Po powrocie do domu zapadała się w siebie, przeglądała coraz to nowe dokumenty, które udało jej się zgromadzić w tej sprawie. Lena Hagelmeyer zamieszkała w jej umyśle jak podstępny wirus, jak choroba, która powoli odbiera zdolność myślenia i radość z życia. Lena Hagelmeyer rozkwitała, Christine Langer zaś malała, topniała, traciła siebie. Stąd te koszmary w nocy, słowa, które powtarzała przez sen, a które Langer pamiętał i których nie umiał wtedy zinterpretować. Teraz wszystko mu się przypomniało i dopełniło obrazu całości. Stąd twórczość Christine, stąd jej artystyczne wizje.

Sam nie wpadłby na interpretację faktów i nie wymyśliłby motywów, gdyby nie to, że wybrał się do więzienia i osobiście rozmawiał z więźniarką.

Widział blask zadowolenia w szarych oczach starszej kobiety. Tak, udało jej się zwabić do więzienia kolejną osobę, którą zamierzała wciągnąć w wir swoich opowieści. Z wystudiowaną obojętnością przyjęła wiadomość, że Christine więcej do niej nie przyjdzie.

– Czego pani od niej chce?! – podniósł głos. – Zatrzyma pani jej życie!

– Nie krzycz, chłopcze, bo cię stąd wyproszą.

– Zaraz pójdę. Nie wiem, co pani zrobiła mojej żonie, ale ma pani zostawić ją w spokoju.

– Przecież to ona decyduje.

– Ma pani na nią zły wpływ.

– A co, może ty masz na nią dobry wpływ?

– Nie będę tak rozmawiał. Wychodzę.

– Czy wiesz, co czuje osoba taka jak ja, która od czterdziestu lat siedzi w takim miejscu? Czy wiesz, co to jest? Uważaj, żebyś w takie miejsce nie trafił. A że ona trafi, to jestem prawie pewna. Ma to w genach – powiedziała niemal z dumą więźniarka.

W tym momencie powinien był wyjść. Ale nie dał rady. Taka była ta kobieta.

– Chciałaby pani, żeby każdy miał tak źle jak pani.

– Ależ skąd ta brzydka myśl? Przesadzasz, synku.

– Nie jestem pani synkiem.

– Ona mnie kocha. W przeciwieństwie do ciebie. Nie byłeś dobrym mężem. – Zaśmiała się szyderczo.

Wstał.

– Nie będę tego słuchać. Wychodzę – syknął.

– Opowiadała mi. Źle ją traktowałeś. Nie zwracałeś na nią uwagi. Tylko te twoje interesy i mamona – zaskrzeczała ochrypłym głosem. – Mogłeś mieć wszystko. A nie masz nic.

„Nie dać się w to wciągnąć”, powtarzał jak mantrę w myślach.

– Tak powiedziała Christine?

– Oczywiście! A ja wysłuchałam i pomogłam jej. Aż się chciało żyć, kiedy się na nią patrzyło, gdy do mnie pierwszy raz przyszła. Była taka piękna, idealna i krucha!

– I wykorzystała ją pani.

– To ja wydałam ją na świat, nie zapominaj. Ona jest podobna do mnie. Przecież powinna o tym wiedzieć...

– Proszę nigdy więcej do niej nie pisać. Ona przez panią cierpi.

– Nie możesz zabronić córce kontaktów z matką! To okrutne.

– Okrutna to jest pani. Pani się nią bawi.

– Bzdura. Chcę jej tylko uświadomić, jaki jest świat. I kim ona jest.

– Jest moją żoną i jest wspaniała.

– Skoro tak, to gdzie byłeś przez ostatnie lata, co? – szydziła w żywe oczy. – Musiałam pojawić się ja, żebyś zauważył, co się dzieje z twoją żoną?! No wybaczone, ale wygląda na to, że wyświadczyłam wam przysługę.

– To jakieś kpiny... Wychodzę.

– Na pewno? Bo już trzeci raz to mówisz...

Był bliski wybuchu. Pragnął chwycić tę kobietę za szyję i udusić. A wtedy spełniłaby się jej przepowiednia – zająłby jej miejsce w tym więzieniu.

– Co pani chce osiągnąć? Po co? – wycodził przez zaciśnięte zęby.

Znów się zaśmiała. Chyba dobrze bawiła się jego kosztem i chyba właśnie to było jej celem. Zabawić się raz jeszcze, zanim odejdzie z tego świata. Wykończyła Christine, a teraz zamierza wykończyć jego.

– Pytasz, po co to robię? – powtórzyła z teatralnym namysłem. – Hm... Może chcesz o tym porozmawiać w listach? Wiesz, wizyty tutaj mają swoje ograniczenia... Zamiast tego proponuję formę korespondencyjną. Prosto, szybko, elegancko.

– Nie.

– Poczytaj więc listy, które wysłałam Christine.

– Nie.

– Ależ zrób to. Jej listy do mnie możesz wziąć sobie teraz. Masz. Akurat wzięłam ze sobą. Nie krępuj się. To przecież dla jej dobra.

– Nie.

Ale oczywiście wziął.

– Wiem, że prowadzisz dochodzenie – powiedziała. – Wszystko wiem. I dojdiesz do tego, że byli tam również dobrzy ludzie. Oczywiście nie ja – zarechotała. – Bo to, co zrobiłam ja, było... nietypowe. Heroiczne. Poczytaj. Sprawiedliwość należy się innym, nie mnie. Tylko innym. Kontynuuj, drogi mój. Odkryj prawdę. Piszcie o tym, mówcie. Weź te listy, weź też moje zapiski. A wtedy pomożesz swojej żonie.

– Pani siedzi tutaj za zabójstwo... Nie ma pani wyrzutów sumienia? – przybrał oskarżycielski ton.

Zmroziła go wzrokiem, po czym nachyliła się do niego.

– Od tamtej chwili w tamtym domu czułam wkurw przez cały czas, przez pieprzone sześćdziesiąt lat – wysyczała. – Każdego dnia, w każdej komórce mojego ciała, wiesz? Zdajesz sobie z tego sprawę, synku? – Podciągnęła rękawy więziennej bluzy i pokazała poprzeczne blizny. – Żyłam intensywnie, i to jak! – Zaśmiała się gardłowo. – Łatwo nie było. Najpierw na polskiej, potem na niemieckiej ziemi. Mieszkałam gdzie popadnie. Ekstra życie w sumie, na granicy prawa – rozmarzyła się. – Kradło się, ćpało, nie powiem. Ależ ja się przyznaję! Zrobiłam to wszystko. I tak mnie późno wsadzili.

– Jak pani wpadła?

– Może nie uwierzysz, ale wcale nie zamierzałam zabijać. – Prawie się zawstydziała, a on prawie jej uwierzył.

Tymczasem czarowała go dalej.

– Nie planowałam tego. Jak w tamtym domu. To był spontan! Czysty wkurw, przez te wymuskane laleczki, paniusie z tamtego sklepu, boginie życia. Przeszły sobie obok i patrzyły na mnie ja na jakieś gównno. W złym humorze byłam, bardzo złym. Wkurw na maksa. To miał być zwykły szaberek, ale mnie sprowokowały. A potem to już poszło. Wszyscy w sklepie dostali za swoje.

Langer przymknął oczy. Nigdy już tutaj nie wróci, więc postanowił podjąć ryzyko i wysłuchać wynurzeń więźniarki. Mówiła podniesionym

głosem, jakby bawiąc się swoją opowieścią, ale oczy miała lodowate. Raz tylko odwróciła wzrok, bo zobaczył w nim odrobinę wahania.

– I to wszystko powiedziała pani mojej żonie?

– Oczywiście. Ona tego chciała. Ja tego potrzebowałam. Czysty deal, nie? – zarechotała. – To ona do mnie przysłała! – dodała z dumą, a Langer poczuł, że pomieszczenie wiruje, zaczynał mieć od tego wszystkiego zawroty głowy. – Ona wyczytała w papierach po tamtych fałszywych rodzicach coś o mnie. I mnie znalazła, dzielna dziewczynka!

Langer przymknął oczy.

– To wkurw, synku, wieczny wkurw. Zapamiętaj to sobie! No i miałam doświadczenie. – Wskazała zeszyt z notatkami, który leżał na blacie. – Poczytasz, zobaczysz. To było takie proste za pierwszym razem, w tamtym domu pod lasem. Ja już taka jestem. Moja matka też święta nie była. Ją bardziej interesowała ta cholerna Starska niż ja – cedziła z goryczą. – Ciągle słyszałam: Michalina Starska to, Michalina Starska tamto... Rzygać mi się od tego chciało, synku. Matka miała świra na jej punkcie. Po sześćdziesięciu latach wciąż to pamiętam. Skakała wokół Starskiej, jeździła do niej. Mówiła: „Poczekaj tu, Magda, zaraz wrócę od Michaliny Starskiej”. Malowała te swoje obrazy, ćwiczyła, żeby ją zadowolić. Nic innego się nie liczyło. Tylko że Michalina ciągle nie była zadowolona. A tu, proszę, twoja żona maluje. To dla mnie najlepszy dowód, że jest z naszej krwi.

W głosie więźniarki zabrzmiał nagły smutek.

– Ale kogo to teraz obchodzi?! – wykrzyknęła. – Ją obchodziło. Christine, jedynie ona się tym naprawdę interesowała. I wiesz, co? Dzięki niej mój wkurw zaczął topnieć. Więc nie myśl, synku, że to takie proste.

Rzuciła w niego zeszytem.

– Łap. Możesz zrobić z tym cokolwiek. Nawet spuścić w kiblu.

Langer podniósł zeszyt z podłogi, kilka kartek się oderwało i musiał je zebrać.

– A teraz wynoś się – rozkazała. – I nie wracaj. Ani ty, ani ona!

Był już przy drzwiach, kiedy usłyszał za plecami jej głos.

– Miałaś rację. Niech ona tu nie wraca – mruknęła. – Wybij jej to z głowy.

*

Langer wyszedł z więzienia przed upływem czasu przeznaczonego na widzenie. Z trudem panował nad emocjami. Musiał to wszystko ułożyć sobie w głowie. Przede wszystkim chciał jak najszybciej znaleźć się na świeżym powietrzu. Oddychać głęboko i patrzeć na ten niedoskonały, a jednak piękny świat. Tyle i aż tyle.

Szedł szybko przed siebie. Poły niezapiętego płaszcza furkotały na wietrze. Było mu zimno i przemókł, ale parasol zostawił w poczekalni w więzieniu, a wracać tam już nie zamierzał. Błąkał się po ulicach, dzielnica Obergiesing leżała na uboczu i znaczną jej część stanowiły lasy. W kieszeni miał lekko zmięty plan miasta, który kupił na pocztce. Wiedział od Kurta, że niedaleko Christine wynajmuje mieszkanie. Tylko dwie przecznice od miejsca, gdzie się znajdował.

Wtedy ją zobaczył. Stała przed ulicznym kramem i kupowała jabłka. Trzymała w ręku zabawny parasol w brązowe skarabeusze, podniszczony i wygięty. Przyspieszył kroku, bojąc się, że ona zaraz odejdzie, że zniknie za wyłomem ściany, w jakimś zaułku, a on nie zdoła jej znaleźć.

Dzieliła go od niej tylko jedna ulica. Musiał przepuścić samochody, bo w okolicy nie było pasów dla pieszych. Zauważyła go, poniosła głowę znad toreb, a po chodniku rozsypały się jabłka. Stali nieruchomo naprzeciw siebie, przedzieleni jezdnią. Onieśmieleni, z nadzieją w oczach, z bijącymi mocno sercami.

Poszli do najbliższej knajpki i zamówili kawę. Najpierw mówił on, potem ona. Potem znów ona, a on słuchał. Poznawali siebie na nowo.

Potem odwiedzali się wzajemnie, ona prosiła o więcej czasu, on cierpliwie czekał. Spacerowali po mieście, rynku, zaglądali do parków, zwiedzali galerie. Podziwiali przyrodę i architekturę. Mieli sobie dużo do powiedzenia, wiele do zrozumienia i do wybaczenia.

– Możliwe, że już nigdy nie będę taka jak kiedyś – powiedziała. – Wiesz o tym?

Przytakiwał.

– Rozumiem, że musiało ci być strasznie z tym wszystkim, Christine – odparł. – Byłem tam. Znam twoją historię.

Próbowała zaprotestować, ale położył jej palec na ustach.

– Jesteś zupełnie inną osobą niż Lena – zapewnił. – Dobrze, że poznałeś tę historię. Ale teraz zamknij to. Tak jak się zamyka napisaną i skończoną książkę.

– Spróbuję – obiecała.

Spacerowali wzdłuż bulwarów nad rzeką. Promienie słońca grzały ich twarze. Nagle przystanąła.

– Jak to powiedziałaś? „Zamknij to. Tak jak się zamyka zapisaną i skończoną książkę”?

Minęła ich zakochana para, ale Christine patrzyła gdzieś ponad nimi.

– Może to jest dobry pomysł.

– Napisać książkę? – uśmiechnął się.

– Tak. Opowiedzieć to. Choćby dla siebie samej. I zamknąć ten rozdział.

Uśmiechała się. Najpierw nieśmiało, potem coraz odważniej.

ROZDZIAŁ 16

WRZESIEŃ 1946

Ten dzień zmienił wszystko. Znowu za nią poszłam. Był wrzesień, było ciepło. Pamiętam zapach pól, kiedy jechaliśmy do tamtego domu. Drzewa szumiały, ptaki śpiewały, powietrze było ciężkie. Jechaliśmy ciężarówką. Na plandece wieźli skrzynię. Ja wsiałam na gapę. Ona mi wcześniej kazała iść sobie, wracać do szkoły. Bo uciekłam z lekcji, nie pierwszy raz. Jeszcze miałam na sobie szkolny kołnierzyk.

Zawsze lubiłam, jak się dużo działo. Wcześniej też z nią jeździłam, też na gapę. Czasem mnie znalazła, czasem nie. Czasem dostawałam w ucho i kazała mi wracać na piechotę do szkoły. „Z tobą same problemy są!”, darła się wtedy. Rzeczywiście, od początku byłam krnąbrna. Ona lubiła jeździć z chłopakami z urzędu w teren na akcje. Rozkwitała wtedy. Pamiętam, że była taka szczęśliwa. Czy ją kochałam? Oczywiście. Była moją matką. I zrobiłabym wszystko, żeby ją uratować.

Rano Alfred rzeźbił w ogrodzie, Stanisława wstawiła chleb do pieca i rozmawiała w kuchni z córką, która tego dnia ją odwiedziła. Ta, która kształciła się na nauczycielkę. Ich wesołe głosy było słychać w całym domu. Tylko major nie wrócił jeszcze z pracy.

Michalina ustawiała słoiki po przetworach w jadalni. Usłyszała pukanie i spojrzała przez okno. Zdziwiła się na widok swoich dwóch współpracownic, Krysi Balcer i Hani Walusiak. Wprawdzie nie darzyła ich sympatią, ale nie sądziła, że powinna się z ich strony czegokolwiek obawiać.

– Dzień dobry – powiedziała hardo Hanka i obie bez pytania wparowały do środka.

Nawet nie starała się być miłą. W jej oczach płonęła złość. I jeszcze coś innego, głębokiego i przerażającego.

Michalina początkowo to zbagatelizowała.

– Czego chcecie? – spytała spokojnie.

Miały ze sobą duże plecaki. Michalina czuła teraz dreszcz niepokoju. Wytarła ręce i zbliżyła się do kobiet z pytającym wyrazem twarzy.

– Ładnie się tu urządziliście – rzuciła Kryśka dziwnym tonem.

Co w nim było oprócz złości? Pogarda i nienawiść? Michalina zrozumiała, że one nie mają dobrych zamiarów.

Hanka i Kryśka. Dwie w sumie miłe dziewczyny. Krysię trudno było teraz rozpoznać. Miała w oczach niezdrowy żar. Była tego dnia inną osobą. Dumna Krysia, której najpierw zdawało się, że umie malować, a potem zrobiła karierę w wydziale propagandy. A obok niej Hanka. Nieśmiała modnisią, która miała chyba niedługo iść do ołtarza z którymś kolegą z wydziału. Michalina nie mogła sobie przypomnieć jego nazwiska.

Więc dlaczego sukni ślubnej nie wybiera, tylko szwenda się z koleżanką po przedmieściach Łodzi i szuka szczęścia tam, gdzie jej nie chcą?, taka myśl przyszła jej do głowy.

– Jutro w pracy pomówimy – powiedziała, usiłując pozbyć się nieproszonych gości.

– Nie. Nie pomówimy jutro w pracy – odparła ostro Krysia i jednym wściekłym gestem zrzuciła ze stołu na podłogę słoiki z przetworami. Rozległ się huk.

Z kuchni przybiegły Stanisława z córką i zastygły w progu jadalni. Michalina machnęła w ich stronę ręką.

– Idźcie stąd – rozkazała.

– Te szmaty nigdzie nie pójdą – syknęła Balcer z satysfakcją.

Obie z Hanią wyciągnęły broń.

Córka Stanisławy, Helcia, zaczęła krzyczeć.

– Cicho tam! – warknęła Kryśka. – Trzeba było uważać, z kim się zadajecie.

Podchodziła po kolei do każdej z kobiet i przykładała im broń do skroni.

– Nawet ładne toto – oceniła córkę Stanisławy. – Ale zaraz już ładna nie będzie.

– Za chwilę przyjdzie major Gołębek – sięgnęła po ostatni racjonalny argument Michalina. Jakby major mógł ją uratować z tarapatów. –

Pożalujecie. Wylecicie z urzędu za niesubordynację. Już on się z wami policzy – ciągnęła, ale jej słowa zabrzmiały słabo.

Kryśka zaśmiała się gardłowo. Świetnie się bawiła. Podeszła do Michaliny i przyłożyła lufę do jej brody.

– Nie. Gołąbek tu nie przyjdzie – stwierdziła autorytarnie.

Teraz obie z Hanką celowały do dwóch pozostałych kobiet, które zastygły w niemym stuporze.

– Gołąbek wisi za jaja na Anstadta! – wykrzyknęła Kryśka. – Już ci więcej w niczym nie pomoże – zarechotała szyderczo. – Parszywy zdrajca. Rozpracowanie go stanowiło wyzwanie, przyznaję. Ale udało się. Był przebrzydłym, wstrętnym zdrajcą naszej ojczyzny. Ojej, nie mów, że nie wiedziałaś... – Udała współczucie, widząc, jak Michalina blednie. – Ciebie też spotka kara za ukrywanie zdrajcy. Przez niego zginęło wielu naszych chłopaków. W tym twój narzeczony, a mój kuzyn Wojtek – zwróciła się do Hanki, która na dźwięk imienia ukochanego zachwiała się na nogach.

Stanisława z Helcią wciąż stały w progu jadalni. Hania mierzyła w ich stronę. Miała obłęd w pustych, szklistych oczach, krzywo zapiętą bluzkę i potargane włosy.

– Wy też dostaniecie za swoje – wysyczała Kryśka nienawistnie. – Ukrywanie zdrajcy to przestępstwo. Wiedziałyście, co się tu wyprawia, i żadna z was nie doniosła? Nieładnie, obywatelki. Ci zdrajcy ojczyzny zabijali prawdziwych Polaków, pracowników urzędu w bandyckich napadach, najpierw w Pabianicach, potem w Zgierzu. A teraz napadli na konwój!

Michalina się skuliła, jakby ktoś uderzył ją w brzuch. Czyli ta ostatnia akcja nie poszła zgodnie z planem. Modliła się w duszy, aby jej podopieczna z ojcem byli już dostatecznie daleko. Co dziwne, Hanka również się skuliła i mniej pewnie trzymała broń, którą celowała w kobiety. Kryśka natomiast była w swoim żywiole. Wiele ostatnio się nauczyła, jeśli chodzi o praktykę okrucieństwa, a w tej dziedzinie była pojętną uczennicą.

– Zaraz przyjdą nasi – kontynuowała z dumą. – Oficjalnie rekwirujemy dom. Takie pluskwy jak wy nie będą w takich luksusach mieszkać. Ale najpierw się zabawimy.

Podeszła do Michaliny i plunęła jej w twarz.

– Weźcie mnie, a ich zostawcie – powiedziała Starska, wskazując wzrokiem Stanisławę i jej córkę. – One nie mają z tym nic wspólnego.

Zastanawiała się, gdzie jest stary Gołębek. Może poszedł po pomoc do tych do lasu?

– Milcz! – warknęła Kryśka. – Zabiliście naszych. Wszystkie jesteście winne.

Wtedy poczuły swąd dymu napływający od strony drewnianej szopy. Usłyszały trzask ognia.

– Nasi ludzie czekają przy drodze – uprzedziła Kryśka. – Zaraz ich zawołam.

Wyglądała jednak na przestraszona. Rozglądała się nerwowo, szukając źródła ognia.

Alfred podpalił szopę, domyśliła się Michalina. Spłoną moje trofiejne obrazy, ale to bez znaczenia. Spłoną cholerne rzeźbienia, ślady spiskowej działalności z symbolami Polski Walczącej.

Wykorzystała dezorientację Krystyny i wytrąciła jej z ręki broń. Schyliła się po nią i uniosła drżącymi rękami. Wycelowała.

– Zastrzel ją! – darła się Kryśka do Hanki. – Kurwa, strzelaj!

Ale jej rozdygotana przyjaciółka nie potrafiła nacisnąć spustu. Zresztą Michalina też nie. I stały tak, patrząc na siebie w paraliżującym napięciu. Wszystko mogło jeszcze skończyć się dobrze. Ale wtedy okazało się, że w willi pojawił się ktoś jeszcze.

W drzwiach stanęła Magda Balcer, która wcześniej obserwowała tę scenę przez okno od strony drogi.

– Dziecko, co ty tu robisz?! – wykrztusiła Krystyna. – Mówiłam ci, nie chodź za mną!

Stanisława i Helena rzuciły się do ucieczki. W tej samej chwili Alfred Gołębek niespodziewanie otworzył furtkę do ogrodu.

Hanka straciła całe swoje opanowanie, zaczęła strzelać na oślep, bo jak to tak, te durne dziewczuchy miały jej uciec?

Michalina wymierzyła broń w Krystynę i właśnie miała nacisnąć spust, kiedy uprzedziła ją Magda. Rozległ się jeden krótki strzał. Dziewczynka patrzyła ze zdziwieniem, jak Starska osuwa się na podłogę, jakoś tak lekko, łagodnie, jakby mdlała z wrażenia. Wydała przy tym słaby jęk, który przypominał pisk pisklaka. Tkwiło w nim głębokie niedowierzenie. I skoła.

W tym momencie na posesję wpadła dziesiątka funkcjonariuszy UB, którzy stali wcześniej na drodze przed domem, czekając na sygnał. Zaraz wkroczyli też ludzie z lasu, których wezwał ojciec majora.

Rozpętało się piekło. Pokój spłynął krwią. A potem zapadła cisza.

CZTERY MIESIĄCE PÓŹNIEJ

Serce mocno biło Dorocie z emocji, kiedy wyszła z archiwum, gdzie odebrała zamówione akta, na które tak długo czekała. Wyczytała z nich to, co następuje:

Major Gołębek za zdradę kraju został skazany na karę śmierci. Wyrok wykonano. Podczas strzelaniny w willi pod Łodzią zginęli od kul: Michalina Starska, lat 39, Alfred Gołębek, lat 73, Stanisława Jędrzejowska, lat 51, oraz jej córka Helena Jędrzejowska, lat 21. Śmierć poniosło też pięciu partyzantów oraz troje funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa, m.in. Hanna Walusiak z wydziału propagandy, lat 25, oraz Józef Wysmyk, lat 22. Lekko ranna została pracownica urzędu, Krystyna Balcer, którą w uznaniu zasług za udział w akcji i przytomność umysłu awansowano i przeniesiono do pracy w Warszawie. Zdarzenie uznano za bandycki napad. Na miejscu przebywała Magdalena Balcer, lat 9, córka Krystyny. Nie odniosła obrażeń.

*

Dorota szła przez park i głęboko oddychała. Wiedziała już wszystko. Elementy układanki, które zbierała przez ostatnie miesiące, wskoczyły na swoje miejsce, tworząc spójną całość. Długą drogę pokonała ze swoimi bohaterami, ale cieszyła się, że mogła im towarzyszyć. Chciała, aby poznali ich inni ludzie, jej czytelnicy. Uważała, że warto. I była gotowa walczyć o to, by opowieść ujrzała światło dzienne.

Langer długo się nie odzywał, ale wrócił ostatnio do Polski i właśnie mieli się spotkać. Tym razem w willi po Scheerach. Zdziwiła się, że to

tam ją zaprosił. Jak wywnioskowała z rozmowy telefonicznej, kupił willę i zlecił remont. Z drogi zauważyła, że budynek oplata sieć rusztowań, a w środku zastała bałagan właściwy domom w trakcie przebudowy, podłogi przykryto dyktą, okna zaklejono foliami.

Centralnie w holu wyrosły imponujące drewniane secesyjne schody, którym przywrócono dawny wygląd z troską o najmniejszy detal. Zachowano i oczyszczono rzeźbienia autorstwa Alfreda Gołębka. Schody błyszczały teraz blaskiem świeżej politur, stanowiąc bajkowy, dominujący punkt domu.

– Jak pani widzi, prace idą sprawnie. – Langer rozejrzał się po wnętrzu.
– Mam zamiar urządzić tu muzeum. Skupimy się na historii tego domu oraz jemu podobnych. Również tych, o których napisała pani książkę. Chcę, żeby to było miejsce otwarte na spotkania twórcze i literackie. Taki dom dyskusji. Ale zobaczymy, co przyszłość pokaże.

Wrócił do Polski z nowym zapalem. Opowiedział Dorocie o więźniarce z Monachium, która okazała się matką jego żony, o ostatnich odkryciach i przemyśleniach. Dorota także podzieliła się swoją świeżo nabytą wiedzą.

– Pani o tym wszystkim napisze – powiedział.

Podał jej zeszyt z zapiskami Leny Hagelmeyer.

– Proszę to mądrze wykorzystać.

Przysiadła zaskoczona na krześle.

– Nie jest pan przeciwny, żeby o tym pisać? – zapytała.

– Wiele się zmieniło, pani Doroto – wyjaśnił. – Oboje z żoną uznaliśmy, że tego chcemy.

I wtedy ją zobaczyła. Christine Langer zeszła ze schodów lekko jak nimfa. Płynęła po stopniach, ledwo muskając je stopami. Była zjawiskowa. Dokładnie taka, jaką ją sobie wyobrażała Dorota. Ucieleśnienie gracji, lekkości i piękna.

– Napiszmy tę historię – obiecała z nieśmiałym uśmiechem. – I odbudujmy willę. Niech służy kolejnym pokoleniom.

*

W domu państwa Wiśniewskich panowała uroczysta atmosfera. Dorota świętowała wydanie swojej książki. Pomysł imprezy wyszedł rzecz jasna od Zofii, bo to ona lubowała się w ucztach i formalnych obchodach. Dorota natomiast chciała wykorzystać spotkanie bardziej w celu zaprezentowania rodzinie Filipa niż pochwalenia się książką. Chociaż to drugie też. Była bardzo dumna. Uważała, że wykonała kawał dobrej roboty.

Radomir otworzył szampana, lejąc go przy okazji na boki, głównie na swoje nogi. Filip, ubrany tego dnia odświętnie, w białą koszulę i kraciastą marynarkę, pomagał roznosić kieliszki. Chyba spodobał się rodzinie Doroty, co odnotowała z prawdziwą ulgą.

– Mogę poprosić szarlotkę? – zwróciła się do niego ciotka Łucja, wskazując talerz na końcu stołu.

– Już podaję! – zawołał Filip, a Dorota pomyślała, że nazbyt gorliwie wziął się do kelnerowania. Tym niemniej ciotce jego postawa odpowiadała, reszcie rodziny również.

Ciotka musiała niedawno majstrować przy włosach, co wcześniej się jej nie zdarzało. Chyba położyła kolor tuszujący siwiznę. I wycieniowała włosy u fryzjera. Doprawdy, wyglądała nadzwyczaj korzystnie.

– Czyli jednak... – wypsnęło się Radomirowi. – Gratulacje, córuś!

Spośród gości to właśnie on wiedział najwięcej, w tym także to, że w pewnym momencie publikacja zawisła na włosku, kiedy oboje zainteresowanych straciło zapał do kontynuowania dzieła.

Ciotki zaśmiały się znad kieliszków.

– To jest o tej willi po Scheerach? O jakiejś uratowanej dziewczynce? – dopytywała Łucja. – Skoro tak, to musi być wspaniała historia!

Dorota pokiwała głową. Nie miała siły tłumaczyć, że nie wszystko było takie proste, jak chciałyby to widzieć ciotka. Ani jednoznaczne. Nie przeszkadzało jej to jednak cieszyć się z zapału rodziny.

– Piękna opowieść ku pokrzepieniu serc! – rozmarzyła się ciotka Konstancja.

– Wspaniale, że odkrywasz takie perełki, córeczko! – wtórowała jej Zofia.

– On tak po prostu zadzwonił do ciebie i poprosił, żebyś to skończyła?
– zapytał Radomir.

– Powiedzmy. Przeprosił za długie milczenie i powiedział, że przeznaczył na ten projekt dodatkowe fundusze.

Zofia z Łucją wręcz się przekrzykiwały, by wyrazić swój zachwyt.

– Kiedy i gdzie możemy twoje dzieło kupić?

– W księgarniach powinno być w przyszłym tygodniu.

– Och! Wspaniale! Przyjdziemy do ciebie po autograf. Spokoju ci nie damy, póki nie podpiszesz! – obiecała ciotka Konstancja i wszyscy gromko się zaśmiali.

Dorota także dała się ponieść emocjom. Wypiła kieliszeczek z matką i ciotkami, więc było jej teraz nad wyraz wesoło.

– I wiecie co jeszcze? – Zaśmiała się. – Langer urządzi w tej wili muzeum.

– Muzeum?! – Towarzystwo aż piało z zachwytu. – A to heca! Muzeum czego?

– Nie znam szczegółów – przyznała Dorota. – Ale chodzi o tematy, nad którymi pracowaliśmy w ostatnim czasie. Mówił, że chciałby o pokoleniach. O tych, którzy byli zarówno dobrzy, jak i źli. O tym, że historia nie jest czarno-biała. Nie wiem, do czego Langer ostatecznie zmierza i co konkretnie miał na myśli... – zawahała się. – Myślę jednak, że intencje ma dobre.

Wypili kolejny toast.

Pod koniec imprezy Dorota wymknęła się z ojcem na taras. Omówili szlachetne, choć lekko szalone pomysły Langer, po czym zeszli do ogrodu. Spacerowali wśród krzewów, ostatnim ogrodniczym objawieniem Zofii. Dorota musiała przyznać, że magnolie wyglądały doprawdy bujnie i kwitnąco.

– Zgłosiłem na policję zniszczenie nagrobka dziadków – wyznał Radomir z dumą.

– Brawo!

– I wiesz co? Znaleźli ich!

– Tych wandali?

– Tak.

– Super! Wiesz, kto to był?

Radomir oglądał pnące róże, oplatające płotek z deseczek, do którego zrobienia został kilka lat wcześniej zwerbowany przez małżonkę niekoniecznie zgodnie z własną wolą.

– Dwóch siedemnastolatków, którzy należą do jakiejś młodzieżowej organizacji patriotycznej – wyjaśnił ponuro, po czym zmarszczył brwi. – Zapomniałem nazwy...

Takich ugrupowań było coraz więcej. Nastroje społeczne się zaostrzały, ale żadne z nich nie chciało poruszać teraz tego tematu. Chcieli cieszyć się razem w pełni z faktu, że poradzili sobie z ich własną, jednostkową sprawą. Przy okazji Dorota zauważyła jednak, że jej ojciec coraz więcej zapominał. Zawsze miał świetną pamięć, a teraz nastąpiło pogorszenie. Chodził lekko zakręcony i zagubiony od kiedy miał problemy z wandalami na cmentarzu. Martwiła się o niego i postanowiła, że wyśle ojca na badania.

– I co, tak po prostu niszczyli nagrobki? Zamiast bazgrać na murach „ŁKS Pany”? – mruknęła kpiąco.

– To nie było po prostu. Oni byli przekonani, że czynią to w ramach wymierzania sprawiedliwości dziejowej. W ten sposób znaleźli ujście dla swojej wściekłości.

Westchnęła ze smutkiem.

– Czy to się nigdy nie skończy? Poświęcam swój czas i energię, by odkręcać te rzeczy, pokazywać, że spirala nienawiści nie ma sensu... Ale to nie działa.

– Gniew to potężna siła – stwierdził Radomir sentencjonalnie. – My możemy patrzeć na siebie. Na swoje zachowanie. I starać się żyć jak najlepiej.

Przyznała ojcu rację. Przeszli do tej części ogrodu, gdzie Zofia realizowała swoje śmiałe zamysły architektoniczne i gdzie wznosiła się stożkowata budowla z kamieni pochodzących z okresu jej fascynacji klombami w stylu francuskim.

– Swoją drogą, podoba mi się ten twój Filip – zmienił temat ojciec.

Dorota już miała zaprotestować, że Filip wcale nie jest jej. Ale tylko się zaczerwieniła.

– No i fajnie – mruknęła. – On też was polubił.

Szli przez ogród w stronę chaotycznie wyglądającego warzywnika, wypielonego tylko do połowy.

– O, twoja matka zostawiła grabie... – Radomir przewrócił oczami, po czym podniósł narzędzie. – I to jeszcze zębami do góry! Ona chce mnie zabić. Czyha na moje życie – zażartował.

Dorota wybuchnęła śmiechem. Usłyszeli, jak ktoś otwiera na oścież okno od strony ogrodu. W poświacie światła padającego z salonu zobaczyli zarys głowy Zofii. Włos miała rozwiany, ale bez wątpienia to była ona.

– O wilku mowa – mruknął Radomir.

– Radomir, Dorcia! – zawołała. – Podaję bezę! Chodźcie do stołu!

Pogadali jeszcze chwilę, po czym wrócili do biesiadowania.

Fajne mieli to życie, takie zwykłe, domowe. I niech takie chwile trwają.

KONIEC

BIBLIOGRAFIA

- Bertram Łukasz, *Bunt, podziemie, władza. Polscy komuniści i ich socjalizacja polityczna do roku 1956*, Instytut Studiów Politycznych PAN, Wydawnictwo Naukowe SCHOLAR, Warszawa 2022.
- Budzyńska Celina, *Strzępy rodzinnej sagi*, Żydowski Instytut Historyczny, Warszawa 1997.
- Cichocki Bartosz, Józwiak Krzysztof, *Najważniejsze są kadry. Centralna Szkoła Partyjna PPR/PZPR*, Wydawnictwo Trio, Warszawa 2006.
- Datner Helena, *Po zagładzie. Społeczna historia żydowskich domów dziecka, szkół, kół studentów w dokumentach Centralnego Komitetu Żydów w Polsce*, Żydowski Instytut Historyczny im. Emanuela Ringelbluma, Warszawa 2016.
- Góra Władysław, *Takie były początki*, Książka i Wiedza, Warszawa 1965.
- Jastrząb Mariusz, *Mozolna budowa absurdu. Działalność Wydziału Propagandy Warszawskiego Komitetu Wojewódzkiego PZPR w latach 1949–1953*, Instytut Studiów Politycznych PAN, Warszawa 1999.
- Kobojek Grażyna, *Łódź – Kalendarium XX wieku*, Wydawnictwo Piątek Trzynastego, Łódź 2008.
- Krzysztofowicz-Kozakowska Stefania, *Sztuka w czasach PRL*, Wydawnictwo Bosz, Olszanica 2016.
- Lesiakowski Krzysztof, *Mieczysław Moczar „Mietek”. Biografia polityczna*, Oficyna Wydawnicza Rytm, Warszawa 1998.
- Lipiński Piotr, *Bierut. Kiedy partia była bogiem*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2017.
- Walenciak Robert, *Modzelewski – Werblan. Polska Ludowa*, Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2017.
- Niedźwiecka Ewa, *Łódź w PRL-u. Opowieść o życiu miasta 1945–1980*, Dom Wydawniczy Księży Młyn, Łódź 2011.
- Ossowski Piotr, *Czerwona Michalina. Michalina Tatarkówna-Majkowska. Prządka – działaczka – łodzianka*, Dom Wydawniczy

Księży Młyn, Łódź 2017.

Snopkiewicz Jacek, *Bezpieka. Zbrodnia i kara?*, Oficyna Wydawnicza Rytm, Warszawa 2018.

Waingertner Przemysław, *Czwarta stolica. Kiedy Łódź rządziła Polską (1945–1949)*, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2019.

PODZIĘKOWANIA

Pisanie tej książki było dla mnie długą i fascynującą podróżą, podczas której towarzyszyło mi wiele osób. Jestem im bardzo wdzięczna. Dziękuję oczywiście mojej rodzinie. Przede wszystkim mężowi, który dzielnie znosił moje pisarskie fascynacje, zwłaszcza że często pochłaniały one część weekendów lub popołudnia. On pierwszy zapoznał się z książką przed drukiem i zgłosił konstruktywne uwagi. Również moja córka Marta udzielała mi istotnych wskazówek dotyczących pisania – a ma dziewczyna do tego głowę! – za co bardzo Jej dziękuję. Jesteś, Marto, wspaniała. Rodzicom dziękuję za to, że od najmłodszych lat wpajali mi szacunek do literatury. Jestem wdzięczna mojemu tacie za cenne merytoryczne uwagi, którymi podzielił się ze mną przed wydaniem książki. Ponadto dziękuję moim babciom – Jasi i Marysi. Historie, które od lat mi opowiadają, są niezwykle barwne i pouczające. Jestem wdzięczna za to, co mi dałyście. To dzięki Waszemu wsparciu stałam się tym, kim jestem.

Na każdym etapie powstawania książki spotykałam na swojej drodze życzliwych ludzi, którzy motywowali mnie do pracy i służyli pomocą. Dziękuję mojej przyjaciółce Ani Klaus-Pietrzak za to, że przeczytała tekst przed wydaniem i udzieliła mi ważnych rad dotyczących pewnych aspektów fabuły. Agacie Jach dziękuję za pomoc w wymyśleniu tytułu. Annie Derengowskiej za to, że uwierzyła w ten projekt i dała mi szansę. Manuli Kalickiej za wsparcie ogólne. Na uznanie zasługuje też Joanna Serocka za wnikliwą redakcję. Łukaszowi Bertramowi dziękuję za konsultacje merytoryczne.

Lista źródeł, z których czerpałam wiedzę na temat początków komunizmu w Polsce, znajduje się w bibliografii dołączonej do książki. Wielokrotnie byłam pytana o to, skąd brałam informacje i czy historie przeze mnie opisane są prawdziwe. Co do historii fabularnych, to są one przeze mnie wymyślone. Prawdziwe jest tło historyczne oraz wydarzenia polityczne tamtych lat. Natomiast postaci, które stworzyłam, są wytworem mojej wyobraźni i nie są wzorowane na żadnych osobach rzeczywistych. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest wyłącznie przypadkowe. Jednak jestem przekonana, że opisana przeze mnie opowieść, choć fikcyjna, mogłaby się wydarzyć.

Dziękuję też Czytelnikom, którzy ciepło przyjęli moją poprzednią powieść *Dom sekretów*. To dzięki Wam mogę spełniać marzenia i pisać książki. Do zobaczenia wkrótce!

Spis treści

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

BIBLIOGRAFIA

PODZIĘKOWANIA